



Arturo Pérez- Reverte

Huzar

znak



Arturo Pérez- Reverte

Huzar

przekład Joanna Karasek

Wydawnictwo Znak
Kraków 2014

NOTA OD AUTORA

Huzar jest moją pierwszą powieścią. Napisałem ją w 1983 roku pomiędzy dwoma reportażami wojennymi – wtedy nie miałem zamiaru poświęcić się literaturze – i opublikowałem pechowo w wydawnictwie, z którym nigdy nie miałem dobrych stosunków, a potem musiało minąć prawie dwadzieścia lat, abym odzyskał prawa do jej wydania. Teraz znów ukazuje się, ku zadowoleniu autora, po odpowiednim przejrzaniu, z poprawionymi szczegółami i pozbawiona zbędnych przymiotników i przysłówków.

Co do mnie, jeśli chodzi o wieś jako taką, to muszę wam od razu wyznać, że nigdy jakoś nie potrafiłem się w nią wczuć, zawsze uważałem, że to przygnębiające miejsce, z tym błockiem po pachy, z domami, w których nigdy nie ma nikogo, i drogami, które donikąd nie prowadzą. A jeżeli jeszcze dodamy do tego wojnę, to naprawdę staje się to nie do zniesienia.

Louis-Ferdinand Céline

Podróż do kresu nocy

w przekładzie Oskara Hedemanna

*Dla Claude'a,
wiernego towarzysza
na cudzych wojnach i drogach,
które wiodą donikąd*

I. NOC

Klinga szabli fascynowała go. Frédéric Glüntz nie mógł oderwać wzroku od gładkiego stalowego ostrza, które – wyjęte z pochwy – lśniło w jego dłoniach, rzucając czerwone błyski, kiedy płomień lampy drgał poruszany przeciągiem. Raz jeszcze przejechał szmerem od końca do końca szabli i poczuł dreszcz, widząc doskonałość ostrej klingi.

– To dobra szabla – powiedział, zamyślony, z przekonaniem.

Michel de Bourmont leżał na brezentowej pryczy, z glinianą fajką w zębach, pochłonięty obserwacją spirali z dymu. Kiedy usłyszał tę uwagę, podkreślił jasnego wąsa na znak protestu.

– To nie jest broń dla szlachcica – orzekł, nie zmieniając pozycji.

Frédéric Glüntz zatrzymał się w pół gestu i spojrzał na przyjaciela.

– Dlaczego?

De Bourmont przymknął oczy. W jego głosie dało się dostrzec cień znudzenia, jakby odpowiedź była zupełnie oczywista.

– Bo szabla wyklucza wszelką finezję... Jest ciężka i okropnie pospolita.

Frédéric uśmiechnął się dobrotliwie.

– Czyżbyś wolał broń palną?

De Bourmont jęknął z niesmakiem.

– Na miłość boską, jasne, że nie – wykrzyknął ze stosowną dystynkcją.

– Zabijanie na odległość jest niehonorowe, mój drogi. Pistolet to przejaw upadku cywilizacji. Ja wolę na przykład floret: jest giętki, bardziej...

– Elegancki?

– Tak, to chyba właściwe słowo: elegancki. Szabla bardziej niż cokolwiek innym jest narzędziem rzeźniczym. Służy tylko do

zarzynania.

Skupiając uwagę na swojej fajce, de Bourmont uznał temat za zamknięty. Mówił, lekko sepleniąc, we właściwy sobie, dystyngowany sposób, na który wróciła moda i który wiele osób w Czwartym Pułku Huzarów usiłowało naśladować. Czasy gilotyny dawno minęły i potomkowie starej arystokracji mogli już podnosić głowę bez obawy, że ją stracą, pod warunkiem że mieli wystarczająco dużo taktu, by nie kwestionować zasług tych, którzy wspinali się na szczyble nowego porządku społecznego dzięki randze swej szpady lub wsparciu osób bliskich Cesarzowi.

Żadna z tych ewentualności nie dotyczyła Frédérica Glüntza. Drugi syn zamożnego kupca ze Strasburga opuścił trzy lata wcześniej rodzinną Alzację i dostał się do szkoły wojskowej, do kawalerii. Ukończył ją przed trzema miesiącami, wkrótce po swych dziewiętnastych urodzinach, ze stopniem podporucznika i przydziałem do Czwartego Pułku Huzarów, stacjonującego wtedy w Hiszpanii. Dla niedoświadczonego podporucznika nie było w owych czasach rzeczą prostą dostać się do elitarnego oddziału lekkiej kawalerii, obiektu marzeń wielu młodych oficerów. Jednak dobre świadectwo akademickie, kilka listów polecających i wojna na półwyspie, gdzie ciągle potrzebne były uzupełnienia, sprawiły ten cud.

Frédéric odłożył szmergiel i odgarnął włosy z czoła. Były jasnobrązowe, gęste, lecz nie osiągnęły jeszcze odpowiedniej długości, by zbierać je w kucyk i splatać warkoczyki typowe dla huzarów. Wąsy, kolejny charakterystyczny element, był nie więcej niż ułudą, policzki młodego Glüntza pokrywał zaledwie rzadki jasny meszek, codziennie golony z nadzieją, że to go wzmocni. Wszystko to nadawało mu chłopięcy wygląd.

Przyjrzał się szabli, zaciskając dłoń na rękojeści, i pobawił się chwilę refleksami płomienia olejnej lampy na klindze.

– To dobra szabla – powtórzył zadowolony i tym razem Michel de Bourmont powstrzymał się od komentarza. Był to model zwany żłudnie „lekkim modelem dla kawalerii roku XI”, ciężkie narzędzie do zabijania, o ostrzu długości trzydziestu siedmiu cali, jak nakazywał regulamin, na tyle krótkim, by nie ciągnęło się po ziemi, i wystarczająco długim, by wygodnie ścinać głowy wrogom na koniu i na ziemi. Właśnie takiej białej broni najczęściej używała lekka kawaleria, choć ten konkretny rodzaj nie był obowiązkowy. Michel de Bourmont, na przykład, miał szablę z roku 1786, nieco cięższą, która należała do jego krewnego zabitego pod Jeną i którą władał z niezwykłą swobodą. Tak przynajmniej twierdzili ci, którzy widzieli, jak się nią posługiwał kilka miesięcy wcześniej na wąskich uliczkach w pobliżu Pałacu Królewskiego w Madrycie, kiedy krew spływała mu po rękonożcu i rękawie dołmana aż do łokcia.

Frédéric położył szablę na kolanach i patrzył na nią z dumą; jej ostrze było nieskazitelne. Do zarzynania, powiedział jego towarzysz. Tak było, lecz jej młody właściciel nie miał jeszcze okazji do zarżnięcia czegokolwiek swoją bronią, której stal pozostawała nietknięta, bez najmniejszego uszczerbku: dziewicza – jeśli jego surowe luterańskie wychowanie pozwoliłoby mu odwołać się w myśli do tego słowa. Nieskalana krwią, podobnie jak sam Frédéric, którego nie skalał jeszcze dotyk kobiety. Jednak tej nocy, długo przed świtem, pod hiszpańskim niebem, ciężkim od gęstych chmur zasłaniających gwiazdy, kobiety były zjawiskiem bardzo odległym. Bliski był kolor krwi, brzęk stali uderzającej o stal wroga, pełen kurzu podmuch powietrza w galopie na polu bitwy. Takie przynajmniej były przewidywania pułkownika Letaca, aroganckiego Bretończyka dowodzącego pułkiem, brutalnego i odważnego.

– Sami wiecie, ehm, panowie, ci wieśniacy zbierają się wreszcie; jedna szarża, jedna, nie więcej, i przerażeni rozbiegną się po całej, ehm,

Andaluzji...

Frédéricowi podobał się Letac. Pułkownik miał twardą żołnierską głowę, blizny po szabli na policzkach; model człowieka roku II, Włochy z Pierwszym Konsulem i Austerlitz, i Jena, Eylau, Friedland... Europa od krańca do krańca, całkiem niezła kariera, biorąc pod uwagę, że rozpoczęła się od stopnia zwykłego kaprała w garnizonie w Brescie. Pułkownik zrobił na Frédéricu znakomite wrażenie, kiedy ten zaraz po przybyciu do pułku udał się złożyć mu wyrazy uszanowania. Krótkie spotkanie odbyło się w Aranjuezie. Młody podporucznik ubrał się z największą starannością i wystrojony w elegancki wyjściowy mundur koloru niebiesko-granatowego ze szkarłatną pelisą i w wysokie buty poszedł, by oddać się z mocno bijącym sercem pod rozkazy dowódcy Czwartego Pułku Huzarów. Letac przyjął go w gabinecie swej rezydencji – zarekwirowanej luksusowej posiadłości, z której okien widać było Tag, zataczający pełne wdzięku półkole między wierzbami.

– Jak pan powiedział, pana nazwisko? Ehm, podporuczniku Glüntz, no tak, mój drogi, to przyjemność mieć pana pośród nas, niech się pan przyzwyczai, sam pan wie, tu są najlepsi, prawdziwa śmietanka, tradycje i tak dalej... Pański dołman jest ze świetnego materiału. Z Paryża? No oczywiście, dobrze, młody przyjacielu, proszę wracać do swoich obowiązków... Niech pan przyniesie dumę pułkowi, i tak dalej, swej rodzinie, zapewniam pana, będę jak ojciec... Aha, i żadnych pojedynków, to źle widziane, gorąca krew, porywczość i te rzeczy, bardzo naganne, chyba że nie ma wyboru, ehm, honor, zawsze honor, wszystko między dżentelmenami, ehm, w rodzinie, sprawa dyskretna, sam pan, ehm, rozumie.

Pułkownik Letac cieszył się sławą dobrego jeźdźca i dzielnego żołnierza, a były to cechy najważniejsze dla każdego huzara. Dowodził

pułkiem silną ręką, łącząc swoisty paternalizm ze skuteczną, choć elastyczną dyscypliną, dzięki czemu był w stanie utrzymać w ryzach cztery szwadrony lekkiej kawalerii, które z tradycji i charakteru tworzyły jeden z najzuchwalszych, najbardziej niesfornych i najodważniejszych cesarskich regimentów. Agresywny i niezależny styl huzarów, który był przyczyną wielu bólów głowy w czasie pokoju, okazywał się wielce użyteczny podczas kampanii. Letac rządził tym pół tysiącem mężczyzn ze swobodą dającą się wytłumaczyć jedynie długim doświadczeniem wojskowym. Pułkownik starał się być stanowczy, rozsądny i sprawiedliwy dla swoich ludzi. Trzeba też oddać mu sprawiedliwość i przyznać, że zazwyczaj to się udawało. Miał także opinię człowieka okrutnego wobec wrogów, ale jako że był huzarem, nikt nie uważał tego za uszczerbek na jego zacności.

Ostrze szabli było już we właściwym stanie, by wypełnić nienagannie śmiertelną misję, do której zostało wymyślone. Frédéric Glüntz po raz ostatni przyjrzał się błyskom płomienia lampy wzdłuż całej klingi, a następnie wprowadził ją delikatnie do pochwy, pieszcząc palcami cesarskie N odbite na miedzianej gardzie. Michel de Bourmont, nadal palący w milczeniu na pryczy, zauważył ten gest i uśmiechnął się. Nie było w tym jednak lekceważenia. Frédéric wiedział już, jak interpretować każdy z uśmiechów swojego przyjaciela, od posępnego – i często niebezpiecznego – grymasu, który odsłaniał połowę jego białych i doskonałych zębów, nadając mu dość odległe podobieństwo do wilka tuż przed atakiem, aż do kumplowskiej, niepozobawionej czułości miny, zarezerwowanej dla garstki cenionych przezeń osób. Frédéric Glüntz należał do tych uprzywilejowanych.

– Jutro będzie wielki dzień – powiedział mu de Bourmont zza kłębu dymu, z ostatnim śladem uśmiechu błakającym się na ustach. – Sam wiesz, prawda, szarża, która, ehm, rozpędzi tych wieśniaków po, no tak, całej

Andaluzji. – Naśladowanie Letaca było doskonałe i pozbawione złośliwości, i teraz z kolei uśmiechnął się Frédéric. Potem, ciągle z szablą w dłoniach, pokiwał potakująco głową.

– Tak – usiłował odpowiedzieć tonem odpowiednio beztróskim, jaki zgodnie z założeniem jest właściwy dla huzarów w przededniu bitwy, która może ich kosztować życie. – Wydaje się, że sprawy wyglądają poważnie.

– Tak mówią pogłoski.

– Miejmy nadzieję, że tym razem będą uzasadnione.

De Bourmont podniósł się i usiadł na pryczy. Kucyk i dwa cienkie, jasne warkoczyki, które opadały od skroni aż do ramion, zgodnie z najstarszą tradycją korpusu, były nienagannie uczesane, rozpięty dołman – krótki i dopasowany niebieski kurtka Czwartego Pułku Huzarów – odsłaniał nieskazitelnie białą koszulę; poniżej obcisłych węgierskich spodni jeździeckich – też niebiesko-granatowych – lśniące ostrogi okalały czarne boty z cielęcej skóry, odpowiednio wyglansowane. Zachowanie tak poprawnego wyglądu nie było proste pod brezentem namiotu rozpiętego na pełnym kurzu płaskowyżu w pobliżu Kordoby.

– Dobrze ją naostrzyłeś? – zapytał, wskazując szablę Frédérica cybuchem fajki.

– Myślę, że tak.

De Bourmont znów się uśmiechnął. Dym sprawił, że przymknął oczy, nieprzyzwoicie niebieskie. Frédéric przyglądał się twarzy przyjaciela, na którą płomień lampy rzucał drżące cienie. Michel de Bourmont był pięknym chłopcem, którego maniery i powaga natychmiast zdradzały arystokratyczne korzenie. Pochodził ze słynnej rodziny z południa, jego ojciec miał dość rozsądku, by stać się obywatelem Bourmont, kiedy tylko pierwsi sankiuloci zaczęli przyglądać mu się posępnym wzrokiem. Stosowny podział pewnych ziem i bogactw oraz nie mniej szczęśliwe

antyroyalistyczne wyznanie wiary i subtelne, choć solidne więzy przyjaźni z najbardziej notorycznymi obcinaczami głów pozwoliły mu dryfować ze względną swobodą wśród burzy, która ogarnęła Francję, i obserwować, z nienaruszoną anatomią i dziedzictwem tylko w części pomniejszonym, niepohamowany wzrost zachłanności korsykańskiego parweniusza; ostatnie określenie, oczywiście, nie przedostawało się poza dyskretne rozmowy na poduszce w alkowie między panem i panią de Bourmont.

Michel de Bourmont syn był zatem tym, kogo przed 1789 rokiem, i teraz od dość niedawna, można było określić bez zbytniego ryzyka dla zainteresowanego jako młodzieńca szlacheckiego rodu. Poświęcił się karierze wojskowej od najwcześniejszych lat, z pieniędzmi w kieszeni, po swojemu przydając temu strumieniowi nadętej pospolitości, jakim było wojsko napoleońskie, odrobinę stylu, który dzięki jego osobistym zaletom, wspaniałomyślności i szczególnemu wyczuciu zachowań społecznych nie tylko był jak najdalszy od irytowania kolegów i zwierzchników, ale nawet uznano go w pułku za dobry ton i często naśladowano. Był młody – właśnie skończył w Hiszpanii dwadzieścia lat – sympatyczny, przystojny i nie raz już udowodnił swoje męstwo. Wszystko to pozwoliło Michelowi de Bourmont odzyskać bez specjalnych podejrzeń otoczenia owo *de*, stosownie zapomniane przez ojca w nieszczęsnych dniach rewolucyjnego zamętu. Jego awans na stopień porucznika był już faktem i tylko brakowało kilku tygodni do oficjalnego potwierdzenia.

Dla Frédérica Glüntza, młodego podporucznika karmiącego się snami o potędze, jakie mogą powstać w otwartym umyśle dziewiętnastolatka, pułkownik Letac był wzorem człowieka, jakim chciałby kiedyś zostać, podczas gdy Michel de Bourmont był kimś więcej: uosobieniem osobistej i społecznej rangi, której nigdy, nawet gdyby w przyszłości dorobił się fortuny, nigdy nie osiągnie. Nawet Letac, który przez dwadzieścia lat

ciężkich kampanii osiągnął wszystko, czego ambitny i lojalny żołnierz może pragnąć, i był o krok od szlifów cesarskiego generała, nigdy nie będzie miał tak dystygowanego wyglądu, biorącego się z dobrego pochodzenia, tego szczególnego stylu kogoś, kto według słów samego pułkownika „robił siku w dzieciństwie, rozumiecie, na autentyczne perskie kobierce...”. De Bourmont miał wszystko, nie chełpiąc się zbytnio – całkowita skromność byłaby niewłaściwa dla oficera huzarów, jednostki najbardziej elitarnej, wystawnej i zarozumiałej w całej lekkiej kawalerii Cesarza. Dlatego podporucznik Frédéric Glüntz, syn prostego mieszczanina, podziwiał go.

Kiedy obydwaj ze stopniem podporucznika zostali przydzieleni do tego samego szwadronu, narodziła się między nimi przyjaźń, jak zazwyczaj się to zdarza w młodym wieku: w sposób niezauważony, w wyniku wzajemnej sympatii opierającej się raczej na instynkcie niż na racjonalnych przesłankach. Bez wątpienia fakt, że dzielili ten sam namiot jako kwaterę polową, pomógł zacieśnić łączącą ich więź; miesiąc wspólnego stawiania czoła trudom wojskowego życia bardzo łączy, zwłaszcza jeśli do tego dochodzi zbieżność gustów i młodzieńczych marzeń. Wzajemnie poczynili pewne dyskretne zwierzenia i ich bliskość pogłębiła się do tego stopnia, że przeszli na „ty”, rzecz znacząca dla rodzaju ich związku, jeśli wziąć pod uwagę, że pomiędzy oficerami Czwartego Pułku Huzarów forma „pan” była rygorystycznie przestrzegana jako zgodny z protokołem sposób zwracania się do siebie we wszelkich kontaktach.

Pewne dramatyczne zajście wyznaczyło moment, gdy przyjaźń między Fréderikiem Glüntzem i Michelem de Bourmont utrwaliła się na dobre. Rzecz zdarzyła się parę tygodni wcześniej, kiedy ich regiment rozlokowany został w Kordobie i przygotowywał się, by wyruszyć do akcji. Obydwaj podporucznicy, nie mając tego wieczora służby, wyszli na spacer wąskimi

uliczkami miasta. Przechadzka była miła, temperatura przyjemna, po drodze wiele razy zatrzymywali się, by opróżnić kolejne szklanice hiszpańskiego wina. Przechodząc obok jakiegoś domu, przelotnie ujrzeni w oświetlonym oknie śliczną dziewczynę i obaj dłuższą chwilę stali naprzeciwko kraty, z nadzieją zobaczenia jej ponownie. Tak się jednak nie stało, więc rozczarowani, postanowili wstąpić do tawerny, by andaluzyjskie wino wymazało wspomnienie pięknej nieznanym. Gdy przekroczyli próg, powitało ich radośnie dobre pół tuzina francuskich oficerów, pośród których było także dwóch z Czwartego Pułku Huzarów. Zaproszeni, by przyłączyć się do kompanii, chętnie to uczynili.

Wieczór upływał na ożywionej rozmowie, zakrapianej dzbankami i butelkami wina, podawanymi bez ustanku przez ponurego karczmarza. Minęły przyjemnie jakieś dwie godziny, aż porucznik konnych strzelców o nazwisku Fucken, opierając łokcie na poplamionym winem stole, zaczął formułować krytyczne uwagi na temat lojalności względem Cesarza niektórych potomków starych arystokratycznych rodów. Lojalność tę Fucken uważał za bardzo dyskusyjną.

– Jestem pewien – powiedział – że jeśli rojalistom udałoby się stworzyć prawdziwą armię i starlibyśmy się z nią w bitwie, niejeden z tych, którzy teraz są z nami, przeszedłby na stronę wroga. Lilie mają we krwi.

Choć uwaga ta pojawiła się pośród oparów alkoholu i w atmosferze nasyconej dymem z fajek i cygar, nic nie usprawiedliwiało jej niestosowności. Wszyscy obecni, łącznie z Frédérikiem, spojrzeli na Michela de Bourmont, który reakcję na te słowa uznał za konieczną. Wykrzywił usta w swym charakterystycznym uśmiechu wilka, jednak spojrzenie, jakie skierował ku nieostrożnemu porucznikowi, zimne jak bryła lodu, jasno wskazywało, że w jego minie nie było nawet śladu dobrego humoru.

– Poruczniku Fucken – powiedział z całkowitym spokojem, w pełnej oczekiwania ciszy, jaka zaległa wokół stołu. – Wnoszę, że pana niestosowna uwaga dotyczy określonej klasy, do której mam zaszczyt należeć. Czyżbym się mylił?

Fucken, Lotaryńczyk o kręconych włosach i czarnych oczach, który z grubsza przypominał z wyglądu Murata, zamrugał z zakłopotaniem. Miał świadomość swojego błędu, jednak zbyt wielu oficerów było obecnych przy całej scenie. Nie mógł wycofać się z tego, co powiedział.

– Jeśli ktoś uważa, że te słowa go dotyczą, to już nie moja sprawa – odrzekł, wysuwając dolną szczękę.

Wszyscy świadkowie spojrzeli po sobie, jakby zrozumieli, że musi zdarzyć się to, co nieuniknione. Należało tylko z najwyższą uwagą śledzić rytuał, który niewątpliwie zaraz nastąpi. Ich twarze wyrażały powagę, zaciekawienie i gotowość, by nie uronić najmniejszego szczegółu rozmowy. Każdy z nich już teraz zachowywał w pamięci słowa i gesty, o których – kiedy wszystko się skończy – będą mogli opowiadać towarzyszom ze swoich jednostek.

Frédéric, który po raz pierwszy znalazł się w podobnej sytuacji, był zaskoczony i skrępowany, lecz jego brak doświadczenia w tych sprawach nie przeszkadzał mu uchwycić sensu tej dramatycznej sceny ani ocenić jej konsekwencji. Patrzył na swego przyjaciela de Bourmonta, odstawiającego szklankę na stół z zamierzoną powolnością. Kapitan, najstarszy spośród obecnych oficerów, mruknął mało przekonywające „panowie, zachowajmy rozsądek”, próbując uspokoić temperamenty, nikt jednak nie zwrócił na jego słowa większej uwagi ani ich nie podchwycił. Kapitan wzruszył ramionami: to też należało do rytuału.

De Bourmont wyciągnął z rękawa dołmana chusteczkę, starannie otarł usta i wstał.

– Niestosowne aluzje zazwyczaj omawiam z szablą w dłoni – powiedział z tym samym lodowatym uśmiechem. – Choć różnimy się stopniem, mam nadzieję, że dla dobrego imienia munduru, jaki obydwaj nosimy, będzie pan gotów dać mi satysfakcję wspólnego ze mną omówienia tego tematu.

Fucken nadal siedział, wpatrując się nieruchomo w swego przeciwnika. Widząc, że nie odpowiada na jego słowa, de Bourmont delikatnie oparł dłonie na stole.

– Jestem świadomy – kontynuował tym samym tonem – że zwyczajowo w podobnych sprawach oficerowie różniący się stopniem nie rozwiązują z bronią w ręku kwestii prywatnych... Jednak, jako że mój awans do stopnia porucznika jest już zatwierdzony i za parę tygodni otrzymam stosowny dokument, uważam, że aspekt formalny zostaje w ten sposób rozwiązany. Moglibyśmy poczekać do chwili, gdy mój nowy stopień będzie mi przyznany oficjalnie, ale, poruczniku Fucken, za kilka dni nasze regimenty ruszają do walki. Byłbym niezmiernie zirytowany, gdyby ktoś zabił pana przede mną.

Ostatnie słowa wypowiedziane przez de Bourmonta nie mogły zostać niedostrzeżone i wszyscy obecni w milczeniu podziwiali ich stosowność, choć nie pozostawiały one Fuckenowi, jako oficerowi i człowiekowi honoru, innego wyjścia niż pojedynek.

Fucken powstał.

– Kiedy pan zechce – odpowiedział stanowczo.

– Zatem natychmiast, proszę.

Frédéric wypuścił z płuc powietrze, wcześniej zatrzymywane, i wstał wraz z innymi, oszołomiony. De Bourmont odwrócił się do niego i spojrzał z powagą niespotykaną wcześniej między nimi.

– Podporuczniku Glüntz... Czy będzie pan uprzejmy zostać jednym z mych sekundantów?

Frédéric pospiesznie wymamrotał pozytywną odpowiedź, czując, jak się czerwieni. De Bourmont wziął jeszcze na sekundanta innego huzara, porucznika z drugiego szwadronu. Fucken z kolei wybrał owego kapitana, najstarszego wiekiem oficera, i porucznika ze swojego pułku. W czwórkę – choć raczej należałoby powiedzieć: w trójkę, przy niemej aprobacie Frédérica – odeszli na bok, by omówić formę i miejsce, gdzie odbędzie się starcie, podczas gdy obaj milczący przeciwnicy, w otoczeniu swych przyjaciół i kolegów, unikali wzajemnych spojrzeń, zanim nadejdzie chwila, by wziąć broń do ręki.

Postanowiono, że walczyć będą na szable, a sekundujący Fuckenowi kapitan zaproponował właściwe do tego miejsce, ukryte przed wzrokiem zbędnych obserwatorów, gdzie sprawę można rozwiązać dyskretnie: ogród otaczający opuszczony dom na przedmieściu. Wszyscy podążyli więc w tym kierunku, zachowując powagę stosowną do okoliczności i oświetlając sobie drogę dwiema lampami zabranymi z tawerny.

Noc nadal była ciepła, a niebo pokryte gwiazdami wokół cienkiego i ostrego jak sztylet księżyca. Kiedy dotarli do ogrodu, szybko przystąpili do przygotowań. Przeciwnicy rozebrali się do koszuli, stanęli w kręgu oświetlonym przez lampy i chwilę później mierzyli się już na szable.

Fucken był odważny. Atakował ostro, bardzo ryzykownie, chciał zranić przeciwnika w głowę lub ramię. De Bourmont walczył spokojnie, niemal obronnie, obserwując przeciwnika i pokazując, że pobierał nauki u znakomitego fechtmistrza. Pot zaczynał już zwilżać koszule obu, kiedy Fucken został lekko ranny w starciu i międląc w ustach przekleństwo, cofnął się kilka kroków i przyjrzał struźce krwi płynącej mu po lewym ramieniu. De Bourmont zatrzymał się i opuścił szablę.

– Jest pan ranny – powiedział z uprzejmością, w której nie było ani cienia triumfu. – Czy dobrze się pan czuje?

Fucken był zaślepiony wściekłością.

– Doskonale! Walczmy dalej!

De Bourmont lekko skinął głową, zatrzymał w kwarcie straszliwe pchnięcie swojego przeciwnika i wymierzył, jeden po drugim, trzy sztychy szybkie jak błyskawica. Trzecim z nich ugodził Fuckena w lewy bok, nie przebijając żeber, lecz otwierając ranę. Fucken zbladł, wypuścił z ręki szablę i patrzył na de Bourmonta mglistym spojrzeniem.

– Sądzę, że już dosyć – rzekł de Bourmont, przekładając szablę do lewej dłoni. – Co do mnie, jestem usatysfakcjonowany.

Fucken nadal patrzył na niego z zaciśniętymi zębami, dłonią przyciskał ranę, z widocznym wysiłkiem trzymał się na nogach.

– Słusznie – odrzekł słabym głosem.

De Bourmont wsunął szablę do pochwy i pozdrowił go z wyszukaną uprzejmością.

– Walka z panem była dla mnie zaszczytem, poruczniku Fucken. Naturalnie, pozostaję do dyspozycji, gdyby po wyleczeniu ran zechciał pan kontynuować tę dyskusję.

Ranny zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie będzie to konieczne – powiedział szczerze. – To była uczciwa walka.

Wszyscy obecni byli co do tego zgodni, sprawa została zakończona. Wyleczenie się z ran zajęło porucznikowi strzelców konnych dziesięć dni, a wspólni znajomi mówili, że kiedy wspomniano pojedynek, Fucken bez wahania zapewniał, iż walka z człowiekiem, który w każdej chwili zachowaniem dowodzi swej kondycji oficera i dżentelmena, była zaszczytem.

Wypadek ten bardzo szybko stał się pożywką dla rozmów podczas spotkań oficerów garnizonu w Kordobie, wzbogacając zbiór anegdot obu zaangażowanych regimentów. Pułkownik Letac, dowódca Czwartego Pułku Huzarów, wezwał de Bourmonta i skierował do niego burzliwą diatrybę, po której młodzieniec otrzymał dwadzieścia dni aresztu domowego. Później, komentując to zdarzenie z adiutantem, majorem Hulotem, Letac uznał za stosowne wyjawić, co prywatnie sądzi o tym wydarzeniu.

– Do diabła, Hulot, cieszę się na myśl, ehm, jaką będzie miał minę stary Dupuy, no, wie pan, ten nadęty pułkownik strzelców, u licha, dwie dziury w skórze jednego z tych jego szczeniaków, mówili mi, że dobre cięcie, świetne, i w ogóle, ale najważniejsze, żeby nasz regiment budził szacunek, ehm, huzar to huzar, do stu diabłów, pomińmy, że różnią się stopniem, to niewłaściwe, ale, ehm, to sprawa honoru i w ogóle... Ten młody Bourmont, dobra rodzina, wyrósł nam na pojedyńkowicza, opanowany, przyjął moją przemowę bez zmruczenia oka, klasa, ma klasę i w ogóle, wlepiłem mu dwadzieścia dni, a chłopak nic, pewnie śmiał się w duchu, spryciarz, bo nawet ostatni ciura wie, że wyruszamy do walki najdalej za tydzień, ale trzeba, widzi pan, zachować pozory, czysta formalność, ehm, i tak dalej. Ale o tym wszystkim, Hulot, ani słowa, to wszystko w zaufaniu, no właśnie.

Nie trzeba dodawać, że wszystko, co pułkownik powiedział w zaufaniu, zostało powtórzone wiernie pod względem formy i treści przez majora Hulota każdemu, kto stanął na jego drodze.

Co do dwudziestu dni aresztu zasądzonych podporucznikowi de Bourmont, to zostały one poważnie zredukowane ze względu na potrzeby wynikające ze służby. Letac wyznaczył karę w poniedziałek, a w czwartek o świcie Czwarty Pułk Huzarów opuszczał Kordobę.

Od tego czasu minęły już dwa tygodnie i o wiele ważniejsze sprawy zaprzętały teraz uwagę regimentu. Frédéric Glüntz odłożył szablę na bok i spojrzał na przyjaciela. Od dobrej chwili miał na końcu języka pewne pytanie.

– Michel... Co się czuje?

– Słucham?

Frédéric uśmiechnął się nieśmiało. Wyglądał, jakby przepraszał za stawianie tak intymnej kwestii.

– Chciałbym wiedzieć, co czujesz, kiedy kogoś atakujesz... Znaczy, mam na myśli wroga. Kiedy strzelasz tak, żeby zabić, kiedy zadajesz cios szablą.

Wilczy grymas zmarszczył usta Michela de Bourmont.

– Nic się nie czuje – odparł z całkowitą naturalnością. – To tak, jakby świat wkoło przestał istnieć... Głowa i serce pracują bardzo szybko, starając się, by właściwe cięcie trafiło we właściwe miejsce.

– A przeciwnik?

De Bourmont lekceważąco wzruszył ramionami.

– Przeciwnik to tylko druga szabla poruszająca się w powietrzu w poszukiwaniu twojej głowy; szabla, której należy unikać dzięki własnej zręczności, szybkości i precyzji.

– Byłeś w Madrycie podczas walk w maju...

– Tak. Ale to nie był przeciwnik – teraz w głosie de Bourmonta słychać było pogardę. – To była hołota, którą szablami nauczyliśmy porządku, a potem rozstrzelaliśmy prowodyrów.

– Walczyłeś też w pojedynku z Fuckenem.

De Bourmont spojrzał wymijająco.

– Pojedynek to pojedynek – powiedział, tak jakby stwierdzał coś oczywistego, czego nie da się wyjaśnić w inny sposób. – Pojedynek to sprawa między dżentelmenami, określona regułami, którą zainteresowani rozwiązują honorowo.

– Ale tamtego wieczoru w Kordobie...

– Tamtego wieczoru w Kordobie porucznik Fucken nie był moim wrogiem.

Frédéric zaśmiał się z niedowierzaniem.

– Ach, nie? No to kim był? Wymieniliście z tuzin dobrych pchnięć, a on zarobił wtedy porządną ranę.

– To normalne. Po to wyszliśmy tamtego wieczoru, mój drogi. Po to, żeby się bić.

– I Fucken nie był wrogiem?

De Bourmont zaprzeczył ruchem głowy, długo pociągając fajkę.

– Nie – rzekł po chwili. – Był przeciwnikiem. Wróg to co innego.

– Na przykład?

– Na przykład Hiszpanie. To wróg.

Frédéric poruszył głową zaskoczony.

– Ciekawe, Michel. Powiedziałaś Hiszpanie... To znaczy: cały ten kraj. Czy się mylę?

Twarz Michela de Bourmont spochmurniała. Przez chwilę milczał.

– Wcześniej wspominałeś wydarzenia majowe w Madrycie – odezwał się w końcu z powagą. – Ta fanatyczna hałastrą, wrzeszcząca na ulicach, miała w sobie coś złowrogiego, coś, co przerażało, zapewniam cię. Trzeba było tam być, żeby zrozumieć, o czym mówię... Pamiętasz, jak wypatroszony Juniac wisiał na drzewie? Nie opowiadali ci jeszcze o zatrutych studniach, o naszych towarzyszach mordowanych podczas snu, o

zasadkach nieznających litości partyzantów? Posłuchaj dobrze tego, co ci powiem: tu nawet psy, ptaki, słońce i kamienie są naszymi wrogami.

Frédéric utkwiał wzrok w płomieniu świecy, starając się wyobrazić sobie twarze wroga u tych brudnych, czarnych ludzi, którzy w milczeniu obserwowali ich przemarsz ze swych pobielonych wapnem domów odbijających palące słońce Andaluzji. Głównie były to kobiety, starcy i dzieci. Silni mężczyźni uciekli w góry, do ogromnych gajów oliwnych, rozciągających się na zboczach. Major Berret, dowódca szwadronu, dobrze ich określił przy zwłokach Juniaca:

– To bydło. I tak będziemy ich zabijać – jak zwierzęta w pułapce, bez litości. Daję słowo, że na każdym drzewie tej przeklętej ziemi powiesimy po jednym Hiszpanie.

Frédéric jeszcze nie był świadkiem żadnego spotkania ze zbuntowanymi oddziałami hiszpańskimi ani nawet z uzbrojonymi bandami, które nazywały siebie partyzantką. Ale okazja taka miała się nadarzyć już wkrótce. Jednostki zbuntowanego wojska i bandy wieśniaków zbierały się właśnie, by dać odpór ośmiu tysiącom francuskich żołnierzy dowodzonych przez generała Darnanda, którzy mieli za zadanie oczyścić cały region z wrogich elementów, zapewniając komunikację między Jaenem i Kordobą.

Nie była to taka wojna, jaką sobie wyobrażał podporucznik Frédéric Glüntz, lecz bez wątplenia była to wojna. Jej skrajnie brudna odmiana, ale nie mieli wyboru. Widok buntowników powieszonych przez patrole idące przodem – niemi, ślepi, nieruchomi świadkowie, z wywalonym językiem i wytrzeszczonymi oczami, nagie, czarne ciała, otoczone gęstym rojem much – był niemal codzienny na drodze przemarszu wojsk Cesarza. Samemu pułkownikowi Letacowi, gdy wszedł do maleńkiej wioski o nazwie Cecina, zabito najlepszego konia; jeden strzał z muszkietu i wspaniała klacz padła na ziemię, trzeba było ją dobić. Nie udało się znaleźć sprawcy, więc

rozwścieczony tym incydentem Letac – to niedopuszczalne, panowie, taka wspaniała klacz, nieprawdaż? Wstrętne tchórzostwo, ehm, i w ogóle – nakazał stosowne represje:

– Sami wiecie, powieście mi, ehm, któregoś z tych nędzników, którzy pewnie nic nie widzieli ani nie słyszeli, do licha, dajcie im przykładową lekcję, księdza, tak, oczywiście, to tutejsza zaraza, panowie, niech jeden już więcej z ambony nie namawia do buntu...

Przyprowadzono księdza, człowieka w średnim wieku, po pięćdziesiątce, niskiego i krzepkiego, z tonsurą powiększoną przez łysinę, niedogolonego, ubranego w zbyt krótką sutannę, całą poplamioną, nie wiadomo dlaczego luteranin Frédéric pomyślał, że winem mszalnym. Nie było przesłuchania ani słowa rozmowy: rozkaz Letaca automatycznie stawał się wyrokiem. Konopny powróż zaczepiono o żelazne pręty balkonu w ratuszu. Ksiądz patrzył na nich, mały i ponury, stojąc między dwoma huzarami, którym sięgał najwyżej do ramienia, z czołem zlanym potem, zaciśniętymi ustami i gorączkowym wzrokiem utkwionym w przeznaczony dla niego sznur. Wioska zdawała się wyludniona, na ulicy nie było żywego ducha, jednak za przymkniętymi okiennicami można się było domyślić pełnej lęku obecności mieszkańców.

Kiedy zarzucono mu pętlę na szyję, zanim dwóch tęgich huzarów pociągnęło za drugi koniec powroza, ksiądz zdążył wycedzić przez zęby słowa „synowie szatana”, doskonale słyszalne, choć zaledwie poruszył wargami. Potem splunął w kierunku Letaca, wsiadającego na nowego konia, i pozwolił się powiesić bez dodatkowych komentarzy. Kiedy ostatni żołnierze wyjechali ze wsi – Frédéric tego dnia dowodził plutonem tylnej straży – kilka ubranych na czarno staruszek przeszło powoli przez rynek, uklękło u stóp księdza i zaczęło się modlić.

Cztery dni później patrol znalazł na zakręcie drogi zwłoki kuriera. Był to podporucznik huzarów z drugiego szwadronu, młodzieniec wysoki i melancholijny, którego Frédéric znał z czasów wspólnej podróży z Burgos do Aranjuezu, gdzie obaj zostali wcieleni do tego samego regimentu. Juniac – tak się nazywał nieszczęśnik – był zupełnie nagi, przywiązany za nogi do gałęzi drzewa, z głową w odległości dwóch piędzi od ziemi. Rozpruto mu brzuch, a wnętrzności, pokryte rojem much, zwisały niby potworny łup. Najbliższa wioska nazywała się Pozocabrera i była wyludniona; jej mieszkańcy zabrali z sobą wszystko, do ostatniego ziarnka zboża. Letac rozkazał zrównać ją z ziemią i Czwarty Pułk Huzarów pomaszerował dalej.

Taka była wojna w Hiszpanii i Frédéric bardzo szybko się tego nauczył: „Nigdy nie poruszajcie się pojedynczo, nigdy nie odchodźcie od towarzyszy, nie zapuszczajcie się bez zachowania należytej ostrożności w tereny zadrzewione czy nieznane, nigdy nie przyjmujcie od miejscowych wody czy jedzenia, jeśli oni sami nie spróbowali ich wcześniej, nigdy nie wahajcie się bez litości poderznąć gardła tym nędznym sukinsynom...”. Wszyscy jednak byli przeświadczeni, między nimi i Frédéric, że taka sytuacja nie potrwa zbyt długo. Surowość i obfitość przykładowych kar szybko skierują sprawy na właściwą drogę. Trzeba tylko więcej wieszać, rozstrzeliwać więcej tej fanatycznej i ciemnej hołoty, zakończyć raz na zawsze pacyfikację Hiszpanii i przystąpić do dzieł przynoszących większą chwałę. Mówiono, że Anglia przygotowuje ogromną wyprawę morską na Półwysep Iberyjski, a to jest przeciwnik godny, by zmierzyć się z nim jak równy z równym: okazałe szarże kawalerii, ruch wielkich oddziałów, bitwy o wspaniałych nazwach, które znajdą się w podręcznikach do historii, a dla Frédérica Glüntza będą stopniami do sławy i chwały, jakże różne od tej kampanii, w której prawie nie widać twarzy wroga. Tak czy inaczej, jeśli spełnią się przewidywania, jutro może być pierwszy z wielkich dni. Obie

dywizje generała Darnanda staną naprzeciwko wojska zorganizowanego zgodnie z regułami, którego większość stanowią regularne jednostki. Za kilka godzin podporucznik Glüntz ze Strasburga przejdzie swój chrzest ognia i krwi.

De Bourmont z uniesioną brwią starannie opróżniał fajkę, skoncentrowany na tym zajęciu. Odległy łoskot pioruna zabrzmiał z dala, z północy, dobrze słyszalny przez płótno namiotu.

– Mam nadzieję, że jutro nie będzie padać – powiedział Frédéric z cieniem zmartwienia w głosie. Dla kawalerii deszcz oznacza błoto, trudności w manewrowaniu szwadronów. Przez chwilę miał niepokojącą wizję wierzchowców unieruchomionych w błocie.

Przyjaciel zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie sądzę. Słyszałem, że o tej porze roku w Hiszpanii rzadko pada. Przy odrobinie szczęścia nic nie stanie na przeszkodzie, żebyś miał swoją szarżę kawalerii. – Znow się uśmiechnął, szczerze, po przyjacielsku. – To znaczy, żebyśmy obaj ją mieli, oczywiście.

Frédéric podziękował mu w myśli za słowo „obaj”. Piękna jest przyjaźń pod namiotem polowym, przy płomieniu świecy, w przeddzień bitwy. Mój Boże, jakże piękna potrafi być wojna!

– Będziesz się śmiał – powiedział cicho, świadomy, że właśnie nadeszła pora odpowiednia do zwierzeń – ale zawsze wyobrażałem sobie moją pierwszą szarżę w pełnym blasku słońca, mundury i naga stal błyszczące w jego promieniach, pokrywające się kurzem podczas galopu...

– „Najwyższe uniesienie, gdy twymi jedynymi przyjaciółmi są twój koń, twoja szabla i Bóg, w tej kolejności” – wyrecytował de Bourmont, przytykając oczy, żeby sobie przypomnieć całe zdanie.

– Kto to napisał?

– Nie wiem. A raczej nie pamiętam. Gdzieś to przeczytałem, wiele lat temu, w bibliotece mojego ojca.

– Dlatego zostałeś huzarem?

De Bourmont zamyślił się chwilę.

– Możliwe – odrzekł. – To prawda, że zawsze byłem ciekawy, czy taka kolejność jest rzeczywiście poprawna. W Madrycie uznałem, że moim najlepszym przyjacielem jest szabla.

– Może jutro zmienisz zdanie i zdecydujesz, że jednak to będzie Rostand, twój koń. Albo może Bóg.

– Może. Ale obawiam się, że postawiony przed takim wyborem wolę, żeby nie zawiódł mnie koń. A ty?

Frédéric spojrział z powątpiewaniem.

– Prawda jest taka, że jeszcze nie wiem. Szabla – wskazał ruchem ręki na broń umieszczoną w metalowej pochwie ozdobionej czarną skórą – nie może zawieść, a ramię, które nią włada, jest dobrze przygotowane. Mój koń, Noirot, to wspaniałe zwierzę, reaguje na ucisk moich kolan niemal równie dobrze jak na drobny ruch wodzy. A Bóg... No cóż, w domu odebrałem – mimo że urodziłem się w roku zburzenia Bastylia – wychowanie religijne. Potem wojskowe życie stwarza inną atmosferę, ale trudno zrezygnować z przekonań, jakie ci wpojono w dzieciństwie. Swoją drogą, podczas bitwy Bóg musi być zbyt zajęty, żeby troszczyć się jeszcze o mnie. Hiszpanie, którzy staną naprzeciwko nas, wierzą w swojego papieskiego i dogmatycznego Boga o wiele bardziej fanatycznie niż ten oto cesarski huzar; bez przerwy przysięgają, że Bóg jest z nimi, a nie z nami, którzy jesteśmy wcieleniem wszelkiego piekielnego zła. Pewnie biednego Juniaca złożyli w ofierze Chrystusowi, jak w pogańskiej ceremonii, wypruwając mu flaki i wieszając za stopy na drzewie oliwnym...

– A zatem? – spytał de Bourmont, zasepiony wspomnieniem Juniaca.

– Zatem pozostaję z szablą i koniem.

– Tak mówi huzar! Letac by się ucieszył, gdyby to słyszał.

De Bourmont zdjął buty i dołman i znów wyciągnął się na pryczy. Założył ręce pod głowę i zamknął oczy, nucąc pod wąsem włoską piosenkę. Frédéric wyjął z kieszonki w kamizelce srebrny zegarek z wygrawerowanymi inicjałami, który podarował mu ojciec w dniu, kiedy opuszczał Strasburg, żeby podjąć studia w szkole wojskowej. Była jedenasta trzydzieści w nocy. Wstał leniwie, masując sobie nerki, i umocował szablę w lederwerkach wiszących na maszcie namiotu, obok przypinanej do siodła kabury z dwoma pistoletami, które sam starannie naładował parę godzin wcześniej.

– Wyjdę zaczerpnąć powietrza – powiedział do de Bourmonta.

– Powinieneś spróbować się przespać – odrzekł jego przyjaciel, nie otwierając oczu. – Jutro czeka nas burzliwy dzień. Nie będzie czasu na odpoczynek.

– Tylko rzucę okiem na Noirota. Zaraz wracam.

Narzucił dołman na ramiona, odsunął brezent namiotu i wyszedł na zewnątrz, oddychając nocnym powietrzem. Światło żaru barwiło na czerwono twarze pół tuzina żołnierzy, który rozmawiali, siedząc wokół ogniska. Frédéric obserwował ich przez chwilę, a potem ruszył w kierunku stajni obozowych, skąd co chwilę dobiegało nerwowe rżenie koni.

Sierżant Oudin, koniuszy szwadronu, grał w karty z innymi podoficerami w namiocie otwartym z dwóch stron. Na drewnianym stole, obok talii zatłuszczonych kart, stały butelki wina i liczne szklanki. Oudin i reszta wstali, widząc Frédérica.

– Na rozkaz, panie podporuczniku – zameldował Oudin, wąsaty, z poznaczoną śladami ospy twarzą czerwoną od wina. – W stajniach bez zmian.

Sierżant był gderliwym, lubiącym wypić weteranem, zawsze w podłym humorze, jednak znał konie tak, jakby sam je wszystkie urodził. Nosił złoty kolczyk w lewym uchu i dwa warkoczyki, które farbował, żeby ukryć siwe włosy. Jego mundur, tak jak u większości huzarów, przeładowany był haftami i szamerunkiem. W kwestii stroju lekka kawaleria raczej nie kierowała się umiarem.

– Idę obejrzyć mojego konia – poinformował go Frédéric.

– Proszę bardzo, panie podporuczniku – odparł sierżant, zachowując pełną dyscypliny postawę wobec chłopca, który był w wieku jego najmłodszego syna. – Czy życzy pan sobie, bym mu towarzyszył?

– Nie trzeba. Mam nadzieję, że Noirot stoi tam, gdzie zostawiłem go dziś po południu.

– Tak, panie podporuczniku. W zagrodzie oficerskiej, przy kamiennym murze.

Frédéric oddalił się ścieżką w ciemności, a Oudin powrócił do kart, rzuciwszy mu wcześniej spojrzenie pełne źle ukrywanej podejrzliwości. Nie lubił, kiedy ktoś wtykał nos do koni; dopóki nie były osiodłane, ponosił za nie pełną odpowiedzialność. To on troszczył się, by niczego im nie brakowało i by te szlachetne maszyny wojenne zawsze były czyste i nakarmione. Kiedyś, przed laty, doszło do czegoś więcej niż wymiany słów z pewnym sierżantem kirasjerów, który pozwolił sobie wyrazić niepochlebną opinię na temat jednego z koni powierzonych jego opiece. Kirasjer stanął przed wrotami rajy z czołem otwartym cięciem szabli i już nigdy nikt spośród świadków tej sceny nie odezwał się słowem komentarza na temat zwierząt, którymi zajmował się sierżant Oudin.

Noirot był pięknym, sześciolatnim karym rumakiem, z przyciętymi grzywą i ogonem. Nie był zbyt wysoki, ale miał mocne nogi i szeroką pierś. Frédéric kupił go w Paryżu – wydał całą swoją skromną fortunę, uważając,

że oficer huzarów zasługuje na dobrego konia. Więcej, od konia może zależeć jego życie.

Noirot stał przy kamiennym murze rozdzielającym dwa gaje oliwne, z pyskiem zanurzonym w worku paszy. Kiedy poczuł obecność swego pana, zarżał delikatnie. W świetle odległych ognisk Frédéric podziwiał wspaniały wygląd zwierzęcia, przejechał dłonią po wyszczotkowanym grzbiecie, a potem zanurzył rękę w worku, żeby pogłaskać konia po pysku.

Na horyzoncie błysnęło, po chwili dobiegł grzmot, wygłuszony odległością. Konie zarżały z niepokojem, a Fréderikiem wstrząsnął dreszcz; uniósł twarz, żeby przyjrzeć się niebu, zasłoniętemu chmurami i czarnemu jak atrament. Obok ogrodzenia przemknął patrol zwiadowców, mężczyźni pochyleni na swych koniach, ciche cienie przemierzające noc. Frédéric spojrzał jeszcze raz na niebo, pomyślał o deszczu, o poruczniku Juniacu wiszącym głową w dół na drzewie oliwnym, o ciemnych i okrutnych twarzach wieśniaków i po raz pierwszy w życiu poczuł w ustach smak strachu.

Pogłaskał Noirotą po grzywie i przytulił głowę do szlachetnego łba zwierzęcia.

– Dbaj jutro o mnie, stary przyjacielu.

Michel de Bourmont nie spał jeszcze; podniósł głowę, gdy Frédéric wszedł do namiotu.

– Wszystko w porządku?

– Tak, poszedłem zobaczyć konie; Oudin doskonale o nie dba.

– Sierżant zna swoją robotę – de Bourmont też odwiedził stajnie, parę godzin przed Fréderikiem. – Prześpisz się czy wolisz trochę koniaku?

– Sądziłem, że to ty chciałeś się przespać.

– To prawda. Ale przedtem mam ochotę na koniak.

Frédéric uniósł wieko kufra przyjaciela, wyciągnął butelkę w futerale z tłoczonej skóry i napełnił dwa metalowe kieliszki.

– Zostało coś jeszcze? – zapytał de Bourmont, patrząc na podany trunek.

– Jeszcze na dwa kieliszki.

– Zostawmy więc resztę na jutro. Nie wiem, czy Franchot zdąży uzupełnić zapas przed wymarszem.

Zadźwięczał metal kieliszków i wypili – Frédéric powoli, de Bourmont jednym haustem. Jak zawsze, po huzarsku.

– Wygląda na to, że będzie padało – powiedział Frédéric po chwili. Nikt nie mógłby doszukać się w jego głosie choćby cienia niepokoju, po prostu głośno wypowiedział myśl. A jednak natychmiast pożałował swoich słów, jeszcze zanim skończył mówić. De Bourmont zachował się wspaniale.

– Wiesz co? – odezwał się pogodnym tonem. – Przed chwilą zastanawiałem się nad tym i muszę ci się przyznać, że zacząłem się martwić, wiesz, błotem i tą całą resztą. Jednak deszcz ma też dobre strony – pociski artyleryjskie, spadając, wbijają się głębiej w miękką ziemię i siła kartaczy jest znacznie mniejsza. A jeśli nasza kawaleria będzie miała nieco utrudnione manewry, to samo będzie dotyczyło wroga... Tak czy inaczej, żeby już zamknąć tę kwestię, powiem ci, że o tej porze roku, nawet jeśli spadnie deszcz, będą to trzy krople na krzyż.

Frédéric opróżnił swój kieliszek. Nie lubił koniaku, ale huzar musi pić koniak i kłać. A dla niego picie było łatwiejsze od przeklinania.

– Nie martwi mnie deszcz jako niebezpieczeństwo samo w sobie – wyjaśnił uczciwie. – Jest mi wszystko jedno, czy zginę w błocie, czy na suchej ziemi, a uczucia, jakich się doznaje w obliczu śmierci, są czymś osobistym i intymnym, czymś, co nie dotyczy nikogo innego. Chyba że,

jasna sprawa, uczucia te zostaną okazane, a to już graniczy z tchórzostwem...

– Tego słowa, mój panie – de Bourmont z uniesioną brwią naśladował minę pułkownika Letaca – huzar, ehm, nie wymawia nigdy.

– Właśnie. Czyli je odrzucamy. Huzar nie czuje lęku, a jeśli go czuje, to wyłącznie jego sprawa – ciągnął Frédéric nić swej myśli. – Ale co począć z tym drugim lękiem, tym słusznym, z obawą, że los nie przyniesie mu dość honoru, że bitwa nie dostarczy mu dość okazji do chwały?

– A! – wykrzyknął de Bourmont, unosząc w górę otwarte dłonie. – Taki lęk ja szanuję!

– Na tym rzecz polega – zakończył pospiesznie Frédéric. – Przyznaję bez wstydu, że obawiam się, by deszcz czy jakaś inna przeklęta zawada nie opóźniły bitwy lub nie sprawiły, bym nie mógł w niej uczestniczyć. Myślę... Myślę, że człowiek taki jak ty albo ja tylko wtedy ma rację bytu, tylko wtedy się spełnia, kiedy pędzi na koniu z pistoletem w jednej i szablą w drugiej ręce, wykrzykując wojenne zawołanie w imię Cesarza... Ja też, i być może powinienem się tego trochę wstydzić – dodał, ścisząc głos – odczuwam lęk... Nie, to nie jest dobre słowo. Martwi mnie myśl, że dotarłem aż tutaj i mogę zginąć bez chwały, byle jak, zamordowany na pustej drodze przez pospólstwo jak biedny Juniak, a nie galopując na koniu za orłem na sztandarze pułku, pod otwartym niebem, pośród towarzyszy, od czystego ciosu szablą czy strzału w pierś, albo na ziemi, z ostrogami na swoim miejscu, z bronią w ręce i ustami pełnymi krwi, tak jak umierają mężczyźni.

De Bourmont pokiwał wolno głową, jego niebieskie oczy wydawały się pogrążone we wspomnieniu Juniaka. Był bardzo blady.

– Tak – wyznał chrapliwym głosem, jakby mówił do siebie. – Ja też się tego boję.

Obaj zachowali przez chwilę milczenie, zatopieni w swych myślach. Wreszcie de Bourmont zmarszczył nos i wziął do ręki butelkę z koniakiem.

– Do diabła – wykrzyknął z nadmiernym ożywieniem. – Wypijmy te ostatnie dwa łyki, towarzyszu, a jutro Pan Bóg albo intendentura zadbają o więcej. Na zdrowie!

Znów zadźwięczały metalowe kieliszki, ale myśli Frédérica były bardzo daleko, w rodzinnym mieście, przy łóżku, w którym sześć lat wcześniej umierał jego dziadek ze strony ojca. Mimo swojego młodego wieku Frédéric dostrzegał z pełną świadomością wszelkie szczegóły rodzinnego dramatu: mroczny dom z zamkniętymi okiennicami, kobiety płaczące w salonie i zaczerwienione oczy ojca, ciemny surdut i pełen powagi wyraz na rumianej twarzy uczciwego i zamożnego kupca. Dziadek leżał w swojej sypialni, lekko uniesiony na poduszkach, z wychudzonymi dłońmi, pozbawionymi już wigoru, spoczywającymi na narzucie. Choroba zmieniła jego twarz w maskę z kości i poźółkłej skóry, z której wystawał orli nos, u starca wydający się wyjątkowo długi i wąski.

„On nie chce już dłużej żyć. Nie chce...”. Te słowa, niemal szept, nagle pochwycone z ust matki przez młodego Frédérica zrobiły na nim wielkie wrażenie. Stary Glüntz, kupiec ze Strasburga, wycofał się z interesów dziesięć lat wcześniej, przekazawszy rodzinny interes swojemu synowi. Opanowała go choroba stawów, uwięziła w łóżku, niszcząc powoli, bez nadziei na wyleczenie i bez pociechy szybkiej i bezbolesnej śmierci. Koniec się zbliżał, to prawda, lecz zbyt wolno. I pewnego dnia dziadka zmęczyło już wyczekiwanie, odmówił przyjmowania pokarmu, odwrócił się od reszty rodziny, nie wypowiadając ani słowa więcej i nie czyniąc żadnego ruchu, gotów jak najszybciej przyjąć śmierć, która tak długo kazała się prosić. W ostatnich dniach życia, w sypialni pogrążonej w mroku, stary Glüntz okazywał wobec trosk i cierpień swych synów, synowej, wnuków i

krewnych jedynie spokojną i cichą obojętność. Cykl jego życia się zamknął, dokonało się to wszystko, czego oczekiwał od świata. A młody Frédéric z dziecięcą intuicją zrozumiał, że jego dziadek przestał walczyć o życie, bo już niczego więcej odeń nie oczekiwał; wychodził na spotkanie śmierci biernie i beznamiętnie jak ktoś, kto przekroczył mur, po którego drugiej stronie została witalność i chęć walki. I przyglądając się od progu sypialni, nie bez nabożnego lęku, nieruchomej postaci swojego dziadka, Frédéric Glüntz zadał sobie przelotnie pytanie, czy właśnie w niej i w tym, co przedstawiała, nie było źródła najwyższej mądrości.

Nie martw się o swoją postawę podczas zapowiadającej się na następny dzień bitwy, pomyślał kolejny raz. Był gotów na wszystko, nawet gdyby – jak opowiadały stare skandynawskie sagi, które tak bardzo lubił czytać w dzieciństwie – walkirie wyróżniły go podczas bitwy pocałunkiem w czoło, należnym dzielny wojownikom, którzy mają zginąć. Byłby godzien munduru, jaki nosi. Kiedy wróci do Strasburga, Walter Glüntz będzie miał aż nadto powodów, by czuć się z niego dumnym.

De Bourmont znów położył się na pryczy i tym razem zasnął głęboko. Frédéric zdjął buty i poszedł w jego ślady, nie gasząc świecy. Długo nie mógł zasnąć, i kiedy mu się to w końcu udało, jego sen był niespokojny, pełen dziwnych obrazów. Widział posępne, wrogie twarze, długie lance, rżące konie i nagie szable lśniące w promieniach słońca. Z sercem ściśniętym lękiem szukał swej walkirii pośród kurzu i krwi i odczuł nieskończoną pociechę, kiedy jej nie znalazł. Budził się wiele razy z suchymi ustami i płonącym czołem na odgłos własnych jęków.

II. ŚWIT

Jeszcze było ciemno, kiedy pojawił się Franchot, ich wspólny ordynans. Był to huzar niskiego wzrostu, o szpetnej twarzy, z tłustymi warkoczykami i krzywymi nogami, a jedyną jego zaletą była specjalna zdolność do zdobywania za pomocą tajemnych sztuczek wiktuałów poprawiających wojskowy przydział żywności, zawsze skromny w Hiszpanii. Poza tym nie należał do ludzi godnych polecenia.

– Major Berret zwołał odprawę panów oficerów – oznajmił, kiedy uznał, że obaj podporucznicy są dość przytomni. – W swoim namiocie, za pół godziny.

Frédéric niechętnie podniósł się z pryczy. Prawie nie spał i kiedy wtargnął Franchot, właśnie udało mu się zasnąć. De Bourmont już był na nogach, miał zaczerwienione oczy i ziewając, czesał się.

– Wygląda na to, że nadeszła wielka chwila – powiedział, unosząc brew, kiedy zauważył, że ordynans jeszcze nie zdążył wyczyścić mu butów. – Która godzina?

Frédéric spojrział na tarczę zegarka.

– Trzecia trzydzieści rano. Dobrze spałeś?

– Jak dziecko – odrzekł de Bourmont, co nie całkiem odpowiadało prawdzie. – A ty?

– Jak dziecko – powiedział Frédéric, co jeszcze mniej odpowiadało prawdzie. Ich spojrzenia skrzyżowały się na chwilę, a usta obu wygięły się w porozumiewawczym uśmiechu.

Franchot przygotował obok namiotu lampę olejową, miednicę z ciepłą wodą i wiadro zimnej. Umyli sobie twarze, a potem ordynans starannie ich

ogolił, najpierw de Bourmonta, dlatego że dłużej był w pułku, i nawoskował mu czubki wąsów. Toaleta Frédérica zajęła mniej czasu – z racji młodego wieku jego zarost składał się tylko z rzadkiego meszku na policzkach. Kiedy Franchot ostatni raz przesuwiał brzytwę po jego twarzy, Frédéric popatrzył na niebo. Nadal było bezgwiazdne, zakryte chmurami.

Obóz budził się ze zgiełkiem. Podoficerowie wykrzykiwali szorstkie rozkazy i żołnierze szybko poruszali się między namiotami, przy świetle ognisk przygotowując się do wymarszu. Kompania strzelców pieszych, która poprzedniego wieczoru rozbiła obóz w pobliżu, była już gotowa; żołnierze ustawiali się w szeregach, mobilizowani wezwaniami sierżantów. Kolejna kompania odchodziła czwórkami pomiędzy drzewami oliwnymi pogrążonymi w mroku.

Franchot pomógł im włożyć buty. Frédéric zapiął po osiemnaście guzików z każdego boku wąskich spodni do jazdy konnej, które opinały buty aż do podbicia stopy, zrezygnował z kamizelki i włożył dołman na czystą koszulę, starannie zapinając również osiemnaście guzików na piersi, szamerowanej ozdobnym, złotym sznurem. Zdjął lederwerki z masztu namiotu i przymocował je sobie na prawym ramieniu i w pasie, pobrząkując czubkiem pochwy szabli o ostrogi. Zapiął kołnierzyk i mankiety, natarł dłonie i twarz wodą toaletową, naciągnął rękawiczki z kozłej skóry i włożył pod prawe ramię wspaniałe czako obciążone niedźwiedzim futrem, przywilej oficerów z elitarnych jednostek. De Bourmont, który wcześniej wykonał dokładnie te same czynności w tym samym porządku, czekał, podtrzymując wyciągniętą ręką płótno namiotu.

– Ruszaj przodem, Frédéricu – powiedział i w jego oczach błysnęła satysfakcja z wyglądu kolegi.

– Ja za tobą, Michel.

Podwójny stukot obcasów, dwa uśmiechy i uścisk dłoni. Obydwaj wyszli na zewnątrz, elegancy, wyprostowani i świeżo ogoleni, pobrzękując szablami o ostrogi, świadomi swej młodości i urody w pięknym mundurze, wdychając z przyjemnością świeże poranne powietrze, gotowi odpowiedzieć z szablą w ręku na wyzwanie, jakie śmierć rzuciła im zza horyzontu jeszcze ukrytego w mrokach.

Major Berret pochylał się nad stołem zasłanym mapami, otoczony przez ośmiu oficerów ze szwadronu. Swym jedynym okiem – lewe stracił pod Austerlitz i dlatego nosił czarną opaskę, która przydawała jego twarzy okrucieństwa – uważnie wpatrywał się w rzeźbę terenu zaznaczoną na mapach. Ani on, ani kapitan Dąbrowski nie spali ostatniej nocy. Właśnie wrócili z narady zwołanej trzy godziny wcześniej przez pułkownika Letaca, podczas której otrzymali instrukcje zawierające zadania, jakie stoją przed ich regimentem w dniu, który miał się właśnie zacząć. Berretowi się spieszyło.

– Hiszpanie zgrupowali się tutaj i tutaj – mówił jak zwykle oschłym tonem, nie patrząc na nikogo, z jedynym okiem skupionym na mapach, jakby tam widział w miniaturze wrogie wojska. – Jednostki zwiadowcze już nawiązały kontakt i należy założyć, że większość operacji zostanie przeprowadzona w tej dolinie, z wykorzystaniem naszych linii na wzgórzach, które właśnie pokazuję. Przewiduje się, że nasz pułk przystąpi do akcji na lewej flance dywizji i jego działania obejmować będą, jak zwykle, zadania rozpoznawcze i ochronne. W razie konieczności może to być także atak. Przynajmniej jeden szwadron pozostanie w rezerwie, to jednak nie jest na szczęście nasz przypadek. Istnieje możliwość, że znajdziemy się na pierwszej linii.

Dla pierwszego szwadronu Czwartego Pułku Huzarów znalezienie się na pierwszej linii oznaczało możliwość przypuszczenia szarży. W świetle

olejnej lampy wiszącej u masztu w namiocie Frédéric mógł dostrzec zadowolone twarze swych towarzyszy. Jedynie kapitan Dąbrowski, lekko pochylony nad stołem obok Berreta, zachowywał lodowatą obojętność. Gęste wąsy słomianego koloru i przedwcześnie posiwiałe warkoczyki nadawały kapitanowi wygląd doświadczonego weterana, którym rzeczywiście był. Polak z pochodzenia, walczył pod francuskim sztandarem na polach bitewnych całej Europy; stamtąd zapewne pochodził pozbawiony złudzeń chłód, który był jego cechą charakterystyczną. Nikt nie słyszał, żeby kiedykolwiek wypowiedział choć jedno głośniejsze słowo, nawet wtedy, gdy wydawał rozkaz. Był człowiekiem milczącym i szorstkim, unikającym towarzystwa zarówno swych zwierzchników, jak i osób równych stopniem. Znano go jednak jako dzielnego żołnierza, znakomitego jeźdźca i doświadczonego oficera. Jeśli nawet nie wszyscy go kochali, na pewno darzyli szacunkiem.

– Są jakieś pytania? – zapytał Berret, nie podnosząc swego cyklopowego oka znad mapy, jakby pochłonięty był obserwowaniem czegoś widocznego tylko dla niego.

Philippo, porucznik o smagłej cerze, uśmiechnięty fanfaron, odchrząknął, zanim się odezwał:

– Czy znana jest liczba naszych wrogów?

Berret zmarszczył brew nad swym jedynym okiem, jakby nie spodobało mu się to pytanie. Jakie znaczenie ma liczba, zdawał się pytać.

– Kalkulujemy, że może być od ośmiu do dziesięciu tysięcy ludzi zgrupowanych między Limas i Piedras Blancas – odrzekł ze źle ukrywaną irytacją. – Piechota, jazda, artyleria i oddziały partyzantów... Prawdopodobnie do pierwszego starcia dojdzie tutaj – wskazał punkt na mapie – następnie tutaj – wskazał drugi punkt i uderzył tam bokiem dłoni jak toporem. – Naszym celem jest odciąć im drogę w góry i zmusić do

walki w dolinie, na terenie, który zasadniczo jest dla nich mniej korzystny. Wiecie panowie już prawie tyle samo co ja. Czy są jeszcze jakieś pytania?

Więcej pytań nie było. Wszyscy obecni wiedzieli, łącznie z nowicjuszem Frédérikem, że krótkie wyjaśnienia dowódcy szwadronu były czystą formalnością. W pewnym sensie była nią cała ta odprawa; decyzje będą docierały z góry w czasie trwania bitwy i tylko pułkownik Letac dokładnie wiedział, jakie są plany generała Darnanda. Od szwadronu oczekiwano, że będzie się dzielnie bił, a jeśli zajdzie potrzeba, po otrzymaniu rozkazu przypuści szarżę i rozbije te oddziały przeciwnika, które zostaną mu przeznaczone.

Berret złożył mapy, dając znak, że odprawa jest zakończona.

– Dziękuję, panowie. To wszystko. Wyruszamy za pół godziny razem z całym pułkiem; jeśli nie będziemy tracić czasu, świt zastanie nas już dobry szmat drogi stąd.

– Formacja czwórkami do marszu – Dąbrowski odezwał się po raz pierwszy. – Podczas walki, oprócz partyzantów, uważajcie na hiszpańskich lansjerów. To ludzie miejscowi, bardzo dobrzy jeźdźcy.

– Równie dobrzy jak my? – zapytał podporucznik Gérard.

Dąbrowski popatrzył na każdego z nich swymi szarymi oczami, zimnymi jak lodowata woda w jego rodzinnej Polsce.

– Równie dobrzy jak my, zapewniam pana – odparł z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. – A byłem pod Bailén.

Od kilku tygodni nazwa Bailén była synonimem klęski. Skapitulowały tam trzy cesarskie dywizje przed dwudziestoma siedmioma tysiącami Hiszpanów, dwa tysiące sześćset zabitych, dziewiętnaście tysięcy wziętych do niewoli, stracono pół setki dział, cztery sztandary szwajcarskie i cztery chorągwie francuskie... Złowieszcza cisza zapanowała wśród obecnych i nawet major Berret rzucił Dąbrowskiemu spojrzenie pełne nagany.

Ordynans kapitana wyratował ich z tej niezręcznej sytuacji, zbierając ze stołu mapy i podając butelkę koniaku i kilka kieliszków. Kiedy wszyscy zostali obsłużeni, Berret podniósł swój kieliszek.

– Za Cesarza! – uroczyście wzniósł toast.

– Za Cesarza! – powtórzyli wszyscy, a szable zadźwięczały o ostrogi, gdy wstawali. Trzasnęli obcasami, po czym jednym haustem opróżnili kieliszki.

Frédéric poczuł, jak mocny aromat koniaku ześlizguje mu się po pustych wnętrznościach, i zacisnął zęby, żeby nikt nie dostrzegł grymasu obrzydzenia na jego twarzy. Grupa rozproszyła się i wszyscy opuścili namiot. Cały obóz był już wypełniony krzątaniem, ruchem cieni i poblasków, metalicznym brzękiem stali, rżeniem koni, rozkazami i bieganiną. Niebo nadal było czarne, bez najmniejszego choćby śladu gwiazd. Frédéric poczuł chłód i przez chwilę pomyślał, czy nie lepiej było włożyć kamizelkę. Lecz przypomnienie ciepła ziemi, na której się znajdował, szybko przepłoszyło poprzednią myśl; kiedy wstanie dzień, każda dodatkowa część garderoby będzie zbędnym balastem.

De Bourmont szedł obok niego, zatopiony w rozmyślaniach. Frédéric poczuł przykre kłucie w żołądku.

– Dla mnie ten koniak Berreta był jak cios w brzuch.

– Dla mnie też – odpowiedział de Bourmont. – Mam nadzieję, że Franchot miał dość czasu, żeby przygotować nam filiżankę kawy.

Franchot nie zawiódł nadziei obu przyjaciół. Kiedy dotarli do swego namiotu, ordynans czekał z parującym dzbankiem i słodkimi sucharami. Rozprawili się z posiłkiem, po raz ostatni przejrzeni rynsztunek i wyruszyli ku stajniom.

Szwadron, przy świetle wbitych w ziemię pochodni, ustawiał się w szyku oddziałami. Stu ośmiu mężczyzn sprawdzało uprząże, dopinało

popręgi, przeglądało strzelby, umieszczając je następnie w kaburach przy siodle lub zawieszając na plecach. Frédéric i pozostali oficerowie nie dysponowali tą bronią palną; zakładano, że oficer huzarów da sobie radę z parą pistoletów i szablą.

Franchot osiodłał Noirota, lecz Frédéric własnoręcznie sprawdził z uwagą rzemienie, którymi przytroczone było siodło do grzbietu wierzchowca, by osobiście upewnić się, że wszystko jest w najlepszym porządku. W bitwie dwa cale, jakie dzielą od siebie sąsiednie dziurki popręgu, mogły stanowić różnicę między życiem i śmiercią. Ściągnął popręg najlepiej jak to możliwe i pochylił się, by sprawdzić podkowy. Kiedy był już całkiem spokojny, przeciągnął dłonią po niedźwiedziej skórze, którą wyłożone było siodło, i lewą ręką pogłaskał grzywę Noirota.

De Bourmont wykonywał podobne czynności, bardzo blisko niego. Jego wierzchowiec był wspaniałym jabłkowitym koniem, a siodło zdobiła zbytkowna skóra lamparta, która z pewnością musiała kosztować właściciela fortunę. W gruncie rzeczy szacunek, jakim towarzysze darzyli huzara, był wprost proporcjonalny do wysokości sumy, jaką przeznaczał on na zdobienie końskiego rzędu. A de Bourmont, zarówno przez krew, jak i charakter był człowiekiem, który ani nie chciał, ani nie musiał zważać na koszty.

Kiedy zauważył, że Frédéric go obserwuje, uśmiechnął się. W świetle pochodni błyszczał złoty szamerunek na piersi kurtki.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

– Wszystko w porządku – odrzekł Frédéric, czując przy sobie falowanie ciepłego boku Noirota.

– Mam przeczucie, że dziś będzie piękny dzień.

Frédéric uniósł twarz w górę, wskazując na czarne niebo.

– Myślisz, że chmury pozwolą, by wyjrzało słońce zwycięstwa?

De Bourmont roześmiał się.

– Choćby ranek był pochmurny, choćby padał deszcz lanc, to będzie piękny dzień. Nasz dzień, Frédéricu.

Major Berret przejechał konno obok, za nim kapitan Dąbrowski, porucznik Maugny i główny trębacz. Huzarzy stali obok swych wierzchowców, rozmawiając i żartując z ożywieniem właściwym takiej chwili. Pochodnie oświetlały swym chybotliwym światłem warkoczyki i gęste wąsy, ogorzałe twarze weteranów poznaczone bliznami i zaafelowane miny świeżych rekrutów, którzy podobnie jak Frédéric nigdy wcześniej nie brali udziału w bitwie. Młodzieniec przyglądał się towarzyszom przez dobrą chwilę: oto właśnie elita, śmietanka lekkiej kawalerii francuskiego wojska, świetni jeźdźcy, w większości wojenni zawodowcy, którzy tworzyli swą własną legendę, podążając konno za cesarskim orłem, czyszcząc szablami najchwalebniejsze pola bitew w całej Europie. A on, Frédéric Glüntz ze Strasburga, mając dziewiętnaście lat, został jednym z nich. Ta myśl wywołała u niego dreszcz dumy.

Markietanki, przejeżdżające na wozie intendentury po drugiej stronie kamiennego muru, urządziły szwadronowi owację pośród mroku. Huzarzy odpowiedzieli chórem śmiechów i dowcipów wszelkiego rodzaju. Frédéric wyteżył wzrok, udało mu się jednak odróżnić tylko niewyraźne kształty oddalające się w ciemności przy skrzypieniu kół i stukocie końskich podków.

Zupełnie nie na miejscu, pomyślał, są głosy kobiet, nawet markietanek, w tak uroczystych chwilach. Rytuał przygotowań szwadronu do wymarszu ku nieuchronnie zbliżającej się bitwie to zamknięta liturgia, czysto męski obrządek klanowy, z którego powinna być całkowicie wykluczona obecność płci przeciwnej, nawet w postaci owych głosów wypalonych okowitą, które minęły ich z dala pośród nocy. Wykrzywił usta z

niezadowoleniem, nie przestając głaskać grzywy Noirota. Przed laty czytał w książce historycznej o templariuszach, mnichach-żołnierzach walczących w Palestynie przeciw Saracenom, wojownikach surowych i dumnych, którzy pozwolili spalić się na stosie europejskim królom pragnącym osiąść ich bogactwa i umierali wyniośle, przeklinając swych katów. Świat templariuszy to świat mężczyzn, z którego kobiety zostały definitywnie wykluczone. Honor, Bóg i walka były w nim jedynymi racjami. Żyli i walczyli parami, wierni przyjaciele, zjednoczeni wobec wszystkich i wszystkiego za sprawą świętych i niewzruszonych przysiąg.

Frédéric znów spojrzał na de Bourmonta, teraz w skupieniu starającego się przytroczyć zrolowaną pelerynę do przedniej części siodła. Czuł, że z przyjacielem łączy go coś więcej niż koleżeństwo, jakie rodzi się między dwoma podporucznikami w tym samym szwadronie. Obu łączył cel, od którego nie chcieli odstąpić: pragnienie chwały. Dla niej służyli Francji i Cesarzowi, w jej imię pogalopowaliby za orłem aż do samych wrót piekieł. W tej drodze stali się braćmi i nigdy, choć nie wiadomo, jak wiele lat miałyby minąć potem, choćby życie rozdzieliło ich i zawiodło w najbardziej odległe miejsca, nigdy nie zapomną tych godzin, dni, lat, które Przeznaczenie pozwoliło im spędzić razem. Przez myśl Frédérica przebiegły obrazy epickiej urody: de Bourmont obok swego martwego konia, z odkrytą głową pośrodku pola bitwy uśmiecha się do przyjaciela, który zsiada z wierzchowca i mu go oddaje, i sam z szablą w dłoni stawia czoło śmierci, jaką zły los już przeznaczał jego towarzyszowi. Lub sam Frédéric leży na ziemi, lecz osłania go de Bourmont, oburącz tnący wrogów, którzy chcieli dopaść rannego druha... Albo obaj, pokryci błotem i krwią, broniąc starego orła, patrzą sobie z uśmiechem w oczy w niemym pożegnaniu, na chwilę przed tym, jak obaj rzucą się w objęcia śmierci, która zaciska wokół nich fatalną pętlę.

Nie. Obecność kobiet była tu całkowicie zbędna. Najwyżej para pięknych oczu w roli dalekiego świadka heroicznego dramatu, oczu przesłoniętych słodkimi łzami, gdy ich piękna właścicielka zostanie powiadomiona o tym, co się wydarzyło, o śmierci huzara... Frédéric znał nawet te oczy. Widział je w Strasburgu dwa dni przed wyjazdem, podczas przyjęcia w domu państwa Zimmermanów. Niebieska suknia, doskonały owal twarzy obramowany włosami jasnymi i jedwabiście delikatnymi, oczy błękitne jak niebo Hiszpanii, biała cera zaledwie szesnastolatki. Córka państwa Zimmermanów, Claire, uśmiechnęła się z wdziękiem do przystojnego huzara w galowym mundurze, który skłaniał przed nią głowę z rycerską miną, stukając obcasami wyglansowanych wysokich butów, kołysząc z elegancją szkarłatną pelisą zawieszoną z wystudiowaną swobodą na lewym ramieniu.

Była to rozmowa krótka i miła dla obu stron. On cały czas modlił się w duchu, by ona przypisała gorącu gwałtowny rumieniec, którego pojawienia się na policzkach nie był w stanie powstrzymać. Ona, nie mniej zmieszana, smakowała przyjemność, jaką jest zwrócenie uwagi przystojnego i eleganckiego kawalerzysty w obcisłym niebieskim mundurze z czerwoną pelisą, do którego zastrzeżenia można by mieć tylko o to, że jest zbyt młody, by pysnić się pięknym, podkreślającym jeszcze jego męskość wąsem. Wyruszał jednak na daleką wojnę, do gorącego południowego kraju, i to zupełnie wystarczało. Potem, gdy Frédéric musiał odejść, przywołany przez starego pułkownika, przyjaciela rodziny, Claire spuściła wzrok i bawiła się wachlarzem, by ukryć zmieszanie, wyczuwając pełne zazdrości spojrzenia, jakie rzucały jej wszystkie kuzynki.

To wszystko. Dziesięć minut rozmowy i tkliwe wspomnienie, które kiedyś, gdy on wróci z wojny – być może z chlubną szramą w miejsce rumieńca na policzku – mogą stanowić początek pięknej historii miłosnej.

Lecz tej nocy, pod niebem Hiszpanii, które nie było błękitne jak oczy Claire, ale groźne i czarne jak wrota piekieł, Strasburg i salon państwa Zimmermanów wydały się Frédéricowi Glüntzowi bardzo odległe.

Szwadron kawalerii, bez wątpienia należący do tego samego regimentu, przejechał właśnie obok muru drogą, która wiła się dalej wśród gajów oliwnych zatopionych w mroku. Stukot końskich podków brzmiał jak hałas wezbranego strumienia. Głos majora Berreta zagrział w kręgu światła pochodni.

– Szwadron! Naaaa koń!

Trąbka przełożyła rozkaz na przenikliwe dźwięki. Frédéric nakrył głowę czakiem z niedźwiedziej skóry, wsunął stopę w strzemię i wspiął się na grzbiet Noirota. Usadowił się w siodle, zwiesił na lewe udo szabeltas z czerwonej skóry, ozdobiony cesarskim orłem i numerem pułku. Zapiął rękawiczki z kozłej skóry, oparł lewą dłoń na rękojeści szabli, a prawą ujął lejce. Noirot zastukał kopytami i podrzucił w górę łeb, gotów wyruszyć w drogę na najlżejszy sygnał jeźdźca.

Berret przejechał przed nimi, luźno trzymając wodze, a za nim trębacz niby wierny cień. Frédéric odwrócił się do de Bourmonta, który delikatnym ściągnięciem wodzy nakłaniał konia do postąpienia kroku w tył.

– Zaczyna się, Michel.

De Bourmont skinął głową, uważając na każdy ruch konia. Wspaniałe czako, spod którego opadały jasne warkoczyki i ogon, nadawało mu groźny wygląd.

– Zaczyna się, i wygląda na to, że zaczyna się na dobre – mówiąc to, zrównał się z nim i uścisnął mu dłoń. – Choć myślę, że jeszcze będziemy mieli okazję chwilę pogadać. Słyszałem, jak Dąbrowski mówił, że nasza kolej na wejście do akcji przyjdzie dopiero późnym rankiem.

– Najważniejsze, że przyjdzie.

– Oby tak było.

– Powodzenia, Michel.

– Powodzenia, bracie. I pamiętaj, że jadę za tobą, nie spuszczę cię z oka przez cały dzień. A potem będę mógł opowiadać wszystkim damom, czego dokonał dzisiaj mój przyjaciel Frédéric Glüntz. Szczególnie mam na myśli pewne błękitne oczy, o których opowiedziałeś mi któregoś dnia w chwili słabości.

Koń de Bourmonta potrząsał niespokojnie głową.

– Co to takiego? – powiedział jeździec. – Spokojnie, Rostand! Co do diabła?! Widzisz, Frédéricu? Konie z prawie taką samą niecierpliwością jak my czekają, by ruszyć do walki. Godzinę temu wszyscy chrapaliśmy i nagle kto żyw zaczyna się spieszyć. Taka jest wojna. A gdybyś w pewnym momencie poczuł się samotny, wystarczy, że się obrócisz, i zobaczysz mnie... Tak będzie, kiedy wstanie dzień. Bo na razie sam Lucyfer nie zobaczyłby swojego ogona. Do stu diabłów, z pewnością nie! I uważaj, do kroćset! Uważaj na siebie!

Wycofując sprawnie koński zad, de Bourmont, znakomity jeździec, oddalił się i zajął swe miejsce w szyku. Frédéric przyjrzał się długiemu rzędowni nieruchomych huzarów na koniach, milczących i wspaniałych w swoich bogatych mundurach, których szamerunek połyskiwał w świetle pochodni jak stare złoto. Kapitan Dąbrowski przejechał konno krótkim kłusem, ryzykując złamanie karku w ciemnościach. Dumny i zimny Polak, oto cały kapitan. Frédéric z podziwem raz jeszcze pomyślał o niewzruszonej postawie i minie mówiącej: wszystko mam w nosie – jego najbardziej charakterystycznym zachowaniu.

Trębacz przekazał rozkaz wymarszu w kolumnie czwórkami. Frédéric przepuścił przed sobą sześć czwórek strzemię w strzemię, a następnie zwolnił nieco wodze, ucisnął kolanami boki Noirota i zajął swoje miejsce w

szyku. Szwadron wykonał zwrot w kierunku drogi, opuszczając krąg światła pochodni. Kolumna wyminęła kamienny mur i węzowym ruchem zatopiła się w mroku.

Niektórzy nucili pod nosem, inni rozmawiali po cichu, od czasu do czasu w szeregu dał się słyszeć jakiś żart, większość huzarów posuwała się jednak w milczeniu, zatopiona we własnych myślach, wspomnieniach, niepokoju. Frédéric pomyślał, że nic o nich nie wie. O oficerach – owszem, naturalnie, ale nie wiedział zupełnie nic o wojsku, nawet o tych dwunastu ludziach, jego bezpośrednich podkomendnych: sierżancie Pinsardzie, kapralach Martinie i Critonie... Jeden z huzarów nazywał się Luciani – zapamiętał go, bo był Korsykaninem, podobnie jak Cesarz, i często się tym chwalił. Pozostali byli mu nieznani, żołnierze, których rozpoznałby po twarzach, choć nie znał ich nazwisk, i z którymi zamienił zaledwie parę słów. Nie wiadomo dlaczego, ale poczuł nagle żal, że nie chciało mu się poznać ich lepiej. Za parę godzin będą jechać ramię przy ramieniu ku niebezpieczeństwu zagrażającemu im wszystkim. Klęska lub chwała, cokolwiek czekało ich na końcu drogi pogrążonej w mroku, będzie się dzielić po równo, bez różnicy, pomiędzy oficerów i podkomendnych. Tych dwunastu anonimowych żołnierzy to jego towarzysze walki, życia i być może śmierci. Zastanowił się, bardzo z siebie niezadowolony, dlaczego aż do tej nocy nigdy wcześniej tak o nich nie myślał.

W oddali po niebie przemknęła błyskawica, grzmot dobiegł po krótkiej chwili. Konie poruszyły się niespokojnie i nawet Frédéric musiał ściągnąć wodze, by utrzymać Noirota w szyku. Jeden z huzarów zaklął głośno.

– Dziś przyjdzie się umoczyć, druhowie, mówi to wam stary Jean-Paul.

„Przynajmniej już znam imię jednego więcej”, powiedział sobie Frédéric. Twarz jednak pozostała ukryta w ciemności. Ze sposobu mówienia można było poznać starego wiarusa.

– Ja wolę deszcz od upału – odpowiedział inny głos. – Słyszałem, że pod Bailén...

– Idź ze swoim Bailén do diabła – odparł ów Jean-Paul. – Kiedy zrobi się jasno, przepędzimy tych obszarpańców przez całą Andaluzję. Nie słyszałeś wczoraj pułkownika?

– Nie mamy twoich uszu – odezwał się ktoś następny. – Wszyscy wiedzą, że są najdłuższe w całym regimencie.

– Pilnuj swoich, do kroćset! – skwitował wściekły głos wiarusa. – Albo ci je obetnę przy pierwszej okazji!

– I kto jeszcze – odrzekł pyszałkowato poprzedni.

– Nazywasz się Durand, prawda?

– Tak, i pytałem, z kim do spółki zamierzasz mi obciąć uszy.

– Do diabła, Durand, kiedy zejdziemy z koni, będziemy musieli sobie parę rzeczy wyjaśnić nie tylko słowami...

Frédéric uznał, że nadszedł moment, by zareagować.

– Cisza w szeregu! – rozkazał energicznym tonem.

Rozmowa ucichła natychmiast. Po chwili dało się słyszeć, jak pod nosem mruczy ów Jean-Paul:

– To podporucznik. Jaki kogucik, choć w życiu nie słyszał prawdziwego wystrzału! Jeszcze zobaczymy, jaki będziesz dzielny za kilka godzin, kochaniutki.

W ciemności rozległy się ciche śmiechy, przytłumione stukotem końskich kopyt.

Kolumna posuwała się stępą, milczący wąż złożony z ludzi i koni, ciągnący się pośród mroku. Szable wiszące przy lewych bokach jeźdźców objęły się o strzemiona i ostrogi z metalicznym pobrzękiwaniem, jakby

tłumionym dzwonieniem przebiegającym szwadron od końca do końca. Żeby nie rozbić szyku, każdy szereg huzarów niemal przyklejał się do zadów koni idących przed nimi, więc od czasu do czasu głośno rozbrzmiewało przekleństwo jeźdźca dosłownie popychanego przez konia następującego z tyłu. Kolumna, zwarta i senna, posuwała się ku swemu przeznaczeniu niby posępny szwadron złożony z czarnych upiórów ludzi i zwierząt.

Frédéric dostrzegł z przodu czerwony poblask jak łunę pożaru. Przez pół mili jechał ze wzrokiem weń utkwionym, szacując odległość, i stwierdził, że znajduje się na ich drodze. Po chwili, kiedy blask był już bardzo bliski, zaczęły się rysować w ciemności niewyraźne kształty domów. Przejechał przed nimi, myśląc, że pobielone wapnem ściany przypominają w nocy nieruchome całuny, i zauważył, że kolumna wkroczyła do jakiejś osady.

– Jesteśmy w Piedras Blancas – odezwał się jeden z huzarów, ale nikt nie potwierdził jego słów.

Na pustych ulicach nie było żywej duszy, dał się słyszeć tylko stukot końskich podków. Domy pozamykano na cztery spusty, jakby wszyscy mieszkańcy stąd odeszli. A może byli w domach i wcale nie spali, tylko – zbyt przerażeni, by otworzyć okna – obserwowali przez szpary przemarsz tego długiego rzędu czarnych diabłów. Frédéric poczuł mimowolny dreszcz, bo w scenerii tej cichej i ciemnej wioski, bez jednej lampy, która by oświetliła choćby jakiś róg, było coś posępnego i groźnego.

To też jest wojna, pomyślał. Ludzie i zwierzęta przemierzający drogi nocą, wioski, których nazw nigdy się nie dowie i które znaczą jedynie etapy drogi do celu. I przede wszystkim ta nieprzenikniona ciemność, jakby pokrywająca całą powierzchnię ziemi, bo trudno było sobie wyobrazić, że

w tym samym momencie w innym miejscu tej samej planety niebo mogło być błękitne, a dobre słońce stało wysoko.

Podporucznik Frédéric Glüntz ze Strasburga, mimo że otaczały go tuziny towarzyszy broni, rozejrzał się na boki i poczuł strach. Obawiał się tego, co noc skrywała wokół niego, i instynktownie oparł dłoń na rękojeści szabli. Nigdy wcześniej w całym życiu nie pragnął tak mocno, by nad horyzontem wreszcie wzeszło słońce.

Czerwony blask pochodził od pożaru. Przy rynku w miasteczku – teraz już wielu huzarów zapewniało, że rozpoznaje Piedras Blancas – płonął dom i nikt nie starał się gasić ognia. Pluton strzelców liniowych odpoczywał w podcieniach budynku wyglądającego na ratusz, mężczyźni spokojnie obserwowali płomienie. Pożar oświetlał żołnierzy piechoty owiniętych w peleryny, obserwujących bez zainteresowania przemarsz huzarów. Niektórzy opierali się leniwie na swych strzelbach. W świetle niedalekiego ognia cienie tańczyły na ich twarzach, których niezwykłą młodość zakłócały czasem gęste wąsy jakiegoś wiarusa.

– Dokąd prowadzi ta droga? – spytał ich jeden z huzarów.

– Nie mamy pojęcia – odrzekł strzelec, który trzymał w rękach butelkę wina, a broń miał zawieszoną na plecach. – Ale nie możecie się skarżyć – dodał ze złośliwym grymasem. – Wy, paniczki z kawalerii, nie musicie iść na piechotę tak jak my.

Pożar, rynek i miasteczko zostały w tyle. Znów pośród ciemnych gajów oliwnych szwadron wyprzedził kilka oddziałów piechoty, które usuwały się na pobocze, żeby zrobić miejsce na drodze. Dalej huzarzy minęli działa artyleryjskie, których obsługa leżała obok w parowie, w świetle niewielkiego ogniska. Konie pociągowe w zaprzęgach, gotowe do drogi, przebierały kopytami na widok przechodzącej kolumny.

Na horyzoncie zaczęła narastać wątpa jasność. Zimne powietrze poranka sprawiło, że Frédéric znów poczuł dreszcz i pożałował, że nie włożył kamizelki. Mocno zacisnął zęby, żeby nie zaczęły mu szczekać, bo dźwięk ten mógłby zostać fałszywie zinterpretowany przez jadących w pobliżu mężczyzn. Odpiął pelerynę, którą miał przytroczoną do przedniej części siodła, i zarzucił ją sobie na ramiona. Choć chwilę wcześniej głowa opadła mu do przodu i mało brakowało, a spadłby z konia, teraz czuł się przytomny i rześki. Wsunął rękę do skórzanej torby wiszącej u siodła, wyciągnął manierkę z koniakiem, przezornie przygotowaną przez Franchota, i pociągnął z niej łyk. Tym razem trunk przyniósł efekt wzmacniający, przymknął więc oczy z wdzięcznością, czując przyjemne ciepło rozchodzące się po odrętwiałym ciele. Schował manierkę i poklepał delikatnie szyję Noirota. Dniało.

Powoli niewyraźne cienie jadące przed nim zaczęły nabierać kształtów. Najpierw czapka, później sylwetki ludzi i zwierząt. Potem, w miarę jak robiło się coraz widniej, nowe szczegóły uzupełniały widok jeźdźców w szyku, posuwających się czwórkami: profile dokładnie wycięte w pierwszym brzasku, plecy poprzecinane lederwerkami i paskami od kabur, zdobne gorsy dołmanów, czerwone czapki poruszające się w rytm końskich kroków, węgierskie siodła ozdobione futrem lub wytłaczaną skórą, złotymi sznurami i haftami, szkarłatne rakiety, wypolerowane rękojeści szabel, obcisłe mundury w szafirowym kolorze... Bezkształtny czarny wąż zmieniał się w szwadron kawalerii, na którego czele falował cesarski orzeł.

Także krajobraz stawał się coraz wyraźniejszy. Mroki odpełzły, rozplynęły się w słabym świetle nadającym szarawy ton sękatym, poskręcany drzewom. I pośród gajów oliwnych aż po horyzont pokrywających szarobrazowe, suche pola Andaluzji zobaczył całe

bataliony, najeżone bagnetami i ciągnące działa artyleryjskie, a wszyscy maszerowali w tym samym kierunku, na bitwę.

III. PORANEK

Niebo w kolorze popiołu, przykryte czarnymi chmurami, ciążyło nad ziemią, jakby było brzemienne ołowiem. Na pola zaczął padać drobny deszcz, przesłaniając szarością pejzaż wokół.

Szwadron zatrzymał się na zboczu wzniesienia, w pobliżu zburzonej zagrody, której ruiny porastały opuncje i krzaki. Okryci pelerynami mężczyźni zsiadli z koni, żeby rozprostować nogi i pozwolić odpocząć koniom, a major Berret wysłał zwiadowcę, by odszukał pułkownika Letaca, który powinien być znajdować się gdzieś w pobliżu. Ze swojego miejsca huzarzy mogli dostrzec ciemny kształt innego szwadronu ich regimentu, nieruchomy na pobliskim stoku.

Frédéric zobaczył, że zbliża się do niego Michel de Bourmont. Przyjaciel prowadził konia za uzdę, na ramiona zarzucił sobie zieloną pelerynę, aby ochronić przed deszczem hafty zdobiące mundur. Jego niebieskie oczy uśmiechały się.

– Wreszcie mamy deszcz – odezwał się Frédéric z goryczą w głosie, jakby oskarżał niebo o kiepski żart.

De Bourmont wyciągnął przed siebie rękę z dłonią odwróconą ku górze i przyjrzał się jej z udawanym zaskoczeniem, a potem wzruszył ramionami.

– Ach, to tylko kilka kropli. Ziemia pod kopytami koni ledwo będzie zwilżona. – Wyjął z kieszeni tabakierę, włożył między zęby liche cygaro i poczęstował przyjaciela. – Przepraszam, że nie mam nic lepszego, ale sam wiesz, że tytoń, jaki w Hiszpanii można dostać w tych czasach, jest wstrętny. Wojna zakłóciła dostawy z Kuby.

– Nie jestem wyrobionym palaczem co się zowie – odrzekł Frédéric. – Dobrze wiesz, że nie potrafię odróżnić wstrętnego cygara od najlepszych produktów świeżo dostarczonych z kolonii.

Obaj pochylili się nad krzesiwem, które de Bourmont wyjął z tabakiery.

– To niewiedza godna potępienia – powiedział ten ostatni, wypuszczając z rozkoszą pierwsze kłęby dymu.

– Szanujący się huzar powinien natychmiast rozpoznać dobrego konia, dobre wino, dobre cygaro i piękną kobietę.

– W tej kolejności?

– W tej kolejności. Taka subtelność postrzegania jest tym, co różni oficera lekkiej kawalerii od smutnych piechurów, którzy chodzą w zabłoconych butach i zabijają, stojąc na ziemi, jak wieśniacy.

Frédéric spojrzał na zburzoną zagrodę.

– Co do wieśniaków – skomentował, obejmując wzrokiem szary pejzaż – nie widzieliśmy ani jednego. Wygląda, jakby sama nasza obecność ich przepłoszyła.

– Nie miej złudzeń, na pewno czają się gdzieś blisko i tylko czyhają, jak któryś z naszych zostanie sam na boku, żeby złapać go i powiesić na najbliższym drzewie. Albo też uzbrojeni w sierpy i widły przyłączyli się do wojska, z którym za chwilę staniemy twarzą w twarz. Jak mi Bóg miły, płoną chęcią, żeby już ich mieć w zasięgu szabli! Słyszałeś, co się wczoraj stało?

Frédéric zrobił minę wskazującą na niewiedzę.

– Nie, chyba nie.

– Właśnie mi powiedziano i cały się gotuję. Wczoraj jeden z naszych patroli zbliżył się do pewnej zagrody w poszukiwaniu wody. Gospodarze mówili, że studnia jest wyschnięta, ale nasi im nie uwierzyli i spuścili na dół wiadro. Zgadniesz, co wyciągnęli? Czapkę żołnierza piechoty. Patrol

opuścił na sznurze jednego z żołnierzy, a ten znalazł na dole ciała trzech naszych – biednym chłopcom poderżnięto gardła, kiedy spali w stodole.

– I co się działo dalej? – zapytał Frédéric, którym wstrząsnął mimowolny dreszcz.

– Co się działo? Wyobraź sobie tylko, w jaką wściekłość wpadli chłopcy z patrolu... Weszli do domu i pozabijali wszystkich: gospodarza, żonę, jego dwóch sporych już synów i kilkuletnią córkę. Potem podpalili zagrodę i odjechali.

– Dobra robota!

– Też tak uważam. Nie można mieć litości dla tych dzikusów, Frédéricu. Trzeba ich zabijać jak zwierzęta.

Frédéric przytaknął z przekonaniem. Znow wspomnienie wypatroszonego Juniaca wiszącego na drzewie przyszło mu do głowy i przyniosło ukłucie niepokoju.

– Mimo wszystko – dodał po chwili – myślę, że oni w zasadzie bronią swojej ziemi. Jesteśmy tu najeźdźcami.

De Bourmont, wściekły, podkreślił czubek wąsa.

– Najeźdźcami?! A czy jest tu cokolwiek, czego warto byłoby bronić?

– Obaliliśmy ich królów...

– Królów?! Nędznych Bourbonów, których kuzynów we Francji gilotynowano. Król był gruby i głupi, niemoralna królowa sypiała z poławą dworu... Ci ludzie nie mieli żadnego prawa. Ich czas minął, byli skończeni.

– Myślałem, Michel, że jesteś zwolennikiem starej arystokracji.

De Bourmont uśmiechnął się z pogardą.

– Jedna rzecz to stara arystokracja, a druga, zupełnie inna, to dekadencja. Od Francji wieje potężny wiatr zmian, idee postępu szerzą się w całej Europie. My niesiemy oświecenie, nowy porządek. Dość już księży

i świętoszek, zabobonów i inkwizycji. Wydobędziemy tych dzikusów z mroku, w jakim żyją, nawet gdybyśmy musieli wystrzelać ich jednego po drugim.

– Przecież król Karol zrzekł się tronu na rzecz syna Ferdynanda – niepewny siły swych argumentów Frédéric zaprotestował, głównie dla przyjemności prowadzenia sporu z przyjacielem. – Hiszpanie mówią, że walczą o jego powrót. Nazywają go Umiłowanym, Upragnionym, czy jakoś tak.

De Bourmont wybuchnął salwą śmiechu.

– Jego?! Ci, którzy go znają, twierdzą, że jest tchórzliwym sługusem i nic go nie obchodzi powstanie, które używa jego imienia jak sztandaru. Nie czytałeś „Monitora”? Żyje w luksusie po drugiej stronie Pirenejów i rozpląwa się w gratulacjach dla Cesarza za nasze zwycięstwa w Hiszpanii.

– Tak, to prawda.

– Oczywiście!

– Mówią, że to łajdak.

– Bo to łajdak! Nikt, kto miałby choć odrobinę godności, nie zachowywałby się tak jak on, kiedy jego lud – choćby nie wiem jak dzicy byli ci wieśniacy – ruszył do walki... Ba! Zapomnijmy już o nim. Teraz Bonaparte koronuje królów w Europie, a władcą Hiszpanii jest jego brat Józef. Prawo stanowią nasze szable i bagnety. Armia dezertorów i wieśniaków nie oprze się zwycięzcom spod Jeny i Austerlitz.

Frédéric skrzywił się.

– Ale pod Bailén Dupont musiał się poddać. Słyszałeś, co w nocy mówił Dąbrowski.

– Nie zaczynaj znów z Bailén! – uciął temat zirytowany de Bourmont. – Doszło do tego z powodu upału i nieznamości terenu. To był błąd w obliczeniach. Poza tym z Dupontem nie było Czwartego Pułku Huzarów.

Do diabła, przyjacielu, widzę, że dziś jesteś w pesymistycznym nastroju. Co ci się stało?

Frédéric spojrzał na swego towarzysza ze szczerym uśmiechem.

– Nic się nie stało. Tyle tylko, że to jest dziwna wojna. Takiej wojny nie opisywały podręczniki, jakie studiowaliśmy w szkole wojskowej. Pamiętasz naszą wczorajszą rozmowę? Niełatwo pogodzić się z tym, że tu nie ma porządnych bitew, z wrogami rozpoznawalnymi i ustawionymi twarzą w twarz przeciwko nam.

– Że nie ma tu czystej wojny – podsumował de Bourmont.

– Właśnie. Nie jest czysta taka wojna, w której księża idą w góry do partyzantki, z podkasaną sutanną i strzelbą na plecach, a staruszki wylewają wrzący olej na naszych żołnierzy. Kiedy w studniach są trupy zamordowanych towarzyszy broni, a nie woda.

– Zbyt wiele żądasz, Frédéricu.

– Dlaczego?

– Bo wojna to nienawiść. Na wojnie ludźmi powoduje właśnie nienawiść.

– Do tego zmierzam. Na każdej porządnej wojnie nienawidzi się wroga właśnie dlatego, że jest wrogiem. Tu jednak rzecz jest bardziej złożona. Nas nienawidzi się bardziej, dlatego że jesteśmy heretykami; kler w kazaniach z ambony nawołuje do powstania, chłopci wołają opuścić wsie i spalić plony, niż pozostawić dla nas choćby piątkę suchego chleba...

De Bourmont uśmiechnął się przyjacielsko.

– Nie gniewaj się, Frédéricu, ale czasem twoja naiwność mnie rozbraja. Wojna taka już jest, nie możemy jej zmienić.

– Może jestem naiwny. Może tracę tę naiwność tu, w Hiszpanii, sam nie wiem. Zawsze jednak myślałem, że wojna to coś innego... Zaskakuje mnie ta południowa brutalność, ta odwieczna, wręcz prehistoryczna duma

Hiszpanów, przez którą spluwają nam z nienawiścią w twarz, zanim spod szubienicy trafią wprost do piekła. Pamiętasz tego księdza z Ceciny? Taki nędzny, mały i brudny, w marnej, wyświechtanej sutannie, z powrozem na szyi... Nie trząsał się jednak ze strachu, ale z nienawiści. Takim ludziom nie wystarczy zabić ciało, trzeba by było też zabić im duszę.

Z przeciwnego zbocza doliny dobiegł stłumiony odległością łoskot artylerii. Konie zastrzygły uszami i poruszyły się niespokojnie. Przyjaciele spojrzeli po sobie.

– No to już! Zaczęło się! – wykrzyknął de Bourmont.

Frédéricowi serce podskoczyło w piersi z radości. Dudnienie dział wydało mu się piękne mimo deszczu i szarej zasłony spowijającej horyzont. Rzucił cygaro – dymiło jeszcze dobrą chwilę na wilgotnej ziemi – i położył dłoń na ramieniu przyjaciela.

– Już myślałem, że ten dzień nigdy nie nadejdzie.

De Bourmont podkreślił węża porozumiewawczo. Oczy błyszczały mu z podniecenia jak kogutowi gotowemu do walki.

– Też się tego bałem – odrzekł, silnie przyciskając dłoń towarzysza na swym ramieniu.

Huzarzy rozmawiali w grupkach, spoglądając w stronę, skąd dobiegała kanonada, wymieniając między sobą rozmaite pogłoski, nieoparte na żadnych podstawach.

Wysoki i kościsty kapral z rudymi warkoczykami i wąsami obwieszczał z pewną siebie miną, że generał Darnand zaplanował zwód w kierunku Limas, podczas gdy naprawdę zamierzał odciąć w dwóch miejscach drogę do Kordoby. Opis manewru taktycznego przedstawiony przez rudego huzara był sprzeczny z opinią jednego z towarzyszy, który – opierając się na anonimowych, choć absolutnie wiarygodnych informacjach – utrzymywał, że ruch w kierunku Limas był początkiem śmiałego ruchu

mającego na celu odcięcie hiszpańskim oddziałom drogi odwrotu w kierunku Montilli. Dyskusja, coraz głośniejsza, przemieniła się w kłótnię, kiedy trzeci huzar oświadczył z absolutną pewnością, że nie ma w tej chwili żadnego ataku w kierunku Limas, a prawdziwe ruchy rozpoczną się dopiero przed nocą, i to w kierunku na Jaén.

Łącznik wysłany przez Berreta już wracał, galopując po zboczu wzgórza. Na przeciwnym stoku ciemny zarys innego szwadronu przesuwał się powoli w kierunku szczytu, a potem zniknął z pola widzenia.

Głos trąbki przekazał rozkaz „na koń”. Obaj przyjaciele zdjęli peleryny i przywiązali je do siodeł. De Bourmont puścił oko do Frédérica, wspiął się w strzemieniu i usiadł na koniu. Już na grzbiecie Noirota, Frédéric dopasował pod brodą miedzianą zapinkę paska od czaka i poprawił się w siodle. Z niesmakiem spojrzał na szare niebo. Dołman zaczynał przemakać, a jeździec czuł nieprzyjemną wilgoć na plecach i ramionach. Na szczęście temperatura zrobiła się znośna.

Na kolejny głos trąbki szwadron ruszył kłusa zboczem wokół wzgórza. Końskie kopyta wyrywały kawałki mokrej ziemi, a te spadały na jeźdźców z tyłu. Frédéric właściwie wolał to od tumanu kurzu, który podnosił się, gdy ziemia była sucha, dusząc jeźdźców i wierzchowce, i utrudniał widzialność podczas marszu. Rzucił okiem na umieszczone po obu stronach łęku dwie kabury, w których leżały, zawinięte w natłuszczone gałganki dla ochrony przed wilgocią, jego dwa znakomite pistolety, model Rok XIII. Wszystko dobrze szło. Czuł podniecenie przed zbliżającą się bitwą, był jednak spokojny, myślał przytomnie. Dopasował swoje ciało do ruchów Noirota, ciesząc się przyjemnością jazdy, ze wzrokiem i słuchem wyostrzonym na najmniejszy sygnał zapowiadający walkę.

Kiedy zostawili za sobą wzgórze, minęli lasek, w którym widoczne były należące do piechoty niebieskie kurtki poprzecinane białymi lederwerkami.

Grzmoty dział nadal dochodziły z drugiej strony horyzontu. Następnie znaleźli się na równinie i zauważyli, że po ich prawej stronie, w niewielkiej odległości jedzie inny oddział huzarów, prawdopodobnie ten, który podczas poprzedniego postoju widzieli na przeciwległym zboczu. Frédéric poczuł cichą dumę, patrząc z podziwem na bliźniaczy szwadron, poruszający się w idealnym szyku niczym żywa machina wojenna, zdyscyplinowana i doskonała, niosąca w pochwach setkę niecierpliwych szabel.

Jechali między wzgórzami i wąwozami, aż pojawiła się przed nimi wioska, nad którą unosiły się słupy dymu. Major Berret zatrzymał kolumnę, przez chwilę rozmawiał z Dąbrowskim, obaj pochyleni nad mapą. Frédéric patrzył na nich nieuważnie, skupiony na odległej kanonadzie, do której teraz dołączył łomot fizylierów. Lekko pociągał Noirota za uzdę, żeby nie skubał rzadkiej trawy, kiedy zauważył, że kapitan spojrzał na niego i dał mu znak. Serce biło mu mocniej, gdy spinał ostrogi i zbliżał się do dowódców szwadronu.

Berret, stojąc w strzemionach, mrużył swoje jedyne oko, patrząc z powagą na wioskę. Kapitan odezwał się do Frédérica.

– Glüntz, proszę wziąć sześciu ludzi i wyruszyć na zwiad w tamtą stronę. Trzeba sprawdzić, kto jest we wsi.

Frédéric wyprostował się w siodle, czując, jak się rumieni. Po raz pierwszy powierzano mu samodzielną misję w prawdziwej walce.

– Rozkaz! – Noirota niespokojnie kręcił łbem, jakby dzielił emocje jeźdźca.

Dąbrowski spojrzał na niego z obawą.

– Ale niech pan nie utrudnia sobie życia, Glüntz – doradził, marszcząc brwi. – Proszę tylko rzucić okiem i od razu wracać. Jeszcze za wcześnie, żeby uganiać się za chwałą. Jasne?

– Tak jest, panie kapitanie.

– Nie oczekujemy od pana bohaterskich wyczynów. Proszę tam pojechać, zobaczyć, co się dzieje, i zaraz wracać, żeby nam wszystko opowiedzieć. We wsi powinien pan spotkać naszą piechotę.

– Rozumiem, panie kapitanie.

– No to szybko! I niech pan uważa na partyzantów!

Młodzieniec spojrział na majora, ten jednak stał odwrócony do nich plecami, pochłonięty obserwacją pejzażu. Frédéric nieskazitelnie regulaminowo zaszalutował i zwrócił się do stojących najbliżej huzarów ze swojego plutonu. Wskazał na tych, których uznał za najlepiej wyglądających.

– Was sześciu! Za mną!

Spięli konie ostrogami i ruszyli galopem. Słaby deszcz ciągle padał, a ziemia, choć zaczynała już nasiąkać, nie była jeszcze zbyt miękka. Frédéric przycisnął uda do boków konia i pochylił głowę. Woda spływała mu po twarzy i karku, sącząc się po kropelce ze zmokłego niedźwiedziego futra na czaku. Kiedy oddalał się od szwadronu, był pewien, że niebieskie oczy Michela de Bourmont śledzą z oddali jego wyprawę.

Słupy dymu wznoszące się nad wioską wydawały się nieruchome, jakby zawieszony między niebem i ziemią, masywne w szarości poranka. Ziemia była poznaczona śladami końskich kopyt i kół wozów albo armat. W powietrzu czuło się zapach palonego drewna.

Wyjechali na drogę biegnącą pośród migdałowców. Wioska była już bardzo blisko i z drugiej strony dobiegał odgłos zwartej strzelaniny, nie było jeszcze jednak widać żywej duszy. Otwierająca się przed Fréderikiem nieznaną drogą budziła w nim pewien lęk, spodziewał się w każdej chwili natknąć na wrogi oddział. Nie przestając spinać ostrogami Noirota, chwycił wodze zębami i wyjął pistolet z jednej z kabur, odwinął go z gałganka i odłożył na miejsce, by mieć go pod ręką, gotowy do strzału.

Przy drodze leżał przewrócony wóz, a koło niego martwy mężczyzna. Przejeżdżając obok, Frédéric spojrział na niego przelotnie. Leżał z twarzą zanurzoną w mokrej ziemi, z rozkrzyżowanymi rękami, w ubłoconym ubraniu. Jedną nogę miał dziwnie wykręconą, zabrano mu buty. Frédéric nie rozpoznał munduru, więc pomyślał, że to Hiszpan. Trochę dalej, obok martwego konia, ujrzał zwłoki następnych dwóch osób. Skupiony na pierwszych, bliskich już, domach wioski i odgłosach zbliżającej się strzelaniny fizylierów, dopiero po dobrej chwili zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy w życiu zobaczył zabitych na polu walki.

Parę domów płonęło mimo deszczu. Zwęglone belki, spadając, wzniewały snopy iskier, które w powietrzu zamieniały się w popiół. Frédéric ściągnął wodze i koń zwolnił do stępa, a on wyjął z pochwy szablę. Każdy z szóstki huzarów jadących w luźnym szyku za jego plecami trzymał w ręce strzelbę i rozglądał się wokół doświadczonego wzrokiem weterana. Główna ulica wyglądała na pustą. Z tyłu, za białymi domami, strzelaninę zastępowały pojedyncze już tylko strzały.

– Proszę nie jechać środkiem, panie poruczniku – powiedział huzar z długimi czarnymi bokobrodami, jadący tuż za zadem jego konia. – Pod domami stanowimy trudniejszy cel.

Frédéric uznał, że to sensowna rada, lecz nie odpowiedział i dalej prowadził Noirota środkiem ulicy. Huzar pozostał przy nim, cicho przeklinając przez zęby. Pozostała piątka jechała z tyłu, trzymając się blisko domów, z luźnymi wodzami i ze strzelbami opartymi na łękach siodeł.

Pies o sierści zjeżonej deszczem przebiegł główną ulicę i zniknął między domami. Oparte o mur leżały następne zwłoki, z zamkniętymi oczami i otwartymi ustami. Tym razem był to Francuz. Białe lederwerki przecinające jego tors były ubłocone, obok leżał otwarty plecak z porozrzucaną wokół zawartością. To zrobiło na Frédéricu jeszcze większe

wrażenie niż zastygła twarz nieszczęsnego żołnierza. Przypomniawszy sobie Hiszpana bez butów, którego widział po drodze, i zaczął się zastanawiać, jacy nędznicy są zdolni okradać zabitych.

Deszcz przestał padać i w kałużach odbijało się ołowiane niebo. Za murem zagrzemiała bliska salwa, pod której wpływem Frédéric, całkiem wbrew sobie, podskoczył w siodle. Huzar z czarnymi bakami zaprotestował.

– To kompletnie bez sensu – powiedział – żeby dać się zabić, jadąc środkiem drogi.

Tym razem Frédéric zgodził się z nim. Zaczynał myśleć, że prawdziwa wojna w niczym nie przypomina bohaterskich rycin w książkach ani malowanych pięknymi kolorami obrazów wspaniałych czynów wojennych. W mokrych, szarych ramach poranka dostrzegał jedynie wyrwane, małe fragmenty w zimnych tonach, pojedyncze, odrażające sceny pozbawione wspaniałej perspektywy ogólnej i ciepłych odcieni, które – jak sądził do tego dnia – charakteryzują bitwę. Sam nie wiedział, czy przegrywają, czy może wygrywają. Prawdę mówiąc, nie był nawet pewien, czy znajduje się na polu walki, czy przeciwnie, uczestniczy zaledwie w marginalnych potyczkach, oddalonych od miejsc, gdzie bez jego udziału rzeczywiście ważą się losy wojny. Ta ostatnia myśl wzbudziła w nim specjalny niesmak i zezłościł się na Przeznaczenie, które być może w tej chwili pozbawiało go chwały, by ją oddać innym, mniej od niego godnym.

Okrążając jeden z domów, odkryli pluton piechoty, który pod osłoną muru ogrodzenia strzelał w kierunku pobliskiego zagajnika. Fizylierzy mieli twarze ubrudzone prochem, odgryzali jeden po drugim kartusze z kulami, wpychali je stemplami w dymiące jeszcze strzelby, podnosili broń na wysokość twarzy, strzelali i powtarzali te same ruchy. Było ich około dwudziestu i wyglądali na zmęczonych. Patrzyli w kierunku zagajnika z

pełnym złości skupieniem, nie obchodziło ich nic poza nabijaniem, celowaniem i strzelaniem. Jeden z nich siedział na ziemi, z głową obwiązaną zakrwawioną chustką, twarz ukrywał w dłoniach. Od czasu do czasu jęczał głucho, nikt jednak nie zwracał na niego uwagi. Jego strzelba znajdowała się kilka kroków dalej, oparta o mur. Od czasu do czasu jakaś kula przelatywała górą i z trzaskiem rozbijała się o ogrodzenie.

Sierżant z siwymi wąsami i zaczerwienionymi oczami zobaczył huzarów i podszedł do nich spokojnie, ograniczając się jedynie do pochylania głowy, kiedy kolejny pocisk rozdzierał powietrze zbyt blisko. Jego krótkie i silne nogi były okryte obcisłymi białymi spodniami, pobrudzonymi błotem.

Kiedy rozpoznał spiczaste galony podporucznika na rękawach dołmanu Frédérica, sierżant przestał pochylać głowę. Pozdrowił go swobodnie i przywitał huzarów.

– Nie widziałem, że tu jesteście – powiedział z widoczną satysfakcją. – Zawsze jest dobrze mieć w pobliżu lekką kawalerię. Jeśli panowie zsiądą z koni, będzie bezpieczniej. Strzelają do nas z tego lasu.

Frédéric nie zauważył tego ostrzeżenia. Schował szablę do pochwy i pogładził grzywę Noirota, obserwując z wystudiowaną obojętnością scenerię potyczki.

– Jaka jest sytuacja?

Sierżant podrapał się za uchem, spojrzał jeszcze raz w kierunku zagajnika, potem na młodego oficera i jego towarzyszy. Wydawał się rozbawiony spostrzeżeniem, że wspaniałe uniformy przybyszów są niemal tak samo zmoczone jak jego mundur.

– Jesteśmy z Siedemdziesiątego Ósmego Liniowego – powiedział bez potrzeby, bo numer jego pułku był widoczny na czapce. – Przybyliśmy do

wioski krótko przed świtem i wykurzyliśmy stąd wszystkich. Jedna grupa została tam naprzeciwko i teraz się nimi zajmujemy.

– Jakie siły mamy we wsi?

– Druga kompania. Jesteśmy rozproszeni, trochę tutaj, trochę tam.

– Kto dowodzi?

– Kapitan Audusse. Kiedy go ostatnio widziałem, był przy wieży kościelnej. On dowodzi kompanią. Reszta batalionu jest jakieś pół mili stąd na północ, wzdłuż drogi do Fuente Alcina. To wszystko, co mogę panu powiedzieć. Jeśli chce pan poznać więcej szczegółów, proszę zwrócić się do kapitana.

– To nie jest konieczne.

Z lasu padły niemal równocześnie trzy albo cztery strzały, a jedna kula przeleciała nisko, tuż obok grupy. Jeden z piechurów stojących przy ogrodzeniu nagle krzyknął i upuścił strzelbę. Potem, potykając się, zrobił krok do tyłu, ze zdziwieniem patrząc na swój brzuch poplamiony krwią.

Sierżant odwrócił się od huzarów i podszedł kilka kroków w kierunku swoich ludzi.

– Schowajcie się, idioci! – krzyknął do nich wściekły. – Jesteśmy tu, żeby wykończyć tych z przeciwka, a nie żeby im służyć za cel! Ciekawe na co, do cholery, czeka Durand!

Jeden z huzarów stanął w strzemionach, wycelował i wypalił ze strzelby. Potem zaczął pogwizdywać przez zęby i na nowo załadował, popychając nabój stemplem. Około stu łokci od nich po lewej szereg fizylierów wychynął zza opuncji i wyszedł ze wsi w kierunku lasu, zatrzymując się, żeby kolejno łądować broń i oddawać strzał. Sierżant wyjął szablę i pobiegł w kierunku ogrodzenia.

– Naprzód! Tam jest Durand! Za nimi!

Żołnierze z bagnetami nasadzonymi na broń wyprostowali się. Kiedy sierżant przeskoczył płot, pobiegli za nim, krzycząc. Na pozycji został jedynie ranny z owiniętą głową i żołnierz postrzelony w brzuch, który padł na kolana i głupio wpatrywał się w krew płynącą mu po udach, jakby nie mógł uwierzyć, że ta czerwona ciecz sączy się z jego ciała.

Frédéric wraz z towarzyszami przez chwilę obserwował, jak dwie niebieskie linie w obłokach prochu zbliżały się z dwóch stron do drzew. Odłączyły się od nich trzy czy cztery niebieskie plamki, które pozostały rozciągnięte na ziemi, podczas gdy reszta posuwała się do przodu.

Patrzyli jeszcze przez chwilę. Potem, gdy obie linie dotarły do granicy lasu, huzarzy zawrócili konie i galopem wyjechali z wioski, by jak najszybciej powrócić do swego szwadronu.

Czyli tak to wygląda. Błoto na kolanach i krew na brzuchu, zdziwienie i osłupienie na zeszywniałych twarzach zabitych, ograbione zwłoki, deszcz i niewidoczni wrogowie, których pozycję można ustalić jedynie po obłokach dymu wystrzałów. Wojna anonimowa i brudna. Nie było ani śladu chwały u jęczącego żołnierza z obwiązaną głową i twarzą schowaną w dłoniach ani u drugiego rannego, przyglądającego się z wyraźnym wyrzutem swym rozszarpanym wnętrzościom.

Frédéric popędził konia w długi cwał. Za nim jechało sześciu niewzruszonych huzarów, którzy nie komentowali scen, jakich byli przed chwilą świadkami. Podporucznik jednak czuł, jak wzbierają w nim pytania bez odpowiedzi; byłoby dobrze, gdyby mógł być sam i wyrazić je głośno.

Jeszcze raz natknęli się na drodze na trzech zabitych, tym razem Frédéric przyglądał się im dokładnie, z ciekawością, dopóki nie zostali w tyle. Nigdy wcześniej nie pomyślał, że zwłoki są czymś tak zupełnie pozbawionym życia. Kiedy wyobrażał sobie siebie samego jako zabitego,

widział na swej twarzy wyraz spokoju i zamknięte oczy, a może i niezatarty, lekki uśmiech w kącie ust. Któryś z towarzyszy skrzyżowałby jego ręce na piersi, przyjaciele uroniliby nad nim kilka łez, potem zanieśliby na ramionach do miejsca ostatecznego spoczynku, a promień słońca oświetlałby jego oblicze pokryte godną maską z prochu i krwi, jak przystało dobremu i lojalnemu żołnierzowi.

A teraz odkrył, że wcale nie musi tak być. Te ciała leżące w błocie budziły w nim dziwny lęk, niosły przerażające uczucie zupełnego osamotnienia w szarym świetle poranka. Frédéric poczuł narastający w piersi głęboki żal na myśl, że taka właśnie śmierć może być i jemu przeznaczona.

Bliskość szwadronu rozproszyła te ponure myśli. Powracał do bezpieczeństwa znajomych twarzy, licznego i zdyscyplinowanego wojska pod dowództwem odpowiedzialnych i doświadczonych przełożonych, doskonale znających swój fach, przyzwyczajonych do widoku zabitych leżących w błocie. Było to niczym powrót do świata żywych i silnych, gdzie zbiorowe uczucia przekształcają się w ślełą wiarę w zwycięstwo, w niezniszczalną pewność opartą na świadomości własnej potęgi.

Poinformował Berreta i Dąbrowskiego o sytuacji we wsi, ograniczając się do wymienienia sił, które ją zajmowały, i wzmianki o potyczce w lesie. Nic nie wspomniał o zabitych na drodze ani o martwym żołnierzu w wiosce, ani o dwóch rannych przy ogrodzeniu. Patrząc na niewzruszone twarze swoich przełożonych, za którymi ciągnęły się masywne szeregi szwadronu, poczuł, że sceny te rozpływają się w jego pamięci niby zły sen, aż w końcu zupełnie znikły.

Po powrocie na swoje miejsce w szyku Frédéric wymienił pozdrowienie z de Bourmontem, który pomachał dłonią i uśmiechnął się do niego z

sympatią. Huzar z czarnymi bokobrodami, który towarzyszył mu w zwiadzie, opowiadał towarzyszom szczegóły ich wjazdu do wsi.

– Szkoda, że nie widzieliście podporucznika... – komentował półgłosem, nie zauważywszy, że ten, o kim mówi, jest obok i słucha. – Jechał środkiem drogi, wyprostowany na siodle, a kiedy mu powiedziałem, że mogą do niego strzelić, mało brakowało, a posłałby mnie do diabła. Uparty Alzarczyk i nie brak mu odwagi, słowo daję... Całkiem nieźle jak na nowicjusza!

Frédéric uśmiechnął się z dumą i przemknął wzrokiem po polach pokrytych gajami oliwnymi i migdałowcami. Ciężkie niebo słabo rozjaśniało się na horyzoncie, jakby słońce próbowało przebić grubą warstwę chmur.

Zabrzmiała trąbka i szwadron ruszył kłusem, zostawiając wioskę po lewej stronie, poprzez pola, których od miesiący nikt nie orał. Przejechali około mili i wkrótce potem dostrzegli oddziały wojska. Najpierw była to kompania strzelców maszerująca po ściernisku pola kukurydzy. Potem ujrzeli liczne działa artyleryjskie ciągnięte galopem, podskakujące na nierównościach. W końcu wyprzedzili pluton konnych dragonów o zmęczonym wyglądzie, ze strzelbami przypiętymi do łąków siodeł, jadących stępa, z luźnymi wodzami. Po drugiej stronie pobliskich wzgórz słychać było odległą kanonadę fizylierów i pojedyncze wybuchy pocisków artyleryjskich.

Szwadron zatrzymał się, by napoić konie nad strumieniem płynącym między grząskimi brzegami porośniętymi krzakami. Major Berret oddalił się wraz z kapitanem Dąbrowskim, porucznikiem Maignym, chorążym Blondois i głównym trębaczem, razem wyjechali na szczyt pobliskiego wzgórza. W zasięgu wzroku znajdował się stojący nieruchomo inny szwadron z ich pułku, a jego dowództwo było na wzgórzu, gdzie

prawdopodobnie stanął sztab główny Czwartego Pułku Huzarów. Pułkownik Letac powinien być gdzieś niedaleko na górze, wraz ze swiątą generała Darnanda.

Frédéric zsiadł i pozwolił Noirotowi swobodnie zanurzyć pysk w zmaconej wodzie strumienia. Nadal nie padało, a pęd powietrza podczas galopu osuszył nieco mundury huzarów, którzy teraz rozprostowywali nogi i wymieniali się przypuszczeniami na temat tego, co dzieje się po drugiej stronie pagórków, tam gdzie prawdopodobnie toczy się główna bitwa. Frédéric wyjął z kieszonki zegarek; wskazówki pokazywały nieco po dziesiątej rano.

Porucznik Philippo zbliżył się, pochłonięty żywą rozmową z de Bourmontem. Pozostawili konie przy strumieniu i dołączyli do Frédérica. Philippo był huzarem o cygańskiej twarzy i ciemnej, niemal oliwkowej cerze, z czarnymi warkoczykami i wąsami. Średniego wzrostu, tylko nieco niższy od Frédérica, za to znacznie skromniejszej postury niż de Bourmont, miał zwyczaj przeklinać po włosku, w języku, który znał doskonale, jako że jego rodzina wywodziła się z za Alp. Był osobnikiem zarozumiałym, przesadnie dbającym o strój i, jak głosiła wieść, niezwykle walecznym. Brał udział w bitwie pod Eylau i w parku Monteleón w Madrycie, pięciokrotnie się pojedykował, zawsze na szable, przy czym dwóch ze swych przeciwników zabił. Kobiety, będące przyczyną sławy pojedykowicza, były jego słabością i według wielu – powodem ruiny. Wszystkich prosił o pożyczki, które zwracał, zaciągając kolejne długi.

Philippo uściśnął ceremonialnie dłoń Frédérica.

– Moje gratulacje, Glüntz. Słyszałem, że pańska pierwsza misja wypadła pomyślnie.

De Bourmont uśmiechnął się zadowolony, że pochwalono jego przyjaciela. Frédéric wzruszył ramionami; w pułku było w złym guście

przykładać wagę do jakichkolwiek osobistych wyczynów, zatem zwracanie uwagi na rutynowy patrol bez incydentów wyglądało na nieporozumienie.

– Powiedziałbym raczej, że okazała się dość nudna – odrzekł ze stosowną skromnością. – Nasi wypędzili Hiszpanów z wioski, poza tym żadnych zmian.

Philippo oparł się obiema rękami na szabli. Lubił przybierać pozy weterana.

– Będzie pan jeszcze miał okazję, by doznać silniejszych emocji – powiedział z tajemniczą miną kogoś, kto wie więcej, niż mówi. – Słyszałem z pewnego źródła, że lada chwila wkroczymy na pierwszą linię.

Obaj podporucznicy spojrzeli na Philippa z najwyższym zainteresowaniem. A ten napuszył się cały, zadowolony z wrażenia, jakie na nich zrobił.

– Tak jest, drodzy przyjaciele – dodał. – Jak wcześniej napomknął Dąbrowski, w jednej z tych rzadkich chwil, kiedy bywa rozmowny, Darnand stara się odciąć Hiszpanom drogę w kierunku gór. Problemem jest kolumna Ferreta.

– A co się dzieje z Ferretem? – zapytał de Bourmont.

– Z tego, co wiem, powinien osłaniać naszą flankę.

Philippo zrobił pogardliwą minę, jakby wątpił w zdolności militarne pułkownika Ferreta.

– I tu cały problem – wyjaśnił. – Ferret, który powinien być tutaj już od dobrej chwili, jeszcze nie dotarł. W tej sytuacji możliwe, że wyślą nas wcześniej, niż planowano, aby rozbić linie przeciwnika po drugiej stronie tych pagórków.

– Dąbrowski tak powiedział? – dopytywał się Frédéric podniecony wywodem Philippa. Już widział, jak galopuje wprost na wroga.

– Nie, to są tylko moje przypuszczenia. Ale uważam, że to pewne. Jesteśmy jedyną mobilną jednostką w tym sektorze i na dodatek jedynym regimentem, który jeszcze nie wyruszył do walki. Inni szczerbią stal od dobrej chwili, poza Ósmym Lekkim, pozostającym w rezerwie.

– Widzieliśmy jakichś dragonów – zauważył de Bourmont.

– Tak, wiem. Słyszałem, że wykorzystują ich w małych oddziałach do zadań zwiadowczych wzdłuż całej linii. Tam są jednak cztery nasze szwadrony.

Frédéric nie podzielał pewności porucznika Philippo.

– Widzę tylko tych tam – wskazał na nieruchomą masę jeźdźców na koniach znajdującą się w zasięgu wzroku. – Ich i nas. A jeśli jeden plus jeden daje dwa, brakuje nam pół regimentu.

Philippo skrzywił usta z niechęcią.

– Nudzą mnie, Glüntz, pańskie germańskie kalkulacje – powiedział z rozdrażnieniem. – Jest pan młody, brakuje panu doświadczenia. Proszę zaufać słowom weterana.

– To brzmi rozsądnie – przyznał de Bourmont i Frédéric od razu się z nim zgodził.

– Chciałbym wiedzieć, kto ma przewagę – powiedział, patrząc w kierunku pola walki.

– Cóż, tego na razie nie da się stwierdzić – odparł Philippo. – Wydaje się, że nasza flanka ma pewne kłopoty, żeby się utrzymać na pozycji. Wezwali posiłki artyleryjskie i można się spodziewać, że w każdej chwili Ósmy Lekki też pójdzie na pierwszą linię. Wkrótce i my będziemy musieli pomóc.

– Nie miałbym nic przeciwko temu – stwierdził de Bourmont.

Philippo z pyszałkowatą miną poklepał rękojeść swej szabli.

– Ani ja! Kiedy przejdziemy na drugą stronę tych pagórków, Hiszpanie rzucą się do ucieczki jak diabeł przed dobrą duszą. *Cazzo di Dio!*

Frédéric odwiązał pelerynę od siodła i rozłożył ją na ziemi, pod drzewkiem oliwnym. Zdjął czako, odpiął manierkę i położył się, pogryzając kawałek suchara wyjęty z chlebaka. Pozostali poszli w jego ślady.

– Może ma ktoś koniak? – zapytał Filippo. – Łykiem okowity też bym nie pogardził.

De Bourmont podał mu manierkę bez słowa. Huzarzy przed opuszczeniem obozu mieli dość czasu, by się zaopatrzyć, bez wątpienia jednak porucznik już wykorzystał swój przydział. Filippo przytknął szyjkę do warg i zagwizdał z zadowoleniem.

– Ach, moi drodzy przyjaciele... To wskrzesiłoby nieboszczyka.

– Nie tych, których dziś widziałem – mruknął Frédéric z nutą czarnego humoru, która zaskoczyła przede wszystkim jego samego. Pozostała dwójka spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– W wiosce? – zapytał de Bourmont.

Frédéric spojrzał wymijająco.

– Tak, trzech czy czterech. Głównie Hiszpanie. Zabrali im buty.

– Jeśli to byli Hiszpanie, to myślę, że dobrze – stwierdził Filippo. – Zresztą do czego potrzebne nieboszczykowi buty?

– Do niczego – odparł de Bourmont ponuro.

– Właśnie, do niczego. Pewnie były potrzebne komuś żywemu.

– Nigdy bym nie ograbił zabitego – powiedział Frédéric, marszcząc czoło.

Philippo uniósł brew.

– Dlaczego? Zabitym jest wszystko jedno.

– To niegodziwe.

– Niegodziwe? – Philippo zachichotał. – To jest wojna, mój drogi. Naturalnie, takich rzeczy nie uczą w szkole wojskowej. Ale zapewniam pana, tego też pan się nauczy. Niech pan sobie wyobrazi, Glüntz, że idzie pan przez pole bitwy, po ciężkim dniu, kiedy nie miał pan ani kęsa w ustach, i widzi pan zabitego żołnierza z pełnym chlebakiem. Czy skrupuły przeszkodziłyby panu urządzić sobie prawdziwą ucztę?

– Wolałbym umrzeć z głodu – odparł Frédéric z pełnym przekonaniem. Philippo pokiwał głową z dezaprobatą.

– Widzę, że nie doświadczył pan w swoim życiu głodu, przyjacielu... Bourmont, czy pan też zrezygnowałby z wiktuałów, gdyby znalazł się pan na miejscu naszego młodego Glüntza?

De Bourmont skrzył palcami koniec wąsa pełen wątpliwości.

– Myślę, że postąpiłbym tak samo – powiedział w końcu. – Nie podoba mi się ograbianie zabitych.

Philippo mlasnął zniechęcony.

– Z panami do niczego się nie dojdzie. Na tym polega defekt pięknoduchów: biorą życie za piękny sen w różowym kolorze. Ale jeszcze się zmienicie. Może nawet dziś zaczną się zmiany. Ograbianie zabitych, powiedział pan, ha! To drobiazg. Czyż nigdy panom nie opowiadano o ohydnych grupach grabieżców, które zwykle towarzyszą wojskom na wojnach i nocą, po bitwie, zakradają się jak cienie między zabitych i rannych i zabierają im wszelkie wartościowe przedmioty? Padlinożerne sępy dobijają umierających, żeby ich okraść, obcinają palce, żeby zabrać obrączki, roztrzaskują szczęki, żeby wydobyć złote zęby... W porównaniu z tym, co robi ta hołota, zabranie bochenka chleba czy pary butów to dziecinna igraszka... Słowo daję, to wskrzesiłoby nieboszczyka – stwierdził, oddając manierkę z koniakiem de Bourmontowi i dyskretnie bekając. – Ten koniak był mi naprawdę potrzebny. *Corpo di Cristo*. Trochę się

zmoczyliśmy dziś rano, co? Nie wiedząc, dokąd, u diabła, jedziemy i czy szybko, czy nie, wkroczymy do walki, nie założyliśmy nawet peleryn. Tylko stary Berret i ten nadęty Dąbrowski wiedzieli, ale nie puścili pary z ust. Niedługo dwie trzecie szwadronu będzie kichać. Całe szczęście, że przestało padać.

Zwiadowca zbliżał się kłusem. Bez wątpienia kierował się ku wzgórzu, na które wspiał się Berret z towarzystwem. Zwiadowcy byli łącznikami kawalerii, przemierzali pole bitwy od końca do końca, nosząc wiadomości poszczególnym jednostkom. Philippo zawołał, kiedy przejeżdżał obok:

– Coś nowego, żołnierzu?

Huzar, młodzieniec z jasnymi warkoczykami i kucykiem, zatrzymał na chwilę swojego konia.

– Czwarty szwadron rozbił przed chwilą oddział partyzantów, jakąś milę stąd – poinformował z satysfakcją w głosie, sam bowiem należał do czwartego szwadronu. – Jeszcze krążą tam, ścigają ich i dobijają. Czysta robota.

– Bez pardonu – mruknął de Bourmont z cynicznym uśmiechem, patrząc za oddalającym się zwiadowcą.

Philippo był zadowolony.

– Bez pardonu, istotnie. To jest zaleta walki z partyzantami, nie trzeba zadawać sobie trudu i brać wrogów w niewolę. Parę ruchów szablą i, szast-prast, sprawa załatwiona.

De Bourmont i Frédéric zgodzili się z nim. Philippo śmiał się.

– Ciekawe – dodał z dumą – że ten rodzaj nieregularnej wojny z oddziałami partyzantów, którzy poszli do lasu, jest charakterystyczny dla ludów południowych.

– Naprawdę? – de Bourmont, zaciekawiony, nachylił się do porucznika.

– To oczywiste, drodzy przyjaciele! – Filippo przy najmniejszej okazji popisywał się swoją włoską krwią. – Do wojny partyzanckiej potrzebna jest wyobraźnia, pomysłowość... Nawet pewien brak dyscypliny. Czy wyobrażacie sobie angielskiego partyzanta? Albo Polaka, takiego jak kapitan Dąbrowski? Niemożliwe! Do tego potrzebna jest gorąca krew, moi panowie! Gorąca krew!

– Taka jak pańska, drogi przyjacielu – stwierdził de Bourmont ze skrywaną drwiną.

– Taka jak moja, właśnie. W gruncie rzeczy nawet mi się całkiem podobają ci przekłeci wieśniacy ze strzelbami. Kiedy podrzynam im gardło, mam wrażenie, jakbym zabijał własnego ojca. Staruszek był południowcem aż do szpiku kości.

– Przecież pan zabija więcej Francuzów niż Hiszpanów, Filippo! Słynne są pańskie pojedynki...

– Zabijam wszystko, co mi stanie na drodze – orzekł w mieszanym języku francusko-włoskim, nieco urażony.

Frédéric pogłaskał po zadzie Noirota, który zarżał z wdzięcznością. W wodzie strumyka odbijało się szare niebo, ale chmury przerzedziły się nieco i zajaśniały między nimi kawałki błękitu. Promień słońca oświetlił szczyty pobliskich wzgórz. Frédéric pomyślał, że mimo wojny, a może właśnie dzięki niej, krajobraz wydaje mu się naprawdę piękny.

Spojrzał na konia de Bourmonta, stojącego obok Noirota w strumieniu aż po pęciny i popijającego wodę. Wyglądał wspaniale: był to jabłkowity siwek o długiej grzywie i przyciętym ogonie, plamy na zadzie nie szpeciły jego wyglądu. Siodło ozdobione skórą lamparta było wyjątkowo piękne, węgierskie, jak niemal cały ekwipunek huzarów: siodła, buty, mundury... Nawet sam termin „huzar” pochodził z owego kraju. Frédéric słyszał kiedyś, że wywodzi się on od słów *husz*, co oznacza sto, i *ar*, dzierzawa. Od

wieków każdy właściciel ziemski na Węgrzech miał obowiązek dostarczyć swemu panu na wojnę jednego zbrojnego człowieka z koniem na każdych stu mieszkańców swoich posiadłości. Takie było pochodzenie legendarnej lekkiej kawalerii, której styl i tradycje zostały przejęte przez wojska niemal wszystkich krajów europejskich.

Z całkowitą naturalnością Philippo zapytał ich, czy nie mają tytoniu, bo jego papierośnica została w sakwie na koniu stojącym pośrodku strumyka. De Bourmont rozpiął kilka guzików dołmana i wyjął trzy cygara. Palili je w milczeniu, przyglądając się chmurom i kawałkom błękitu przepływającym nad ich głowami.

– Zastanawiam się – powiedział Philippo po chwili – kiedy wrócimy do Kordoby.

Frédéric spojrzał na niego zaskoczony.

– Podoba się panu Kordoba? Moim zdaniem to brudne i upalne miasto.

– Są tam piękne kobiety – odrzekł Philippo z rozmarzonym wzrokiem.

– Poznałem tam prawdziwe cudo o włosach jak heban i takiej talii, że nawet ta przeklęta bryła lodu, Dąbrowski, straciłby dla niej głowę. – Było jasne, że polski kapitan nie cieszy się sympatią włoskiego Francuza. –

Na imię jej Lola, a oczy ma takie, że samego Letaca, ehm, zwałyby z konia.

– Lola znaczy Dolores, prawda? – zapytał de Bourmont. – To chyba zdrobnienie, imię pieszczotliwe.

Philippo głośno westchnął.

– Dolores czy Lola... Co za różnica. Każde imię pasowałoby do niej.

– Podoba mi się – stwierdził Frédéric, powtarzając na głos wiele razy jej imię. – Lola. Ładnie brzmi, prawda? Takie żywiołowe, dzikie. Niewątpliwie bardzo hiszpańskie. Czy jest piękna?

Philippo cicho jęknął.

– Już mówiłem. Przepiękna! Nie wiecie jednak panowie, że to właśnie ona, oczywiście niebezpośrednio, była powodem...

– Ostatniego pańskiego pojedynku – dokończył de Bourmont.

– Znacie więc panowie tę historię?

– Cały regiment zna tę historię – powiedział de Bourmont ze znużeniem. – Opowiadał ją pan, mój drogi, przynajmniej dwadzieścia razy.

– I co z tego? – odparł Philippo z irytacją. – Choćbym opowiedział ją sto razy, historia będzie taka sama, a Lola będzie Lolą.

– Ciekawe, z kim jest teraz – rzucił de Bourmont, ukradkiem puszczając oko do Frédérica.

Philippo ponownie kilka razy uderzył dłonią w rękojeść swej szabli.

– Na pewno nie jest z tym durniem z Jedenastego Pułku Liniowego, którego zaskoczyłem pewnej nocy pod jej oknem... Zaproponowałem, by poszedł ze mną załatwić tę sprawę w jakimś dyskretnym miejscu, a on odpowiedział, że we francuskim wojsku pojedynki są zabronione. Do mnie, porucznika Philippo, taka mowa! Poszedłem za nim aż na kwaterę i pod drzwiami zrobiłem taki raban, że biedaka niemal siłą wyciągnęli jego towarzysze, żeby imię ich pułku nie zostało okryte hańbą.

– I nieźle go pan zdzielił szablą – przypomniał de Bourmont.

– Prawie go poszatkowałem! Zwalił się jak worek ziemniaków, a jak go wynosili, bardziej wyglądał na trupa niż na żywego.

– A ja słyszałem, że dostał tylko jeden sztych. I że odszedł o własnych siłach.

– Źle pan słyszał!

– Skoro pan tak mówi...

Przez chwilę milczeli, słuchając odległego zgiełku bitwy toczącej się za wzgórzami. Piechota musi mieć spore kłopoty, pomyślał Frédéric, słuchając

wybuchów.

– Kiedyś zabiłem kobietę – nieoczekiwanie mruknął de Bourmont, jakby nagle postanowił się wypowiedzieć.

Towarzysze spojrzeli na niego zaskoczeni.

– Ty? – zapytał Frédéric z niedowierzaniem. – Chyba żartujesz, Michel!

De Bourmont przecząco pokręcił głową.

– Mówię poważnie – powiedział, mrużąc oczy, jakby z trudem sobie coś przypominał. – To było w Madrycie drugiego maja, na jednej z uliczek między Puerta del Sol i Pałacem Królewskim. Philippo, zapewne pamięta pan ten dzień, pan też tam był...

– Pewnie, że pamiętam! – potwierdził Włoch. – Ze dwadzieścia razy byłem o włos od postradania życia.

– Madrytczyacy podnieśli bunt – ciągnął dalej de Bourmont – i atakowali nasze wojsko wszystkim, co im wpadło w rękę: pistoletami, strzelbami, tymi długimi hiszpańskimi nożami... W całym mieście panował potworny zamęt. Strzelano do nas z okien, rzucono dachówkami i donicami, nawet meblami. Byłem akurat w drodze z wiadomością dla księcia Bergu, kiedy zaskoczył mnie tłum. Jakieś dzieciaki zaczęły rzucać we mnie kamieniami, o mało co nie spadłem z konia. Z łatwością je odpędziłem i pogałem kłusem w kierunku Plaza Mayor, żeby ominąć tłum, i sam nie wiem jak, ale nagle ugrzęzłem w ludzkiej masie. Mniej więcej dwadzieścioro kobiet i mężczyzn. Wszystko wskazywało na to, że chwilę wcześniej zabity został przez mameluków człowiek, którego nieśli ulicą. Na mój widok rzucili się naprzód, wymachując kijami i nożami. Kobiety były najgorsze, wrzeszczały jak harpie, chwytaly się moich wodzy, ciągnęły mnie za nogi, próbowały zrzucić z konia...

Frédéric słuchał uważnie słów przyjaciela. De Bourmont mówił powoli, niemal monotennie, zatrzymując się od czasu do czasu, jakby próbował

uporządkować swoje wspomnienia.

– Wyciągnąłem szablę z pochwy – ciągnął – i w tym momencie ktoś zadał mi cios w udo. Koń stanął dęba i mało brakowało, by mnie zrzucił, a wtedy byłbym martwy w jednej chwili. Muszę przyznać, że się przestraszyłem. Jedną rzeczą jest stawić czoło wrogowi, a inną, zupełnie różną, rozszalałemu, wrzeszczącemu pospólstwu... Spiałem konia ostrogami, by się stamtąd wydostać, ciąłem szablą na lewo i prawo. W tym momencie jakaś kobieta, której twarzy nie widziałem, choć zapamiętałem jej czarną chustkę i krzyki, złapała wędzidło mojego konia, jakby za nic w życiu nie chciała mi pozwolić na ucieczkę. Byłem oszołomiony ciosami i bólem w udzie, zaczynałem tracić głowę. Koń ruszył z kopyta i wyciągnął mnie spośród hałstry, ta kobieta jednak ciągle była uczepiona konia, nie puszczała... Uderzyłem ją szablą w szyję i upadła pod końskie kopyta, z ust i nosa ciekła jej krew.

Frédéric i Philippo, zaintrygowani, czekali na dalszy ciąg opowieści. Jednak de Bourmont skończył. Zamilkł, przyglądając się obłokom dymu z cygara tłącego mu się między palcami.

– Może też miała na imię Lola – dodał po chwili.

I zaczął się śmiać z gorzkim grymasem na twarzy.

IV. POTYCZKA

Samotny jeździec pojawił się od wschodniej strony i wspiał po zboczu wzgórza, na którym znajdowało się dowództwo pułku. Znad strumienia Frédéric dostrzegł sylwetkę człowieka na koniu i śledził ją wzrokiem aż do chwili, kiedy dotarła na szczyt.

– To zwiadowca pułkownika Letaca – zaryzykował Philippo, który wstał, by lepiej widzieć. – Na pewno za chwilę będziemy już w siodłach.

– Najwyższy czas – mruknął Frédéric z błyskiem nadziei w oczach.

– Też tak mówię – rzekł Philippo, znów się kładąc na ziemi i pogwizdując przez zęby *Lubię cebulę smażoną na oliwie*, pochodzącą z jednej z modnych operetek piosenkę, która weszła do repertuaru orkiestr wojskowych.

De Bourmont, leżący z rękami skrzyżowanymi pod głową, nie otworzył nawet oczu, skrzywił się tylko z niechęcią.

– Na rany Chrystusa, niechże mnie pan nie drażni tymi wodewilowymi śpiewkami. Pańska historyjka o cebuli jest w najgorszym guście, a do tego brzmi okropnie.

Philippo spojrział na swego towarzysza wyraźnie dotknięty.

– Przepraszam, drogi przyjacielu, lecz ta melodia, której pan, jak się wydaje, nie znosi, jest jedną z najweselszych, jakie wykonują nasze orkiestry wojskowe. Do tego pomaga pięknie defilować.

De Bourmont nie wyglądał na przekonanego.

– Jest prymitywna – dowodził z pogardą. – Najwidoczniej tych pięciuset muzyków wykształconych przez Dawida Buhla w szkole

wersalskiej nauczyło się grać na trąbkach, a nie dobierać utwory ze smakiem. *Lubię cebulę smażoną na oliwie...* To po prostu żalosne!

– A mnie się podoba – zaprotestował Philippo. – Może woli pan te stare, rojalistyczne piosenki?

– Mają swój urok – odparł de Bourmont chłodno, otwierając oczy i patrząc prosto na Philippa, który po kilku pełnych napięcia chwilach spuścił wzrok. Frédéric postanowił włączyć się w rozmowę.

– A ja najbardziej lubię stare melodie republikańskie.

– Ja też – powiedział de Bourmont. – Przynajmniej nie zostały napisane dla wymalowanych szansonetek i komików piejących pośród dekoracji w światłach rampy.

– A Cesarzowi nie podobają się piosenki republikańskie – Philippo obstawał przy swoim. – Mówi, że są nazbyt splamione francuską krwią, i woli, by żołnierze maszerowali w rytm takich wesołych melodii. I właśnie ta, która tak bardzo się panu nie podoba, Bourmont, należy do jego ulubionych.

– Wiem. Ale to, że Napoleon jest geniuszem wojennym, wcale nie oznacza, że jego nieomylność dotyczy również smaku muzycznego. Najwyraźniej w tej dziedzinie ma spore niedostatki.

Philippo podkręcił wąsa rozgniewany.

– Słuchaj, Bourmont, czasem doprowadza mnie pan do furii.

– Może pan ode mnie zażądać satysfakcji, kiedy wola – odparł de Bourmont z całkowitym spokojem. – Jestem do pańskiej dyspozycji.

– *Cazzo di Dio!*

Frédéric uznał, że nadszedł moment, by ponownie interweniować.

– Dobrze, panowie, dość tego – włączył się pojednawczo. – Lepiej zachowajmy nasze życie dla Hiszpanów.

Philippo otworzył usta, żeby jeszcze coś dodać, czerwony z wściekłości, dostrzegł jednak, jak de Bourmont ukradkiem puszcza oko do Frédérica. Roześmiał się więc i jego złość wyparowała w jednej chwili.

– Na *sporca Madonna*, Bourmont, któregoś dnia będziemy się w końcu musieli zmierzyć na szable. Dobrze się pan bawi, wyprowadzając mnie z równowagi.

– Na szable? Z panem i z kim jeszcze panu do pomocy?

– *Cazzo di Dio!*

– No dobrze, już wystarczy – kolejny raz wtrącił się Frédéric. – Zostało jeszcze trochę koniaku?

De Bourmont podał mu manierkę i cała trójka huzarów napiła się po kolei w ciszy. Porucznik Gérard i podporucznik Laffont dołączyli do grupy.

– Widzieliście zwiadowcę? – zapytał Laffont, pochodzący z Bordeaux, pozbawiony wdzięku rudzielec, za to znakomity jeździec i bardzo zręczny szermierz.

– Tak – Frédéric skinął głową. – Myślę, że wyruszymy w pole.

– Wygląda na to, że główna bitwa przenosi się w kierunku środka naszej linii – powiedział Gérard, weteran o długich warkoczykach i pałkowatych nogach. – Tam walczymy najzacieklej.

Przez chwilę wymieniali się przypuszczeniami. W końcu wspólnie uznali, że żaden z nich nie ma najlepszego pojęcia, co się naprawdę dzieje. Wokół nich rozsiani wzdłuż brzegu strumyka huzarzy rozmawiali w grupach lub stali w milczeniu przy koniach, ze spojrzeniem błakającym się po wzgórzach. Słońcu nie udało się całkiem rozerwać zasłony chmur i niebo znów było zakryte, a horyzont ciemniał groźnie.

Kapitan Dąbrowski z wyraźnym pośpiechem zjechał ze wzgórza. Oficerowie podbiegli w kierunku jego wierzchowca i równocześnie pomruk wyczekiwania przebiegł przez szwadron. Frédéric i de Bourmont

błyskawicznie zebrali z ziemi swoje peleryny i przytroczyli je do siodeł. Philippo musiał zmoczyć buty, żeby dotrzeć do swojego konia.

Dąbrowski był już pośród nich i trąbka wzywała do stawania w ordynku. Huzarzy sformowali szereg, prowadząc konie za uzdy. Frédéric włożył na głowę czako, stanął wyprostowany, przytrzymując lewą ręką szablę w pochwie, i powiedział sobie, że tym razem sprawa wygląda poważnie. De Bourmont spojrzał na niego porozumiewawczo, z zadowoleniem. Był tego samego zdania.

Kiedy zabrzmiał sygnał do wsiadania na koń, stu ośmiu huzarów szwadronu uczyniło to tak, jakby byli jednym człowiekiem. Ciekawe, że członkowie regimentu, wierni niezdyscyplinowanemu stylowi charakterystycznemu dla lekkiej kawalerii, kiedy jest z dala od akcji, stawali się precyzyjni jak jeden mechanizm, gdy zbliżała się walka. Właśnie ten duch wspólnoty pojawiający się na polu bitwy czynił z nich potężną, sprawną i niszczącą maszynę wojenną.

– Oficerowie do mnie! – krzyknął Dąbrowski. Wezwani spięli konie ostrogami i w jednej chwili byli przy nim.

– Szwadron na chwilę się podzieli – wyjaśnił kapitan, patrząc na nich swymi lodowatymi oczami. – Pierwsza kompania będzie eskortowała batalion z Ósmego Pułku Piechoty Lekkiej do chwili, kiedy ten zajmie pozycje przed linią ognia naprzeciwko wioski położonej za wzgórzami. Zadaniem Ósmego jest zajęcie wioski i usunięcie z niej nieprzyjaciela, ale to już do nas nie należy. Kiedy tylko piechota zajmie pozycje, my zawracamy konie i rozwijamy szyk w kierunku tego wąwozu, który panowie widzicie, gdzie będzie oczekiwała druga kompania, już na koniach, gotowa, by na rozkaz wejść do akcji... Prawdopodobnie zobaczymy jeźdźców po naszej lewej, na granicy lasu. Nie przejmujcie się nimi, będzie to czwarty szwadron naszego pułku, przygotowany do pościgu

za nieprzyjacielem, kiedy zostanie on usunięty z wioski... Zrozumiano? No to wymarsz. W kolumnie plutonami.

Frédéric zajął swoje miejsce, tym razem dokładnie w środku szyku złożonego z czterech rzędów, po dwunastu ludzi w każdym. Ruszyli z kopyta i po chwili jechali kłusem przez oliwne gaje w kolorze popiołu. Porucznik Maugny, który także zjeżdżał ze wzgórza, aby poprowadzić kompanię kierującą się ku wąwozowi, minął ich i pozdrowił Dąbrowskiego, a ten odpowiedział nieznacznym skinieniem głowy. Bez trudu pokonali kamienny murek i wspięli się na niewielkie wzgórze, widząc po prawej stronie, na szczycie najwyższego wzniesienia, orła powiewającego na sztandarze pułku ponad grupą oficerów.

Nie było słyhać strzałów z frontu, tylko działa i fizylierów gdzieś w oddali, na prawo od drogi, którą jechali. Frédéric wyobrażał sobie, że tam zapewne toczy się ostra walka, i odczuwał pewne rozczarowanie, widząc, że jadą w kierunku ciszy, wcale nie po to, by wejść do bitwy. Zwykła rutynowa eskorta.

W końcu pozostawili w tyle ostatnie wzniesienia i oczom huzarów ukazało się pole bitwy. Rozciągało się od lasu po lewej stronie po odległe góry, tworząc dolinę o szerokości pięciu, sześciu mil. Były tam dwie czy trzy wioski, które wyglądały, jakby je spowijały niskie chmury, mgła. Tam właśnie słyhać było wystrzały z dział i po chwili Frédéric zrozumiał, że to, co brał początkowo za niskie chmury, było dymem bitewnym.

Nieco bliżej, w odległości mniej więcej mili, niebieskie plamy paru francuskich regimentów podzielonych na bataliony stały nieruchomo w szeregach, rozsiane po polach. Od czasu do czasu unosił się nad szeregami obłok dymu wystrzałów, wisiał przez chwilę w powietrzu, a potem rozptywał się powoli, w kłaczkach unoszących się nad doliną. Naprzeciwko, znaczone krótkimi wybuchami ognia artylerii, hiszpańskie

salwy tworzyły identyczne obłoki dymu, które przykrywały horyzont, stapiając się z ołowianą kurtyną niskich chmur. Zasłonięte niebo i dym prochu sprzysięgły się, żeby zakryć słońce.

Zbliżało się południe, kiedy huzarzy nawiązali kontakt z Ósmym Pułkiem. Piechurzy, w niebieskich mundurach z białymi lederwerkami skrzyżowanymi na piersi, unieśli czapki na lufach strzelb w geście pozdrowienia dla kawalerii, która miała eskortować ich na miejsce walki. Uwagę Frédérica przykuła niezwykła młodość żołnierzy, bardzo częsta w wojsku w Hiszpanii, twarze niemal dziecięce, obramowane miedzianymi okuciami pasków zapiętych pod brodą. Na plecach nieśli lekkie plecaki, bagnety w pochwach i wyglądali na zmęczonych. Oba wchodzące w skład pułku bataliony utrzymały szyk marszowy, lecz żołnierze odpoczywali, siedząc na ziemi. Bez wątplenia byli zmęczeni forsownym marszem, który właśnie dobiegł kresu, bo nie wyglądali, jakby brali już udział w bitwie. Oficerowie stali pośrodku każdego batalionu, razem z trębaczami i doboszami. Dowódca regimentu, pułkownik, siedział na koniu obok sztandaru zwieńczonego orłem.

Dąbrowski rozstawił kompanię plutonami wzdłuż boków Ósmego Pułku Piechoty Lekkiej. Plutonowi Frédérica wyznaczone zostało miejsce u czoła kolumny, lekko z przodu. Zabrzmiały trąbki i zaraz potem dwaj dobosze przystąpili do werbli. Ludzie wstali z ziemi i ruszyli w drogę.

Frédéric prowadził Noirota stępa, luźno trzymając wodze. Ręce opierał na siodle i uważnie patrzył na drogę. Od czasu do czasu odwracał twarz i obserwował idących obok niego żołnierzy, którzy powłócząc nogami, potykali się na kamieniach i zielsku. Oni także mu się przyglądali, a w ich oczach widoczna była otwarta zazdrość, czasem nieukrywany żal. Frédéric próbował postawić się w miejscu tych żołnierzy, którzy pieszo przemierzali Europę w błocie po kostki lub pod bezlitosnym słońcem Hiszpanii,

piechurów z przetartymi podeszwami i łydkami stwardniałymi od niekończących się, wyczerpujących marszów. Dla nich oficer huzarów, który nie zdierał butów i podróżował na grzbiecie pięknego wierzchowca, ubrany w elegancki mundur szacownego regimentu, niewątpliwie stanowił drażniący kontrast i uświadamiał im z całym okrucieństwem smutną prawdę, iż są tylko anonimowym i bezkształtnym mięsem armatnim, popędzanym krzykami zgryźliwych sierżantów, źle ubranym i jeszcze gorzej karmionym. A to oni, żołnierze z Ósmego Pułku Piechoty Lekkiej, muszą wykonać czarną robotę, żeby później, kiedy wszystko już jest zrobione, błyszczący huzarzy na koniu zadali parę cięć to tu, to tam, ścigając nieprzyjaciela wykurzonego przez piechotę i zagarniając dla siebie największą chwałę. Świat nie jest sprawiedliwie urządzone, a tym bardziej francuskie wojsko.

Te i inne rozważania snuł Frédéric na temat ludzi, których eskortował ku śmierci, może kalectwu, prawdopodobnie ku zwycięstwu, i młody podporucznik wyobrażał sobie, że zwycięstwo pewnie było obojętne rannym i zabitym. Przynajmniej zostaje chwała. Choć Frédéric, z wysokości swego konia, munduru i galonów, był przekonany, że ci idący pieszo ze strzelbą na ramieniu żołnierze zupełnie inaczej niż on pojmowali chwałę.

Chwała. Słowo to raz za razem przychodziło mu na myśl, prawie je wypowiadał. Podobało mu się brzmienie tych sześciu liter. Było w nim coś epickiego, wręcz wzniosłego.

Frédéric wiedział, że człowiek od niepamiętnych czasów walczył ze swymi bliźnimi o rzeczy materialne i doczesne: jedzenie, kobiety, nienawiść, miłość, bogactwo, władzę... Czasem dlatego, że mu po prostu kazano, a strach przed karą – rzecz dziwna – wygrywał często z lękiem przed śmiercią, która czyhała na wojnie. Wiele razy zadawał sobie pytanie,

dlaczego grubiańscy żołnierze, raczej niekierujący się pobudkami duchowymi, nie dezercerowali częściej ani nie uchylali się przed wezwaniem w kamasze. Dla wieśniaka, który nie widział świata poza swoim skrawkiem pola, chałupą i strawą potrzebną do utrzymania rodziny, wyruszenie w dalekie kraje po to, by bronić interesów nie mniej odległego monarchy, musiało być przedsięwzięciem jałowym, absurdalnym, na którym nic nie mógł zyskać, za to wiele stracić, łącznie z dobrem najcenniejszym: własnym życiem.

Przypadek Frédérica Glüntza ze Strasburga był zupełnie inny. Postanowił zostać wojskowym powodowany motywami wzniosłymi i szlachetnymi. Kariera w armii była dla niego krystalizacją wyższej potrzeby, impulsu, który kazał mu wyrwać się z wygodnego mieszczańskiego życia i prowadził na drogę bohaterstwa, szlachetnych uczuć, najwyższego poświęcenia. Wstąpił do wojska, tak jak inni poświęcają się religii, chwycił swą szablę jak krzyż. I jeśli kapłani czy duchowni pragnęli zasłużyć na niebo, on pragnął zasłużyć na chwałę, podziw towarzyszy, uznanie przełożonych, szacunek dla samego siebie, który rodzi się z owego pięknego i bezinteresownego poczucia, że żyje ze świadomością, jak wspaniale jest walczyć, cierpieć, a nawet zginąć za ideę. Idea. To właśnie odróżniało człowieka, który wznosił się ponad materializm całej reszty ludzi, od większości żyjącej w niewoli tego, co doczesne i namacalne.

Marzył, by rodzice i Claire Zimmerman mogli go teraz zobaczyć, jak wyprostowany w siodle, na czele swego plutonu eskortuje oddział w drodze na pole bitwy, w której on sam już niebawem weźmie udział. Długie oczekiwanie na walkę wkrótce miało się skończyć. Pragnął, by najbliżsi mogli być świadkami jego spokojnego męstwa na polu walki, nieulekłej miny, z jaką uważnie śledzi drogę, gotów do akcji, gdyby pojawiła się

nieprzyjacielska jazda czy piechota, teraz, kiedy strzegł bezpieczeństwa tych młodych rekrutów powierzonych jemu i jego podkomendnym.

Z pobliskiego sosnowego lasku padło kilka strzałów i jeden z huzarów z plutonu wydał z siebie głuchy jęk, i spadł z siodła. Frédéric poderwał się i ostro ściągnął wodze Noirota, który gwałtownie skoczył i uniósł przednie kopyta, o mały włos nie zrzucając jeźdźca. Frédéric, oszołomiony, dostrzegł poruszenie w szeregach piechoty maszerującej po jego prawej stronie, podczas gdy wszyscy równocześnie zaczęli krzyczeć.

– Partyzanci! Partyzanci!

Zabrzmiały kolejne wystrzały, tym razem pochodzące z kolumny, i wtedy dopiero Frédéric spojrzął na las, gdzie rozplątywał się już dym nieprzyjacielskich wystrzałów.

W głowie zrobiło mu się całkiem pusto. Wokół niego huzarzy z plutonu robili konne wolty, żeby stać się trudniejszym celem dla wrogich strzelców, i wszyscy patrzyli na niego, jakby od niego zależało rozwiązanie tego problemu. Starając się ustalić, czego się po nim spodziewają, zdeorientowany spojrzął na jadącego daleko w tyle Dąbrowskiego i zobaczył, że ten daje mu energiczne znaki, wskazując na las.

Czyli o to chodzi. Krew nagle napłynęła mu do twarzy, poczuł, jak gwałtownie pulsuje mu w skroniach. Skierował Noirota w stronę sosnowego lasku, spinając go ostrogami i nie zatrzymując się, by sprawdzić, czy jadą za nim huzarzy z jego plutonu. Podczas gdy malała odległość dzieląca go od drzew, przełożył wodze do lewej ręki, wyciągnął szablę z pochwy i machał nią nad głową, wydając wojenny okrzyk na całe gardło. Jego mózg był czerwoną płachtą odpędzającą jakiegokolwiek myśli. Instynktownie skurczył ciało, pochylając się nad końskim karkiem, jakby w każdej chwili spodziewał się trafienia ołowiem, które zrzuci go na ziemię z rozdartą pierśią. Może tak byłoby lepiej. W jakimś odległym zakątku jego

mózgu, gdzie zachowała się szczypta świadomości, kłuło go poczucie wstydu, że dał się zaskoczyć. Poczłł niezwykłą wściekłość wobec tego, co uznał za dyshonor, i zapragnął z całej duszy napotkać na swej drodze jakiegokolwiek człowieka, któremu mógłby rozwalić głowę aż po szczęki.

Już niemal był przy sosnach. Noiroł skoczył, żeby ominąć leżący pień, a gałąź z zielonymi igłami uderzyła jeźdźca w twarz. Z sercem wściekle bijącym, niemal dławiony furją, dostrzegł cienie umykające pomiędzy drzewami. Znów wbił ostrogi w boki Noirota i rzucił się w pościg, wydając kolejny bojowy ryk. Zaraz doścignął jednego z uciekających, udało mu się dostrzec burą kurtkę, strzelbę w dłoniach i przerażoną twarz, która się odwróciła, z oczami ściętymi strachem, patrzącymi na śmierć, która rzucała się na niego z grzbietu spienionego konia, z ręki uniesionej do ciosu, z ostrza szabli spadającej niczym piorun w śmiertelnym błysku.

Frédéric uderzył, nie zatrzymując się nawet. Poczłł, że szabla trafiła na coś twardego i zarazem giętkiego, a ciało partyzanta uderzyło najpierw w jego prawą nogę, a potem w zad konia. Zobaczył, jak inny człowiek biegnie nieco dalej, pomiędzy drzewami. Kiedy spinał Noirota ostrogami, drugi zbieg znikł mu z oczu, rzucając się głową w dół ze zbocza wzgórza. Frédéric unikał gałęzi, które przemykały mu obok głowy, i zmusił konia do ześliznięcia się na zgiętych tylnych nogach ze wzgórza, w pościgu za uciekającym człowiekiem. Kiedy był już na dole, rozejrzał się wokół, lecz nikogo nie dostrzegł.

Ściągnął wodze, starając się równocześnie sprawdzić, w którą stronę uciekł partyzant, i właśnie w tej chwili jakiś człowiek wyszedł spośród krzaków i strzelił doń z pistoletu, z bardzo bliska. Frédéric, który instynktownie spiął konia, widząc broń, poczłł, że pocisk minął jego głowę zaledwie o kilka cali, i dym wystrzału osnuł go na dobrą chwilę. Po omacku uniósł szablę i skierował Noirota na napastnika, który cofnął się jednym

skokiem i zaczął uciekać. Nie oddalił się nawet na trzy kroki, kiedy inny huzar na koniu wyłonił się spośród sosen, dojechał do partyzanta i jednym czystym ciosem odciął mu głowę. Okaleczone ciało, tryskające strumieniem krwi, zrobiło jeszcze kilka kroków, wreszcie wpadło na pień drzewa, z rękami wyciągniętymi do przodu, jakby starało się uchronić przed uderzeniem. Potem, w zupełnie nierealnej scenie wypełniającej się czerwienią, Frédéric zobaczył, jak pozbawione głowy ciało pada na plecy, na ziemię usłaną suchymi igłami sosny.

Huzar, młodzieniec z czarnymi warkoczykami i długimi wąsami, oczyścił ostrze szabli o zad swojego konia. Frédéric poszukał wzrokiem głowy partyzanta, lecz jej nie znalazł. Musiała spaść w zarośla.

Frédéric czuł się wykończony, jakby szwadron kirasjerów przejechał po nim galopem. Huzarzy nawoływali się wzajemnie wśród drzew i zbierali się, żywo komentując szczegóły potyczki. Czterech nieprzyjaciół zostało odnalezionych i zabitych – od huzarów nikt nie mógł spodziewać się litości, a już na pewno nie partyzanci. Hiszpanie wiedzieli o tym i nawet nie próbowali się poddawać, zostali zabici podczas ucieczki lub w walce. Jeden z Francuzów, huzar o długich bokobrodach, który kilka godzin wcześniej towarzyszył Frédéricowi podczas rozpoznania w wiosce, jechał powoli pomiędzy dwoma towarzyszami, którzy podtrzymywali go w siodle. Trzymał się końskiej grzywy, skulony z bólu, miał twarz ściągniętą cierpieniem i śmiertelnie bladą. Dostał cios nożem w brzuch.

Frédéric, wydostawszy się z lasu, był jeszcze oszołomiony i kiedy jeden z huzarów pogratulował mu ciosu, który zadał pierwszemu Hiszpanowi: „Panie poruczniku, wspaniały sztych... Przeciął go pan na pół”, spojrzał na mówiącego, nie rozumiejąc, o co mu chodzi. Myślał jedynie, co odpowiedzieć Dąbrowskiemu, kiedy ten zapyta go, ze swoim lodowato

zimnym spojrzeniem, dlaczego pozwolił się tak głupio zaskoczyć, kiedy jego zadaniem było czuwanie nad bezpieczeństwem kolumny. To, że atakujących złapano i zabito, nie zmieniało faktu, iż była to zasadzka.

Chwilę potem, gdy dołączyli do reszty kolumny, zobaczył, jak żołnierze piechoty otaczają go i wiwatują, i zdał sobie sprawę, że cały czas trzyma w dłoni nagą szablę, która, podobnie jak jego prawy but i zad Noirota, splamiona jest krwią partyzanta. Podjechał do Dąbrowskiego, żeby przekazać mu sprawozdanie, a ten, zamiast wyrzutów, skierował do niego przelotny uśmiech. Frédéric zaniemówił – Dąbrowski uśmiechnął się do niego! Dopiero w tym momencie zdał sobie sprawę, że zabił pierwszego wroga w swojej pierwszej walce. I wtedy poczerwieniał z dumy.

Właściwie nawet nie byli groźni. Różańce i szkaplerze, tysiące świętych wypełniające kościoły tego kraju, ślepy fanatyzm i nienawiść do cudzoziemskich heretyków zmieniały się w kałuże krwi pod dobrze naostrzoną klingą szabli. Groźni partyzanci, jak ci, którzy wypatroszyli Juniaca i przez których żaden Francuz nie waży się wejść samodzielnie na obcy teren, zmieniają się w szybkie obrazy twarzy skurczonej grozą, głowy odskakującej od tułowia, potu i strachu, urywanego oddechu w ostatnim biegu, w którym nie uda się umknąć śmierci depczącej już po piętach.

Dlaczego tak uparcie walczą? Przecież walka tych Hiszpanów jest beznadziejna, absurdalna. Frédéric nie mógł pojąć, dlaczego powstali z bronią w ręku, żeby bronić jakiegoś księcia, o którym nic nie wiedzieli, nie znali nawet twarzy tego tchórza bez woli ani krztyny odwagi, przymusowego cesarskiego gościa, który okazał się na tyle nikczemny, by zrezygnować ze swych praw dziedzicznych, a jego służalczość wobec pana Europy sprawiała, że był niegodny lojalności ludu, który nie był już jego ludem. Bo w Hiszpanii panuje francuski król Józef, wcześniej król Neapolu

Bonaparte, do którego sam książę Ferdynand ze swego wygnania w Valençay napisał list gratulacyjny, a w nim padał do stóp i przysięgał wierność. Wszyscy o tym wiedzieli, nawet sami Hiszpanie. Ci jednak z uporem starali się ten fakt ignorować.

Frédéric pamiętał rozmowę sprzed kilku tygodni, kiedy jako oficer mający wstąpić do swego regimentu przejeżdżał przez Aranjuez i dostał przydział zakwaterowania w rezydencji pewnego hiszpańskiego szlachcica, don Álvaro de Vigal. Spędził wspólnie z biednym Juniakiem całe popołudnie i noc, w staroświeckim dworze, którego ogród wychodził na Tag. Pan de Vigal był starcem, należącym do tak zwanych w Hiszpanii „sfrancuziałych” i przez większość rodaków nie lubianych, bo na głos wyrażali poglądy liberalne i nie kryli swego podziwu dla procesu odnowy, jakiemu myśl francuskich intelektualistów dała początek w Europie. Stary szlachcic hiszpański, który w swej młodości często odwiedzał Francję – wspominał z dumą, że przez jakiś czas wymieniał korespondencję z Diderotem – posiadał nadzwyczajną wiedzę, był inteligentnym i uroczym rozmówcą, jego siwe włosy i zmęczone zbyt długim życiem oczy dały mu głęboką znajomość natury ludzkiej. Nie miał dzieci, był wdowcem, a jego jedyne marzenie polegało na tym, by spędzić ostatnie lata życia w spokoju pośród tysiąca woluminów swojej biblioteki i kamiennych fontann między drzewami dającymi ochłodę w ogrodzie, nad którego pielęgnacją czuwał osobiście.

Don Álvaro de Vigal przyjął dwóch huzarów z zainteresowaniem bez wątpienia dlatego, że obecność młodych oficerów, przybywających z obcego kraju, który kochał, przerywała monotonię jego samotności. Rozmowa toczyła się po francusku, w języku, którym gospodarz władał ze swobodą. Zjedli kolację przy świetle srebrnych kandelabrow, a następnie

udali się do niewielkiej palarni, gdzie zgrzybiały sługa – jedyny służący w całym domu – podał im koniak i cygara.

Juniac, jak zawsze melancholijny – Frédéric myślał potem, że być może przeczuwał swą przedwczesną, tragiczną śmierć – zachował milczenie przez cały wieczór. Ciężar konwersacji spadł więc na Frédérica i Hiszpana, zwłaszcza na tego ostatniego, który wydawał się odczuwać szczególną przyjemność, rozpamiętując dawne czasy. Znał Strasburg i wymieniał z młodym Alzacyjnykiem niezliczone wspólne wrażenia.

Jako że goście byli wojskowymi i znajdowali się w Hiszpanii, rozmowa w sposób nieunikniony zeszła na tematy wojenne. Don Álvaro interesował się zamiarem Napoleona, by osobiście kierować kampanią, i wyraził swój podziw dla geniuszu wojskowego i politycznego Cesarza. Choć sam należał do starej szlachty, bez skrępowania przyznał, że europejskie rody królewskie, łącznie z hiszpańskim, znalazły się w stanie takiej dekadencji, iż jedynie nowe idee, na których czele stała Francja, mogą przywrócić żywotność spróchniałemu drzewu narodów. Szkoda jednak, że Napoleon nie pojął tego, że Hiszpanii nie można mierzyć tą samą miarą co reszty krajów europejskich.

W tym miejscu Frédéric przerwał starszemu, by zmanifestować swój sprzeciw. Mówił o nowej Europie bez granic, o rozprzestrzenianiu się jednej kultury zmierzającej ku postępowi, o nowych ideach, o Człowieku, któremu należy przywrócić godność. Hiszpania to kraj, dodał, który jest niewolnikiem swej przeszłości, zamknięty w sobie, ciemny i przesądny. Tylko nowe idee, wcielenie do nowoczesnego europejskiego systemu politycznego mogą wydobyć ją z oków, w których znalazła się przez inkwizycję, księży i nieudolnych władców.

Don Álvaro wysłuchał długiej i entuzjastycznej przemowy młodego Frédérica z uwagą, cieniem uśmiechu na ustach i błyskiem mądrej ironii w

zmęczonych oczach. Kiedy huzar zakończył swą elokwentną tyradę – wspomagany przez milczącego Juniaca popierającym kiwaniem głową – i rozparł się na sofie z policzkami zaróżowionymi od żaru argumentów, starzec pochylił się do niego i poklepał serdecznie po kolanie.

– Proszę posłuchać, drogi młodzieńcze – mówił z łagodną intonacją, a jego znakomity francuski płynął pośród raf dźwięku „r”. – Nie podaję w wątpliwość tego, iż jedyną wielką postacią naszych czasów, która może zmienić Europę, jest Napoleon Bonaparte, choć muszę przyznać, że w ostatnich czasach budzi on we mnie pewną rezerwę. Z całego serca sprzyjałem mu, gdy był konsulem, jednak cesarskie gronostaje, w które się na koniec wystroił, nieco mnie niepokoją... No cóż, nie o tym jednak mówimy. Chcę wrócić do jego niewątpliwego geniuszu politycznego, który podziwiam i dlatego boleję nad nikłą zręcznością, z jaką do tej pory prowadzi w Hiszpanii swe sprawy...

– Z nikłą zręcznością?!

– Niech mi pan pozwoli dokończyć, porywczy młodzieńcze. Tak, powiedziałem z nikłą zręcznością, którą przypisuję, zrozumiałej zresztą, nieznajomości realiów tego kraju. Hiszpanie to bardzo dawny naród, dumny i wierny swym mitom, czy są one uzasadnione, czy nie. Bonaparte jest przyzwyczajony, że wszystkie ludy padają przed nim na kolana, i nie może zrozumieć, a to błąd w ocenie, że na południe od Pirenejów żyje plemię zdecydowane nie poddać się jego woli. I nie dlatego, że motywy działania Bonapartego są dobre czy złe, po prostu dlatego, że stara się narzucić swą wolę, nie licząc się wcale ze zdaniem tych, którzy mają ją przyjąć... Hiszpania nie jest całością homogeniczną, moi panowie. Od wieków znajdują się tu obok siebie królestwa, niegdyś niepodległe, które do dziś żarliwie strzegą przywilejów i dawnych praw, zamieszkane przez społeczności zahartowane zarówno przez historię, jak i przez ziemię, na

której żyją, ludność wojowniczą i surową, niezginającą karku, którą ukształtowało wiele stuleci wojen domowych i osiem wieków walki z islamem. Poza tym ludzie ci, pod wpływem twardej i nieugiętej religii, od najdawniejszych czasów przesiąknęli bezwzględny fanatyzmem.

Don Álvaro de Vigal przerwał na chwilę, jakby brakło mu tchu. Wyschnięte usta ułożył w smutny uśmiech, a gestem dłoni poprzecinanej niebieskimi żyłami, w którym więcej było dobrotliwego pesymizmu niż wyrzutu, wskazał na ściany salonu ozdobione przedmiotami związanymi z historią jego rodziny.

– Wszystko jest tutaj – powiedział z wyrazem zrezygnowanego zmęczenia, jakby odnosił się do czegoś, z czym przez całe życie starał się walczyć, ponosząc tylko kolejne klęski. – Stara broń pokryta rdzą, surowe twarze, których właściciele są prochem od wieków. Widzicie te portrety? Nie znajdziecie na nich wielu barw, a patyna czasu przyciemniła to, co początkowo było światłocieniem... Cienie i niewiele światła, tyle ile potrzeba, aby wydobyć rysy twarde i dumne, wyniosłe twarze, przy których czasem słabo lśni rękojeść szabli, zarys barwy jakiegoś klejnotu, złotego łańcuszka, często delikatnego krzyża, jasna plama kryzy... Na tych surowych twarzach nie znajdziecie uśmiechów, moi młodzi przyjaciele. Nawet ich czarne stroje wtapiają się w otaczającą ciemność, bo są tylko dodatkiem, nie wnoszą nic szczególnego do charakteru ludzi, którzy pozwolili po to, by malarz odmalował swoją paletą bardziej ich duszę niż wygląd zewnętrzny. Wszyscy byli grandami: często sumiennymi katolikami, niekiedy rozpustnikami. Nie zginali karku nawet przed swymi królami, ponizali się jednak przed poświęconą hostią, przed niezdarnymi rękami każdego niedogolonego, nędznego wiejskiego księdza. Niektórzy z nich zginęli, walcząc za Boga i swych królów na europejskich wojnach, w Indiach czy na północy Afryki, ścierając się z protestantami, anglikanami,

muzułmanami... Byli dzielnymi żołnierzami, godnymi szlachcicami i lojalnymi wasalami. I wszyscy, poza tymi, którzy oddali tragicznie życie w odległych miejscach, mieli u wezłowania łoża swego księdza, w chwili gdy przyszło im wyzionąć ducha. Tak jak mój dziadek. Jak mój ojciec... Przez ironię Przeznaczenia, ja, ostatnia latorośl jałowej już gałęzi, będę miał przy sobie jedynie starego, wiernego sługę. A i to tylko wtedy, jeśli mój dobry Lucas nie zrobi mi głupiego żartu i nie umrze przede mną.

Starzec znów przerwał i przyglądał się melancholijnie portretom. Potem odwrócił się do huzarów i słabo się uśmiechnął.

– Jeśli któregoś dnia wasz Cesarz uczyniłby mi honor i, podobnie jak panowie, zamieszkał w moim domu, byłbym zachwycony, mogąc pokazać mu tę galerię moich przodków. Być może wtedy zrozumiałby pewne sprawy dotyczące tej ziemi.

Juniac ze znudzoną miną błędził spojrzeniem po pokoju. Frédéric natomiast pochylił się ku staremu szlachcicowi z zaciekawieniem.

– To dziwne, że słyszę tutaj te słowa – odparł uprzejmie. – Jest pan Hiszpanem, don Álvaro, a jednak wyznaje pan religię Myśli. Przed chwilą był pan tak uprzejmy, że pokazał nam swą bibliotekę... Dlaczego ludzie tacy jak pan nie stają się przewodnikami reszty pańskich rodaków? Jest faktem historycznie udowodnionym, że wykształcona mniejszość, elita, ma dość siły, by pociągnąć za sobą całe narody, otworzyć okna i sprawić, że światło słoneczne, światło Rozumu, odpędza zjawy, które pętają istotę ludzką, i uświadamia wszystkim, że nie istnieją granice, że ludzie powinni się wspólnie, solidarnie rozwijać.

Stary arystokrata spojrział na niego ze smutkiem.

– Posłuchaj, drogi młodzieńcze. Kiedyś, gdy Hiszpania panowała nad światem, miała cesarza, który podobnie jak Bonaparte marzył o zjednoczonej Europie. Urodzony za granicą, we Flandrii, do tego stopnia

czuł się Hiszpanem, że po abdykacji postanowił spędzić ostatnie lata życia w klasztorze w miejscowości Yuste. Człowiek ów, zapewne największy i najpotężniejszy w swych czasach, musiał za granicą zaciekle walczyć z Francją, rywalizującą wówczas z Hiszpanią, i opartymi na luteranizmie załączkami europejskich dążeń niepodległościowych, a w kraju z przywilejami i narodową dumą lokalną samych Hiszpanów. Pierwszą walkę przegrał i jego syn Filip, szary i fanatyczny człowiek w wiecznej żałobie, zasunął rygle w Hiszpanii, unicestwiając ojcowski sen. Księża i inkwizycja, sami panowie wiedzą. Pireneje znów stały się nie tylko granicą geograficzną, ale i zaporą dla idei. W ostatnich czasach, dzięki rozprzestrzenianiu się nowoczesnej myśli, Hiszpania zaczynała już wydstawać się z otchłani, w której tonęła. My, broniący konieczności postępu w rewolucji, która obaliła Burbonów we Francji, dostrzegliśmy sygnał, że czasy wreszcie zaczynają się zmieniać. Rosnąca potęga polityczna Bonapartego w Europie i wpływ, jaki dzięki temu zaczęła zdobywać Francja w swym otoczeniu geograficznym, obudziły wielkie nadzieje... A jednak – i na tym polega problem – nieznamość tej ziemi i brak zręczności w działaniu jego prokonsulów zniweczyły obiecujący początek. Hiszpanie nie są, nie jesteśmy, ludźmi, którzy pozwolą się zbawić siłą. Lubimy zbawiać się samodzielnie, powoli, nie rezygnując ze starych zasad, w jakie – na dobre czy na złe – przyszło nam wierzyć przez całe wieki. Jeśli dzieje się inaczej, wolimy pogрузić się na wieczność. Nigdy w życiu bagnety nie wprowadzą tutaj jednej nowej idei.

Wspomnienie bagnetów wyrwało Juniaca z zamyślenia. Zanim się odezwał, odchrząknął z zadowoloną miną, jak ktoś, kto wreszcie znalazł w rozmowie coś interesującego.

– Ale teraz jest nowy król – powiedział z całkowitym przekonaniem. – Józef Bonaparte został uznany przez dwór w Madrycie. A jeśli wojsko

hiszpańskie wybiera nielojalność, my po to tu jesteśmy, żeby utrzymał się na tronie.

Don Álvaro spojrział na Juniaca, uważnie przyglądając się oszczędnej mimice żołnierza. Potem powoli pokiwał przecząco głową.

– Nie ma się co łudzić. Został uznany przez paru dworzan bez skrupułów i przez kilku naiwnych, którzy widzą w aliansie z Francją drogę do narodowej odnowy. Są oni jednak zbyt daleko od narodu, niezdolni dostrzec nawet tego, co dzieje się pod ich własnym nosem. Rozejrzyjcie się panowie wokół. Cała Hiszpania wrze i w każdej gminie pojawiają się komitety obrony i nawołują do buntu. Wy, panowie, francuskie wojsko, zamknęliście drogę odwrotu. Pozostaje już tylko wojna i, wierzcie mi, to będzie wojna straszliwa.

– Tę wojnę wygramy, proszę pana – wtrącił Juniac z lekceważeniem, które Frédéricowi wydało się niegrzeczne. – Niech pan nie ma najmniejszych wątpliwości.

Don Álvaro uśmiechnął się łagodnie.

– Nie sędzę. Myślę, że jej nie wygracie, panowie, i mówi to wam starzec, który podziwia Francję i nie jest już w wieku, by udowodnić prawdę swych słów na polu bitwy, lecz gdybym jednak musiał dokonać wyboru, odkurzyłbym moją starą i zardzewiałą szpadę, by stanąć do walki ramię w ramię z tymi tępymi i fanatycznymi wieśniakami, by walczyć nawet przeciw tym ideom, których broniłem przez całe długie życie. Czy to tak trudno zrozumieć? No tak, obawiam się, że bardzo trudno, a dowodem jest fakt, że sam Bonaparte, mimo swego geniuszu, nie był w stanie tego pojąć. Drugiego maja w Madrycie wykopaliście rów między obydwoma narodami, rów pełen krwi, w którym utonęły nadzieje wielu ludzi takich jak ja. Słyszałem, że gdy Bonaparte dostał od Murata raport z tego, co działo się owego straszliwego dnia, powiedział: „Ba, uspokoją się jeszcze...”. I to

był błąd, moi drodzy przyjaciele. Nie, nie uspokoją się nigdy. Wy, Francuzi, napisaliście dla Hiszpanii znakomitą konstytucję, która jeszcze do niedawna mogła być doskonałym ucieleśnieniem dawnych aspiracji wielu osób takich jak ja. Ale również złupiliście Kordobę, gwałciliście kobiety, rozstrzelowaliście księży... Ranicie swymi czynami i obecnością dokładnie to, co najżywsze w tym narodzie – głupim i upartym, lecz równocześnie serdecznym. Teraz zostaje tylko wojna i wojnę tę prowadzi się w imię skończonego głupca o imieniu Ferdynand, który z tej czy innej przyczyny stał się symbolem oporu. To wielka tragedia.

– Lecz pan jest człowiekiem inteligentnym, don Álvaro – obstawał Frédéric. – I takich jak pan jest wielu w Hiszpanii. Czy tak trudno jest uświadomić rzeczywistość pana rodakom?

Pan de Vigal pokręcił siwą głową.

– Dla mojego narodu rzeczywistością jest to, co widać gołym okiem. Nędza, głód, niesprawiedliwości, religia pozostawiają niewiele miejsca dla idei. I gołym okiem widać obce wojsko, które przechadza się po ziemi, gdzie są kościoły, groby przodków i również groby tysięcy wrogów. Jeśli ktoś próbowałby wytłumaczyć Hiszpanom, że istnieje coś poza tym, zaraz stałby się zdrajcą.

– Lecz pan, don Álvaro jest patriotą. Nikt nie może temu zaprzeczyć.

Hiszpan spojrział uważnie na Frédérica, a potem wygiął wargi w grymasie pełnym goryczy.

– A jednak są tacy, którzy temu przeczą. Jestem „sfrancuziały”, wiecie panowie? To jest najgorsza obelga, jaką się tu teraz szermuje. Mogą pewnego dnia przyjść i wyciągnąć mnie siłą z domu, jak się to stało z kilkoma spośród mych starych, dobrych przyjaciół.

Frédéric był szczerze oburzony.

– Nigdy się na to nie odważą – zaprotestował.

– Jest pan w błędzie, drogi przyjacielu. Nienawiść to ważny motyw działania, a w tym kraju może i jest wiele spraw zagmatwanych, lecz dwie są jasne jak słońce: my, Hiszpanie, umiemy umierać i umiemy nienawidzić jak nikt na świecie. Zapewniam pana, że nadejdzie taki dzień, gdy moi rodacy przyjdą po mnie. Najdziwniejsze jednak, że kiedy analizuję całą sprawę dogłębnie, nie potrafię ich za to winić.

– To straszne – stwierdził Frédéric z oburzeniem. Don Álvaro spojrział na niego szczerze zaskoczony.

– Straszne? Dlaczego miałyby to być straszne? Myli się pan, młodzieńcze. To wcale nie tak. Po prostu taka jest Hiszpania. Żeby to zrozumieć, trzeba się tu urodzić.

Ósmy Pułk Piechoty Lekkiej znajdował się już w odległości niecałej pół mili od wioski będącej jego celem. Frédéric jechał stępą obok czoła niebieskiej kolumny, uważny na wszelki znak obecności wroga. Uspokoił się już po potyczce w lesie. Od czasu do czasu spoglądał na swój prawy but, ubrudzony zaschniętą krwią partyzanta, którego zabił. Nie było w tej burej plamie niczego, co wiązałoby ją z don Álvaro de Vigalem; wrażenie było bliższe odczuciom, jakich człowiek doznaje, zabijając niebezpieczne zwierzę.

Posuwali się środkiem pola, rekrutom brakowało tchu od forsownego marszu. Wioska, coraz bliższa, wyglądała nieprzyjaźnie i szaro, z kilkoma białymi plamami domów. Spośród pobliskich głązów i skał padło kilka odległych strzałów i gwizdzące nisko pociski zanurzyły się w mokrej ziemi. Michel de Bourmont wyprzedził Frédérica, galopując na czele swego plutonu, by rozwinąć szyk strzelecki na czele kolumny. Młody oficer zobaczył, że jego przyjaciel oddala się, a piechota przyspiesza kroku. Oficerowie Ósmego Pułku, z szablami w dłoniach, poganiali swoich ludzi,

aż udało się ich nakłonić do szybkiego truchtu, z przygotowanymi strzelbami i z twarzami zarumienionymi od wysiłku.

Ostatni promień zabłysł na horyzoncie, po czym słońce znikło za coraz grubszą warstwą chmur. Spośród skał od strony wioski dobiegły nowe wystrzały. Nieco z tyłu po lewej, na granicy lasu widać było kilku jeźdźców z czwartego szwadronu, którzy zajmowali pozycje do pościgu, kiedy przeciwnik zostanie już usunięty z wioski.

Jeden z dwóch batalionów Ósmego Pułku zatrzymał się, ludzie odpoczywali oparci o broń, podczas gdy drugi nadal posuwał się do przodu. Ogień hiszpańskich fizylierów stał się bardziej intensywny i kilku piechurów upadło na ziemię pomiędzy szeregami. De Bourmont ze swymi huzarami zwinęli szyk przy lewej flance, podczas gdy strzelcy piesi rozstawiali się na pierwszej linii, ostrzeliwując stale pozycje wroga.

Frédéric obserwował manewry kompanii, nie tracąc z pola widzenia skał i wioski. Rekruci biegiem zajmowali swoje pozycje, a oficerowie bez przerwy wykrzykiwali rozkazy, w ciągłym ruchu pomiędzy oddziałami. Nieprzyjaciel był niemal na wyciągnięcie ręki; piechota zatrzymała się, jakby wyrysowana na linii horyzontu, na polu, którego od miesięcy nikt nie uprawiał, z kolbami strzelb opartymi na ziemi. Frédéric pociągnął wodze Noirota i zawrócił, cofając się wraz ze swym plutonem. Przejechał o dziesięć, dwanaście łokci od kompanii strzelców, której kapitan, grzebiący czubkiem szabli w ziemi między butami, odpowiedział z roztargnieniem na życzenia powodzenia, jakie przesłali mu huzarzy. Żołnierze patrzyli przed siebie zamyśleni i z powagą, błyszczące bagnety dotykały daszków przy czapkach. Zabrzmiała trąbka, a potem rozległy się werble. Oficer z szablą jakby się obudził, zwrócił do swoich ludzi i wykrzyknął rozkaz. Żołnierze zwilżyli językiem wargi, odetchnęli głęboko, podnieśli strzelby i ruszyli do przodu.

Frédéric zatrzymał się chwilę i stojąc w strzemionach, spojrzął za siebie. Batalion posuwał się niezmiennie w stronę wioski, z której padła gęsta salwa. Niebieskie szeregi zafalowały chwilę, znów się zwały i dalej pokonywały odległość dzielącą je od wioski; potem stanęły i z kolei one oddały salwę. Pomiedzy nimi i celem zaczęła tworzyć się chmura prochu. Kiedy werble zmieniły rytm i piechota znów zaczęła się posuwać, teren za ich plecami usiany był plamami niebieskich mundurów rozciągniętych na ziemi. Potem dym zasłonił scenę, łoskot strzelaniny rozprzestrzenił się we wszystkich kierunkach, a od ciemnej chmury dobiegł krzyk ludzi rzucających się do ataku.

V. BITWA

Szwadron zebrał się w wąwozie biegnącym między wzgórzami poznaczonymi drzewkami oliwnymi, na wprost szczytu, gdzie stało dowództwo pułku. Na horyzoncie, pod ciężkimi chmurami nadal grzmiały wybuchy armatnie, a łoskot strzelaniny pochodzący z właśnie zaatakowanej wioski dobiegał głośno i wyraźnie.

Ludzie i konie odpoczywali. Frédéric zdjął czako i powiesił je na łąku siodła, zaczepione o pasek. Sprawdził podkowy Noirota i z manierki wypił kilka krótkich łyków. Był odprężony, w znakomitej formie fizycznej. Przeprowadził konia do wielkiego, płaskiego głazu, usiadł na nim i rozprostował nogi. Nieopodal grupa huzarów rozprawiała o szczegółach bitwy. Przez chwilę słuchał ich komentarzy, będących jak zwykle spekulacjami na temat planów dowództwa i pomyślnego bądź niepomyślnego, według ich ograniczonej wiedzy, przebiegu wydarzeń. Znudzony przestał ich słuchać, położył się na głazie i zamknął powieki.

Obraz Claire Zimmerman pojawił się przelotnie przed jego oczami, obok wspomnień dnia, który właśnie przeżywał, i nie bez wysiłku udało mu się ów obraz zatrzymać. Dźwięki muzyki z oddali znów zabrzmiały mu w uszach. Przed nim pochylała się delikatna twarz młodej dziewczyny, która wielkimi niebieskimi oczami patrzyła na niego z nieśmiałym podziwem. Świece w wielkim kandelabrze nadawały złoty ton dwóm jasnym lokom spływającym wzdłuż skroni dziewczyny. Frédéric z przyjemnością przyglądał się smukłej białej szyi, gładkiej skórze – której wzruszającą naturalność łamała wstążka z niebieskiego aksamitu – świeżej i nieodparcie atrakcyjnej, chroniącej się w dekolcie niebieskiej sukni.

Rozwinięty z wdziękiem wachlarz skrył dziewczęcy rumieniec, kiedy ich spojrzenia spotkały się po raz pierwszy, lecz błękitne oczy wytrzymały w tym niewinnym pojedynku kilka sekund dłużej, niż przewidują zwyczajowe normy. Wystarczyło to, by obudzić w młodym huzarze uczucie nieopisanej czułości. Chwilę później znów na nią patrzył podczas banalnej rozmowy z grupką gości, i kiedy stwierdził, że spojrzenie dziewczyny pobiegło na spotkanie jego oczu, umykając zbyt pochopnie, nie był już w stanie śledzić wątku rozmowy, potakiwał jedynie z roztargnioną miną, kiedy ktoś robił przerwę, oczekując jego aprobaty. Wkrótce potem Frédéric wykorzystał chwilę, gdy stał przed wielkim lustrem odbijającym za jego plecami światła salonu, orkiestrę i zaproszonych gości, aby ukradkiem poprawić dołman i sprawdzić, czy szkarłatna pelisa ze złotym szamerunkiem zwisała należycie po wojskowemu, elegancko na lewym ramieniu. Wtedy podszedł do pani domu, do pani Zimmerman, i z roztropną poprawnością poprosił o zaszczyt bycia przedstawionym jej córce.

Odległość od miejsca, gdzie Claire Zimmerman stała w towarzystwie swych dwóch kuzynek, pod wielkim oknem z witrażem, wydała się młodemu podporucznikowi nie do przebycia. Gdy dziewczyna zobaczyła, że huzar zbliża się w towarzystwie matki, natychmiast zwróciła spojrzenie ku ogrodowi, jakby coś na dworze przyciągnęło jej uwagę. Dwaj przyjaciele domu, młodzi strasburczycy, którzy zalecali się do trzech kuzynek, odeszli kilka kroków ze zmarszczonymi brwiami, spoglądając spode łba na wspaniały mundur przystojnego rywala, dający mu natychmiast przytłaczającą przewagę.

– Claire, Anę, Magdo... Mam przyjemność przedstawić wam podporucznika Frédérica Glüntza, syna pana Waltera Glüntza, dobrego przyjaciela pana Zimmermana. Frédéricu, to moja córka Claire i moje bratanice Anne i Magda...

Frédéric pochylił się nabożnie, stukając równocześnie obcasami swych wyglansowanych wysokich butów. Spojrzał na Annę i Magdę jedynie chwilę dłużej, niż nakazywały obowiązujące przy prezentacji wymogi grzeczności. Błękitne oczy znów spoglądały na niego, a on, widząc ich słodycz, urodę i bliskość, poczuł dziwne oszołomienie.

Po krótkiej wymianie kilku grzecznościowych zdań pani Zimmerman odeszła, wezwana do swych obowiązków gospodyni. Dwaj młodzi cywile stali w pewnej odległości, a kuzynki – Frédéric zapamiętał jedynie ich głupawy śmiech i cerę pokancerowaną trądzikiem – dosłownie osaczyły go mnóstwem pytań dotyczących wojska, kawalerii, Napoleona i wojny. Gdy Frédéric potwierdził swój zamiar wstąpienia do oddziałów walczących w Hiszpanii, kuzynki zaklaskały z emocji. Jednak młody huzar w owej chwili z całą uwagą i absolutną koncentracją wpatrywał się w pełen niepokoju i smutku uśmiech, jaki pojawił się na ustach Claire Zimmerman.

– Hiszpania jest bardzo daleko – powiedziała, a Frédéric natychmiast pokochał ją za te słowa.

– Czy oficer kawalerii nie obawia się śmierci? – spytała z niezdrową ciekawością kuzynka Magda.

– Nie – odrzekł Frédéric, nie odrywając wzroku od Claire. – Jednak wspomnienie pewnych chwil i świadomość, że nie będzie dane przeżyć ich ponownie, mogą sprawić, że śmierć będzie niezwykle bolesna.

I tym razem wachlarz uniósł się, aby zakryć rumieniec, nie mógł jednak zasłonić pełnej wzruszenia wilgotności, jaka pojawiła się w niebieskich oczach.

– Czy możemy liczyć na kolejne odwiedziny, kiedy wróci pan z Hiszpanii? – zapytała Claire, odzyskując równowagę.

Kuzynka Anna poparła ten pomysł z entuzjazmem.

– Musi nam pan obiecać, że znów pan do nas zawita, podporuczniku Glüntz! Jesteśmy pewne, że opowie nam pan wtedy mnóstwo ciekawych rzeczy, prawda? Proszę nam obiecać!

Dłonie Claire, z widocznymi delikatnymi żyłkami pod gładką, białą skórą, niespokojnie bawiły się wachlarzem. Frédéric pochylił się lekko.

– Wróć do pań – obiecał w spontanicznym uniesieniu – choćbym miał torować sobie drogę szablą od samych wrót piekieł.

Obie kuzynki aż jęknęły, zaskoczone żarliwym porywem młodego huzara. Wpatrzony w niebieskie oczy Frédéric znów dostrzegł pojawiającą się w nich wilgoć i odgadł, że Claire Zimmerman nie ma wątpliwości co do motywu jego obietnicy.

Przybycie Michela de Bourmont rozwiało wspomnienia. Frédéric zamrugał i znów zobaczył szare niebo, usłyszał łoskot wystrzałów i grzmienie dział. To jest Hiszpania, a chwila powrotu do Strasburga wydaje się bardzo odległa.

– Spaleś? – spytał go de Bourmont, siadając obok na głazie. Buty i spodnie miał poplamione błotem.

Frédéric zaprzeczył ruchem głowy.

– Próbowałem wspominać – powiedział z wyrazem twarzy, który miał ujmować znaczenia tym wspomnieniom. – Dziś jednak trudno jest się skupić na czymkolwiek innym. Obrazy pojawiają się i znikają, trudno je zatrzymać. To pewnie naturalne podniecenie przed bitwą.

– Czy były to miłe wspomnienia? – spytał de Bourmont.

– Bardzo miłe – westchnął Frédéric.

De Bourmont wskazał na wzgórze, skąd dobiegały odgłosy walki.

– Lepsze niż to?

Frédéric roześmiał się.

– Nie ma niczego lepszego niż to.

– Też tak myślę. I przynoszę dobre wieści, bracie: jeśli nic się nie zmieni, już wkrótce wejdziemy do akcji.

– Słyszałeś coś?

De Bourmont pogładził czubki wąsów.

– Mówią, że Ósmy Piechoty Lekkiej wreszcie na bagnietach zdobył wioskę, choć trzykrotnie był zmuszany do odwrotu. Teraz my jesteśmy w środku, a wróg na zewnątrz, jednak Ósmy będzie miał problemy, żeby się utrzymać. Hiszpanie zwierają szyki po drugiej stronie i mają z sobą trochę artylerii. Dąbrowski mówił przed chwilą, że prawdopodobnie zaraz wkroczymy, żeby osłabić ich formacje. Najwyraźniej generałowi Darnandowi spieszy się, żeby rozwiązać sytuację na naszej flance.

– Pójdziemy do ataku?

– Wydaje się, że tak, jesteśmy najbliżej. Dąbrowski stwierdził, że nasz szwadron jest w dobrej pozycji do ruchu.

Frédéric podniósł się, by spojrzeć na Noirota, i jego wzrok natknął się znów na skorupę burej krwi plamiącą mu prawy but. Obcej krwi. Ze wstrętem próbował ją zdrapać paznokciami.

– Makabryczne trofeum – skomentował de Bourmont, widząc gest przyjaciela. – Ale jest to również trofeum twojej odwagi, byłeś dzielny podczas potyczki. Wiesz co? Kiedy zobaczyłem, jak kłujesz konia ostrogami i rzucasz się galopem, z szablą w dłoni, zaciekły niczym szarżujący byk, pomyślałem, że może ostatni raz widzę cię żywego; poczułem jednak dumę, że jestem twym towarzyszem... Jak tam było? Jeszcze nie mieliśmy czasu, żeby o tym porozmawiać.

Frédéric wzruszył ramionami.

– Nie zdarzyło się nic takiego, z czego mógłbym być specjalnie dumny – powiedział szczerze. – Prawda jest taka, że nie wszystko pamiętam dokładnie. Słyszałem strzały, jeden z moich huzarów spadł na ziemię, przez chwilę nie wiedziałem, co robić, i nagle wpadłem w furję. Poczułem taką nienawiść jak nigdy dotąd w całym życiu. Od tego momentu pamiętam tylko jazdę na koniu, uderzenia sosnowych gałęzi, tego przekłętego nędznika, który uciekał jak zwierzę, odwracał się i patrzył na mnie z przerażeniem... Pamiętam też, jakby przez czerwoną zasłonę, która spowiła wszystkie moje myśli, że ciąłem szablą, że ktoś chciał do mnie strzelić... Było tam też ciało bez głowy, które nadal biegło, aż wpadło na drzewo i zatrzymało się.

De Bourmont słuchał uważnie, kiwając głową od czasu do czasu.

– Tak, tak zazwyczaj bywa – odezwał się w końcu. – Podobnie musi być podczas ataku, z tą tylko różnicą, że jest to zbiorowe szaleństwo. Tak przynajmniej mówią weterani.

– Wkrótce się dowiemy, jak to jest.

– Tak, dowiemy się.

Frédéric oparł dłoń na rękojeści szabli.

– Wiesz, Michel, odkryłem, że wojna to odrobina akcji i wiele, zbyt wiele czekania. Człowiekowi każą wstać o świcie, prowadzą go z miejsca na miejsce, trzymają obok pola bitwy, a on nie wie nawet, czy jego strona wygrywa, czy przegrywa... Spotykają cię drobne potyczki, nuda, zmęczenie. Nikt jednak nie może zagwarantować, że kiedy to wszystko się skończy, twój udział w ostatecznym wyniku okaże się znaczący. Bardzo wielu żołnierzy biorących udział w bitwie nawet nie oddaje jednego strzału, jednego cięcia szablą. To niesprawiedliwe, prawda?

– Nie sądzę. Są żołnierze i są dowódcy. A ci dowódcy mają swoich dowódców. I tylko ci na samej górze wiedzą.

– Myślisz, że naprawdę wiedzą, Michel? Znane są przypadki, kiedy niekompetentny pułkownik czy generał popełniali błędy i doprowadzali do klęski jednostki, którymi dowodzili... Powiedzmy szczerze, jednostki często wyśmienite. Czy to też nie jest niesprawiedliwe?

De Bourmont spojrział na przyjaciela z zaciekawieniem.

– Możliwe. Ale tak to już jest na wojnie.

– Tak, wiem. A jednak oddziały składają się z ludzi, takich jak ty czy ja, z istot ludzkich. Odpowiedzialność za decyzje tych, od których zależy życie stu, dwustu czy dziesięciu tysięcy ludzi, jest ogromna. Ja nie byłbym tak spokojny ani tak pewny siebie, jakimi wydają się Letac, Darnand i reszta.

– Oni wiedzą, co robią – de Bourmont sprawiał wrażenie zaniepokojonego obrotem, jaki zaczynała przybierać ich rozmowa. – I tobie, i mnie daleko jeszcze do podobnej odpowiedzialności. Nie wiem, dlaczego mielibyśmy się teraz tym przejmować.

– Jasne. Tylko tak się zastanawiam. Zapomnij, co mówiłem.

De Bourmont przyglądał się uważnie Frédéricowi.

– Takie tematy nigdy wcześniej nie spędzały ci snu z powiek.

– Teraz też nie! – zaprotestował, być może zbyt skwapliwie. – Tyle tylko, że kiedy człowiek myśli o bitwie, której nigdy wcześniej nie widział, ma w głowie pewne wyobrażenia i naraz, w zderzeniu z rzeczywistością, okazują się one błędne, a przynajmniej niedokładne... Myślę, że to właśnie się ze mną dzieje. Zapewniam cię, że dobrze się czuję. Jestem podniecony tą sytuacją, bliskim tumultem walki, perspektywą wspólnej bitwy u boku towarzyszy, razem z tobą. Tym, że chwała jest na wyciągnięcie ręki, że biję się za honor Francji i naszego pułku. Za mój własny honor... Lecz dziś, po tylu ruchach tam i z powrotem, których powodu nie znamy lub zaledwie się domyślamy, wreszcie zrozumiałem, że na wojnie jesteśmy tylko

pozbawionymi inicjatywy pionkami, których się używa lub z których się rezygnuje, zgodnie z potrzebą chwili. Wiesz, co mam na myśli?

– Doskonale. Lecz gdy galopowałeś w kierunku lasu, w pościgu za partyzantami, cała inicjatywa należała do ciebie, Frédéricu.

– Właśnie. I to mi się podoba. Kiedy wreszcie przystępujemy do akcji, inicjatywa wreszcie należy do każdego z nas. Lecz do rozpaczy doprowadza mnie oczekiwanie, to, co przed, i to, co pomiędzy. Nie lubię tego, Michel.

– Nie tylko ty, inni też.

Rozległy się odgłosy niedalekich wystrzałów armatnich po drugiej stronie wzgórza, konie zastrzygły uszami, z niepokojem potrząsając łbami. Kilku doświadczonych huzarów spojrzało po sobie porozumiewawczo, wiedząc, na co się zanoszą, i krytycznie obserwowano wzgórza, zza których dobiegał łoskot pobliskiej bitwy. Porucznicy Philippo i Gérard podjechali na swych wierzchowcach, z luźnymi wodzami.

– Zaczyna się robić gorąco, drodzy przyjaciele – wesoło zakrzyknął Philippo, głaszcząc grzywę swojego konia. – Niech mnie powiesz, jeśli za chwilę nie wyruszymy wprost na Hiszpanów! Jak się mają szable panów?

– Dziękuję, dobrze – odparł de Bourmont. – Myślę, że najlepiej określają je słowa: spragnione krwi.

– Tak mówi huzar! – zakrzyknął Philippo, któremu bliskość walki najwyraźniej nie odbierała ani krztyny jego zwykłej fanfaronady. – A pańska szabla, Glüntz? Też spragniona krwi?

– Bardziej niż pańska – odparł z uśmiechem młodzieniec.

Philippo roześmiał się jowialnie w głos.

– Czy ja dobrze słyszę? – spytał, wskazując na skorupę krwi plamiącą but Frédéric'a. – Ci Alzatzycy są niepoprawni. Kiedy zaczynają podrzynać

gardła, nikt ich nie zatrzyma... Zostaw, młodzieńcze, paru Hiszpanów dla przyjaciół!

Nadzwyczajne napięcie narastało pośród rozproszonych grup mężczyzn ze szwadronu, jakby przecucie, że zbliża się ta najważniejsza chwila, zaczynało wyraźnie docierać do huzarów. Rozmowy rwały się, zdania były krótkie, z każdą chwilą coraz więcej mężczyzn milczało i wszystkie spojrzenia biegły ku łagodnemu zboczowi, które wznosiło się ponad wąwozem pomiędzy szczytami, a potem opadało po drugiej stronie wzgórza na niewidoczne pole bitwy.

Uwagę Frédérica przykuł stary, samotny huzar. Siedział nieopodal na nieruchomym, siwym koniu, opierając się lewym łokciem na łąku siodła, lekko pochylony do przodu, zamyślony, ze spojrzeniem zagubionym w przestrzeni.

Wygląd huzara, jego wąsy, kucyk i warkoczyki przetykane siwizną, przecinająca policzek blizna, równoległa do bokobrodu, wszystko zdradzało weterana. Uprząż jego konia była zniszczona, lecz starannie natłuszczona, baranie futro pokrywające siodło zdążyło już wylinieć pod udami jeźdźcy. Huzar opierał brodę na dłoni, z roztargnieniem przejeżdżał palcem wskazującym po czubkach gęstych wąsów. Drugą rękę opierał na kolbie strzelby, która wystawała z pochwy przytroczonej do siodła; przy lewym boku, nad szabeltasem i obcisłymi nogawkami węgierskich spodni, przykrywającymi jego buty aż do kostek, zwisała stara zakrzywiona szabla kawaleryjska, niemal już zanikły model z 1786 roku. Daszek czerwonej czapki – noszenie czapki z czarnego futra było wyłącznym przywilejem oficerów – opadał nad mocnym, orlim nosem, przypominającym dziób sokoła. Miał ogorzałą twarz, a spokojne oczy otaczało niezliczone mnóstwo zmarszczek. W obu uszach nosił złote kolczyki.

Frédéric zastanawiał się nad wiekiem weterana: czterdzieści pięć, pięćdziesiąt lat. Najwyraźniej czekała go nie pierwsza już bitwa. Był w nim ten spokojny bezruch, oszczędność gestów, skupione wyobcowanie człowieka wiedzącego, przed czym staje. Nie wyglądał na huzara czekającego niecierpliwie na zdobycie swej porcji chwały, ale raczej na zawodowca koncentrującego się przed nieprzyjemnym zadaniem ze spokojem nabytym podczas wielu podobnych zdarzeń, z których wyszedł cało; na zawodowca uzbrojonego w pełen rezygnacji fatalizm człowieka wiedzącego, co jest nieuniknione, i świadomego, że robotę, za którą mu płacą, można wykonać w niedługim czasie, sprawnie i jak najbardziej czysto, po to, by po jej zakończeniu znów siedzieć na tym samym siodle, w równie dobrym jak teraz zdrowiu.

Frédéric porównywał milczącą, nieruchomą postać z typowymi dla południowca gestami i fanfaronadą Philippa, a także z młodzieńczą ufnością Michela de Bourmont, która nagle zaczęła mu się wydawać niczym nieuzasadniona. Zrodziło się w nim niemiłe podejrzenie, że tylko stary huzar ma tutaj rację.

Trąbka zabrzmiała wezwaniem dla oficerów. Frédéric powstał jednym skokiem, poprawiając na sobie dołman, a de Bourmont pobiegł po swojego konia. Philippo i Gérard pognali już kłusem na spotkanie majora Berreta i kapitana Dąbrowskiego, zjeżdżających diabelskim pędem ze wzgórza w kierunku wąwozu, gdzie szwadron stał w pogotowiu.

Frédéric włożył na głowę czako, wsunął nogę w strzemień i wspiął się na grzbiet Noirota. Nie czekając na rozkazy, ogarnięci nagłą energią sierżanci ustawiali huzarów na koniach w szyku marszowym. Z ołowianego nieba znów zaczynał kropić drobny kapuśniaczek.

– No, Frédéricu, teraz nasza kolej!

De Bourmont znów był obok niego, spinał wyrywającego do przodu konia, który przeczuwał już zbliżającą się akcję. Obaj przyjaciele pogalopowali w kierunku sztandaru szwadronu, rozwiniętego przez podporucznika Blondois, który zatknął dolną część drzewca w strzemię i stał obok Berreta i pozostałych oficerów. Byli tam wszyscy, z poważnymi minami oczekując na polecenia dowódcy szwadronu, w czakach z niedźwiedziego futra, w błękitnych mundurach z piersią ozdobioną złotym szamerunkiem... Śmietanka lekkiej kawalerii Cesarza, asy pierwszego szwadronu Czwartego Pułku Huzarów konnych: kapitan Dąbrowski, porucznicy Maugny, Philippo i Gérard, podporucznicy Laffont, Blondois, de Bourmont i sam Frédéric... Ludzie, którzy za chwilę poprowadzą setkę huzarów pod swymi rozkazami ku chwale albo ku klęsce.

Berret przyjrzał się im swym jedynym okiem. Frédéric nigdy wcześniej nie widział, żeby wyglądał równie zuchwale, równie wspaniale.

– Nieco ponad milę stąd stoją trzy bataliony hiszpańskiej piechoty, na wprost Ósmego Pułku Piechoty Lekkiej. Nasza piechota ma trudności, by utrzymać się na pozycji, dlatego powierzono nam misję przypuszczenia szarży na nieprzyjaciela i rozproszenia jego oddziałów. Dwa szwadrony regimentu pozostaną w rezerwie, podczas gdy my i drugi szwadron dostąpimy honoru wejścia na linię ognia... Jakieś pytania? Świetnie. W takim razie pozostaje mi tylko życzyć wszystkim szczęścia. Proszę zająć swoje miejsca.

Frédéric zamrugał ze zdziwienia. Więc to już wszystko? Żadnego wyszukanego zdania, żadnego gestu zachęty, który wzbudziłby entuzjazm wśród mężczyzn idących na bój za Francję? Młodzieniec nie oczekiwał patriotycznej tyrady, myślał jednak, że przed bitwą dowódca powinien przemówić do swych oddziałów, z elokwencją, dzięki której słabsi duchem poczują święty ogień powinności. Poczul rozczarowanie. Berret przepuścił

okazję wygłoszenia pięknych zdań, które godne byłyby umieszczenia w księdze historii i ograniczył się jedynie do formalności, do podania czystej informacji, dokąd idą i po co. Z pewnością pułkownik Letac, którego nie widzieli przez cały dzień, potrafiłby znaleźć słowa odpowiedniejsze na tę chwilę, kiedy wysyła swych podkomendnych w miejsce, z którego wielu z nich już nie powróci.

Trąbka dała sygnał do ustawienia plutonami. Berret, jedną ręką trzymając wodze, a drugą niedbale opierając na biodrze, pojechał kłusem na czoło szwadronu, a tuż za nim chorąży Blondois i główny trębacz. Kapitan Dąbrowski odwrócił się do reszty szwadronu i spojrzał swymi lodowatymi, szarymi oczyma.

– Słyszeliście, panowie.

Nic więcej nie zostało do powiedzenia. Szwadron stał gotowy do wymarszu, w szyku zwanym plutonowym: osiem rzędów po dwunastu ludzi, z podoficerami na flankach, tworząc kolumnę szerokości piętnastu i długości siedemdziesięciu łokci. Dąbrowski odjechał w ślad za majorem Berretem. Frédéric odwrócił się do de Bourmonta, wyciągającego doń rękę ponad zadem swego konia. Popatrzył w szczerze oczy przyjaciela, na dodający otuchy uśmiech pod cienkim, jasnym wąsem, w oprawie czarnego futra na czaku i złocistego, miedzianego okucia na pasku pod brodą, dwa jasne warkoczyki, kwadratową szczękę i w tej samej chwili pomyślał, że Michel de Bourmont jest zbyt piękny, by umrzeć. Z pewnością Los przeprowadzi go cało i zdrowo pośród wrogów, doda skrzydeł podkowi jego konia i zwróci żywego po zbliżającej się bitwie.

– Przeżyjemy i zwyciężymy, bracie – odezwał się de Bourmont, jakby odgadując jego myśli.

Jeśli przyjaciel mówi to z tak mocnym przekonaniem, nie jest możliwe, by stało się inaczej. Frédéric otworzył usta, chcąc coś powiedzieć, poczuł

jednak w gardle ucisk niepozwalający mu wydobyć z siebie słowa. Rumieniec pojawił się na jego policzkach, kiedy zdejmował rękawiczkę, by gorąco uścisnąć dłoń przyjaciela.

Wtedy zabrzmiała trąbka i pierwszy szwadron Czwartego Pułku Huzarów wyruszył w drogę ku chwale.

Mżawka padała na ludzi i konie, gdy szwadron stępa wspinał się na wzgórze. Za Berretem, Dąbrowskim i sztandarem, na czele pierwszej kompanii jechał porucznik Philippo. Następny był Frédéric, zamykając swój pluton, a tuż za nim jechał de Bourmont, na czele swego oddziału. Dwa rzędy huzarów dalej był porucznik Maugny, na czele drugiej kompanii, z Laffontem i Gérardem pośrodku. Oddział, sformowany dokładnie w zgodzie z literą regulaminu, wyglądał tak doskonale, jakby nie wyruszał do boju, ale defilował przed samym Cesarzem.

Setka jeźdźców wiała się pośród wzgórz rzadko porośniętych drzewami oliwnymi. W miarę jak odgłosy bitwy zbliżały się, rozmowy ustawały, aż wreszcie wszystkie ucichły. Huzarzy jechali teraz w milczeniu, kołysząc się na wierzchowcach, z poważnymi minami i ze spojrzeniem utkwionym w plecach jeźdźców z przodu.

Na mokrej ziemi zaczęły się tworzyć małe kałuże, w których odbijało się niebo ołowianej barwy. Frédéric jechał z dłońmi opartymi na siodle, trzymając wodze w palcach. Jego umysł był jasny i trzeźwy, chociaż coraz bliższy łoskot dział i salwy strzelców odbijały się echem w jego piersi, zagłuszając bicie serca, jakby bitwa toczyła się w jego wnętrzu.

Nie mógł uwolnić się od skojarzenia, które pojawiało się i oddalało, nie znikając jednak nigdy do końca. Podczas rozmowy prowadzonej przed chwilą z Michelem de Bourmont nagle przyszła mu do głowy myśl, której jednak nie wyraził na głos. Pewnego razu, kiedy jeszcze był dzieckiem, Frédéric wziął garść ołowianych żołnierzyków, wrzucił je do kominka i

przyglądał się, jak ogień rozpuszcza metal i przemienia go w krople ciekłego ołowiu. Podczas rozmowy o odpowiedzialności dowódców, którzy, jak powiedział Frédéric, posyłali tysiące ludzi na śmierć, być może z powodu zwykłego błędu w obliczeniach, z pragnienia sławy, dla rywalizacji lub z bardziej jeszcze niejasnych powodów, młodemu podporucznikowi przyszło do głowy trafne porównanie opisujące bitwę: dwaj generałowie biorą garściami żołnierzy z krwi i kości, rzucają ich w ogień i przyglądają się, jak niszczy ich żywioł. Kompanie, bataliony, całe pułki dzielą ten los. Wszystko zależy – i ta myśl najbardziej przeraziła Frédérica – od widzimisię dwóch mężczyzn, którym król albo cesarz nadał takie prawo w imię pradawnego obyczaju, a czego nikt nie ośmieliłby się podważyć. Frédéric nie śmiał powiedzieć tego swemu przyjacielowi, obawiając się, co de Bourmont mógłby pomyśleć o takich rozważaniach. Przecież spojrział już na niego dziwnie, kiedy Frédéric zaczął kwestionować sens wojskowej organizacji. De Bourmont to urodzony żołnierz, człowiek rzetelny, dzielny i rycerski. Frédéric pomyślał z goryczą, że być może jego niezwykle doznania ostatnich godzin są oznakami skrywanego, a teraz wychodzącego na jaw tchórzostwa, niegodnego kogoś, kto nosi mundur huzara.

Dokonał ogromnego wysiłku, niemal fizycznego, by otrząsnąć się z tych pożałowania godnych myśli. Odetchnął głęboko i spojrział na szare gaje oliwne ciągnące się po bokach drogi, którą podążał szwadron. Poczuł pod udami grzbiet wiernego Noirota, spojrział przelotnie na nieprzeniknione twarze mężczyzn jadących obok niego i z całej siły zapragnął podobnego spokoju ducha. Bo w sumie, pomyślał, wszystko polega na tym, by dobrze ukrywać dziwne myśli, wyprostować kark i przybrać niewzruszoną minę, aż do chwili, gdy przyjdzie wyciągnąć szablę i natrzeć na wroga. I w tym najważniejszym momencie nie będzie najmniejszego problemu: Noirot

zawiedzie go tam, gdzie w walce o życie nie będzie miejsca dla niepokojących urojeń.

Szwadron dotarł do punktu, z którego rozciągała się panorama pola bitwy, znanego już Frédéricowi, który razem ze swą kompanią eskortował Ósmy Piechoty Lekkiej. W dolinie widoczne były osady i dalej biała wioska, choć teraz wiszący w powietrzu obłok spalonego prochu był znacznie gęściejszy. Las po lewej stronie na wpeł zakrywał bitewny dym, a błyskawice wystrzałów fizyliarów skrzyły się z każdej strony. Ziemia była szara, dym szary i niebo szare, a w obłoku przesłaniającym pejzaż powoli poruszały się masy ludzi, plamy niebieskie, brązowe i zielone, rozciągające się w linie, zbierające w kwadraty lub rozsypujące się pod ogniem wystrzałów to jednych, to drugich oddziałów artylerii, których pociski rozrywały wilgotne powietrze z głuchym rykiem.

Obok zburzonego ogrodzenia folwarku widać było grupę francuskich rannych, leżących w nieładzie na ziemi, ukazującą wszystko, co ołów i stal mogą rozerwać, złamać, okaleczyć w ludzkim ciele. Niektórzy żołnierze ułożeni byli nieruchomo na boku lub na plecach, z nędznymi bandażami okrywającymi ich rany. Pod zadaszeniem z brezentu i kilku desek ułożonych na dwóch wozach dwóch chirurgów bez wytchnienia zszywało, opatrywało i amputowało. Od grupy dobiegał głuchy hałas, pełen bólu zbiorowy jęk, którego monotonię przerywały od czasu do czasu krzyki poszczególnych rannych. Kiedy przejeżdżali obok, Frédéric zwrócił uwagę na młodego żołnierza, bez czapki i strzelby, który chodził wzdłuż ogrodzenia, jakby bez konkretnego celu, i wybuchał salwami śmiechu przy całkowitej obojętności swych towarzyszy. Nie miał żadnej widocznej rany, a za maską jego poczerniałej od prochu twarzy błyszcząły oczy rozpalone jak dwa węgle. Było to spojrzenie szaleńca.

Major Berret wydał rozkaz przyspieszenia do kłusa, aby szwadron jak najszybciej oddalił się od tej dramatycznej sceny. Ziemia była poznaczona śladami kół wozów i lawet armatnich, podziurawiona niezliczonymi końskimi podkowami. Po drodze minęła ich grupa żołnierzy piechoty w szyku do odwrotu, z białymi napierśnikami i sztylpami poplamionymi błotem. Piechurzy o twarzach osmalonych dymem szli wyraźnie zmęczeni, ze strzelbami przewieszonymi ukośnie na plecach. Było oczywiste, że przed chwilą walczyli i że sprawy nie potoczyły się całkiem pomyślnie. Na końcu dwaj żołnierze pomagali iść trzeciemu, który boleśnie utykał, bo lewe udo miał owinięte opatrunkiem zrobionym z koszuli. Nieco dalej szwadron minął około tuzina rannych idących na własnych nogach w kierunku szpitala polowego, który huzarzy zostawili w tyle. Niektórzy używali strzelb jako kul; trzej ostatni żołnierze szli z rękami opartymi na plecach idącego przed nimi towarzysza i potykali się o leżące na drodze kamienie, a ich oczy przesłaniały zakrwawione opatrunki.

– Mają już dosyć – skwitował ten widok jeden z huzarów. – Dobrzy koledzy, wycofują się, żeby zostawić trochę ołowiu dla nas.

Nikt nie zaśmiał się z tego dowcipu.

Wojna.

Było tam drzewo oliwne, na którego najwyższych gałęziach wisiało dwóch Hiszpanów. Były zagrody dymiące w oddali, zabite konie, mundury zielone i brązowe na zwłokach wszędzie porzrzucanych. Było przewrócone działo z lufą zanurzoną w błocie, z gwoździem w otworze zapłonowym, bez wątpienia zniszczone przez nieprzyjaciela, zanim zostało porzucone. Był francuski żołnierz leżący przy drodze na plecach, z szeroko otwartymi oczami, mokrymi włosami, rozcapierzonymi palcami i wnętrznościami rozrzuconymi na nieruchomych udach. Był ranny siedzący

na kamieniu, z kurtką na ramionach i z niewidzącym spojrzeniem, który ruchem głowy odmawiał stojącemu obok towarzyszowi starającemu się go przekonać, by szedł dalej, do szpitala. Był tam osiodłany koń bez jeźdźca, skubiący trawę, która rosła pod jego przednimi kopytami, a kiedy jakikolwiek żołnierz zbliżał się i próbował chwycić go za uzdę, podnosił głowę i oddalał się krótkim, pogardliwym kłusem, jakby chciał pozostać na marginesie tego wszystkiego.

Tego dnia cały świat jawił się oczom Frédérica ponury jak nigdy przedtem, pod zakrytym niebem, z którego sączyła się wilgoć, w dolinie, skąd ryk armatni wypędził ptactwo i gdzie pozostali tylko zabijający się z furią ludzie. Przez chwilę chciał sobie wyobrazić, jak inaczej wszystko by wyglądało, gdyby zamiast szarego sklepienia, deszczu i błota tworzącego się pod kopytami Noirota ziemia była sucha, niebo jaśniało błękitem i w górze świeciło słońce. Jednak myśl taka mogła zaświtać w jego głowie tylko na chwilę; nawet najbardziej pogodny dzień słonecznej wiosny nie mógłby złagodzić horroru straszliwych scen, które wytyczały drogę Frédérica do chwały.

Teren stał się teraz bardziej płaski, drzewa zaczęły rzędnąć i szwadron ruszył kłusem. Major Berret jechał niewzruszony obok sztandaru, z jednej strony towarzyszył mu Dąbrowski, a z drugiej trębacz. Przez jakiś czas była to ta sama droga, którą Frédéric eskortował Ósmy Pułk Piechoty w kierunku wioski, i młody huzar zobaczył sosnowy las, w którym zabił partyzanta. Zanim doń dotarli, skręcili na prawo i uwagę Frédérica przyciągnęła niebieska plama drugiego szwadronu, która zbliżała się szybko, aby dołączyć do nich podczas ataku. Teraz żołnierze byli wszędzie, w ścisłych kolumnach, a łoskot strzelaniny rozlegał się ze wszystkich stron. Jednak nie znaleźli się jeszcze w zasięgu wzroku nieprzyjaciela.

Obydwa szwadrony, każdy osobno, ustawiły się w szyku za wzgórzem. Drugi pozostał w odległości około siedemdziesięciu łokci i Frédéric spojrział z podziwem na jego zwarte szeregi, doskonały szyk poprzedzający rozwinięcie, w jakim formacja pójdzie do walki. Konie niespokojnie przebierały w miejscu kopytami, potrząsały łbami, gryząc wędzidła, orały ziemię podkowami. Były przygotowywane na tę właśnie chwilę, a instynkt podpowiadał im, że oto nadchodzi najważniejszy moment.

Berret, Dąbrowski i dwaj dowódcy drugiego szwadronu wspięli się na wzgórze, aby dokładnie obejrzeć teren ataku. Reszta pozostała nieruchomo w szyku, z wyteżonym wzrokiem i słuchem czekała na znak do natarcia. Frédéric usunął nawoskowane szmaty okrywające pistolety i pochylił się nad bokami Noirota, żeby sprawdzić popręg i strzemiona. Spojrział na de Bourmonta, który uważnie obserwował każdy gest Berreta i reszty dowództwa.

– Ruszajmy wreszcie – mruknął przez zęby huzar stojący obok Frédérica i młodzieniec był o krok od wyrażenia głośnej aprobaty dla tego komentarza. Trzeba już wyruszyć, skończyć z tymi przejażdżkami, z tym oczekiwaniem. Poczuł, że wszystkie jego nerwy są napięte, jakby były między sobą pościągane węzłami, a żołądek ścisnęło mu nieprzyjemne mrowienie. Trzeba wreszcie ruszyć do ataku, stanąć twarzą w twarz z tym wszystkim, co czeka po drugiej stronie wzgórza, cokolwiek to jest. Na co, u diabła, jeszcze czeka Berret? Jeśli nadal tu będą tak stali, nieprzyjaciel wreszcie ich zauważy – zaatakuje albo się wycofa, być może zastosuje środki obronne, których nie użyłby, gdyby ich nie widział. Na co jeszcze czekają?

Krew zaczęła mu głośno pulsować w skroniach, serce tłukło się, jakby chciało wyskoczyć z piersi, i Frédéric był pewien, że stojący obok huzarzy słyszą jego bicie. Padał drobny deszcz, moczył mu ramiona i uda, po nosie i

karku spływały już strumyki wody. Na Boga, na Boga! Mokną tutaj, nieruchomi niby konne posągi, a durny Berret traci czas na jakieś rozpoznania. Czy wszystko nie jest jasne? Stoją po jednej stronie wzgórza, nieprzyjaciel – po drugiej. To bardzo proste, nie warto zawracać sobie głowy. Wystarczy wydać rozkaz do ataku, wspiąć się na wzgórze i galopem zjechać po drugim zboczach, spadając niczym sfera diabłów na tę zbieraninę wieśniaków i dezertarów. Czy naprawdę nikt nie może tego majorowi wytłumaczyć?

Obraz Claire Zimmerman znów na chwilę przemknął mu przed oczami, odrzucił go z irytacją. Do diabła z panną Zimmerman, do diabła ze Strasburgiem, ze wszystkimi do diabła. Do diabła z Michelelem de Bourmont, który sterczy tu jak dureń, głupio wpatruje się w szczyt, moknie do szpiku kości i nie krzyczy, nie pyta, dlaczego, do licha ciężkiego, nie ruszają jeszcze galopem. Do diabła z Philippem, gadatliwym cwaniakiem, teraz milczącym jak grób i patrzącym w tym samym kierunku ze śmiesznie rozchyłonymi ustami. Czy wszystkich obleciał strach? Po drugiej stronie wzgórza znajdują się trzy bataliony nieprzyjacielskiej piechoty, po tej stronie – dwa szwadrony huzarów. Dwustu jeźdźców przeciwko tysiącowi pięciuset piechurów. No to co? Nie będą przecież atakować wszystkich trzech batalionów naraz. Najpierw jeden, potem pozostałe... Poza tym są jeszcze dwa szwadrony w rezerwie. I Ósmy Pułk Piechoty Lekkiej też jest gdzieś po drugiej stronie wzgórza, tam, skąd słychać salwy wystrzałów, i czeka na pomoc kawalerii... Z jakiego powodu, do licha, nie ruszają wreszcie do ataku?!

Kiedy Frédéric zobaczył, jak Berret i Dąbrowski odwracają się do nich, Blondois porusza sztandarem, a trębacz unosi do ust trąbkę, kiedy usłyszał, jak z miedzi wydobywa się metaliczne wezwanie wojenne, jego serce zatrzymało się na chwilę, a następnie rzuciło do szalonego biegu. Jego

okrzyk „Niech żyje Cesarz!” stopił się z głosem wydobywającym się z dwóch setek gardeł krzyczących gorączkowo, podczas gdy oba szwadrony zaczęły wspinać się na wzgórze. Wyciągnął szablę i oparł ją na prawym obojczyku, uniósł czoło, spiął ostrogami Noirota i wyruszył ku temu miejscu, gdzie nie będzie miał innych przyjaciół niż Bóg, szabla i jego koń.

VI. SZARŻA

Jadąc w górę zboczem wzgórza, Frédéric coraz lepiej widział scenerię przyszłego ataku. Najpierw był to gęsty tuman zawieszony między niebem i ziemią; potem kolumny czarnego dymu wznoszące się pionowo, niemal nieruchome, jakby zmrożone rzadkim deszczem. Potem za mgłą, daleko na horyzoncie, dostrzegł zarys gór zamykających dolinę z drugiej strony. Będąc już niemal na szczycie, zobaczył pola po prawej i lewej stronie, las, wieś w płomieniach, trudną do rozpoznania teraz, gdy dachy płonęły szaleńczo, iskry poruszane żarem wyskakiwały pod niebo, a potem znikwały w powietrzu lub opadały na ziemię, na pola czarne od błota i popiołu.

Jeden z batalionów Ósmego Pułku Piechoty Lekkiej stał u stóp wzgórza, najwyraźniej nie poszło mu dobrze. Jego kompanie wycofały się, a teren przed nimi usiany był nieruchomymi niebieskimi mundurami leżącymi na ziemi. Wyczerpani żołnierze opatrywali rany, czyścili strzelby. To byli ci sami ludzie, których Frédéric eskortował do wioski zdobytej bagnietami, a następnie oddanej po bezlitosnym kontrataku wroga. Teraz mundury mieli poplamione błotem, twarze osmalone prochem, a zagubiony wzrok wskazywał, że przeszli ciężką próbę. Po ich odwrocie punkt centralny bitwy na tym skrzydle przeniósł się ku prawej stronie, tam, gdzie drugi batalion pułku, bardziej wysunięty naprzód, osłonięty podziurawionymi murami na wpół zburzonego gospodarstwa, pluł salwami karabinowymi w kierunku zwartych szeregów nieprzyjaciela, które wydawały się posuwać powoli, lecz nieugięcie przez dym własnych strzałów, jakby nic na świecie nie mogło ich zatrzymać.

Trąbki obu szwadronów huzarów zabrzmiały niemal równocześnie, dając rozkaz utworzenia szyku bojowego. Pierwsze linie zielonych i

brunatnych mundurów znajdowały się blisko, w odległości pół mili, słabo widoczne w tumanie spalonego prochu. Kiedy Hiszpanie ujrzeli huzarów, zaczęli zwierać szeregi, zmieniając szyk z linii w kwadrat, jedyną formację obronną skuteczną wobec ataku kawalerii. Na szczycie wzgórza major Berret nie tracił czasu; na chwilę oderwał wzrok od nieprzyjacielskich szeregów, stwierdził, że szwadron jest gotowy do ataku, wyciągnął szablę z pochwy i wskazał na najbliższą kolumnę wroga.

– Pierwszy szwadron Czwartego Pułku Huzarów! Naprzód!

Jeźdźcy, ustawieni teraz w dwa zwarte szeregi po pięćdziesięciu ludzi, spięli ostrogami konie i zaczęli zjeżdżać po łagodnym zboczu. Na prawo od nich dowódca drugiego szwadronu, gestami identycznymi z tymi, które przed chwilą wykonał Berret, wskazywał szablą nieco bardziej oddaloną nieprzyjacielską kolumnę.

Spoza hiszpańskich szeregów dobiegł świst kul i huk granatów artylerii wroga, które zatapiały się w mokrej ziemi i wybuchwały, wznosząc odwrócone stożki błota i prochu. Frédéric jechał przed pierwszym szeregiem, po lewej stronie miał Philippa, a po prawej de Bourmonta. Major Berret jechał przed sztandarem, z trębaczem tuż za zadem jego konia. Dąbrowski zajął swoje miejsce na drugim końcu szeregu; jeśli Berret padnie, to on przejmie dowodzenie szwadronem. Jeśli i Dąbrowski zostałby wyłączony z walki, dowództwo obejmie Maugny, Philippo, i kolejno według starszeństwa, aż po samego Frédérica.

– Pierwszy szwadron! Kłusem marsz!

Konie przyspieszyły, a jeźdźcy dopasowali ruchy do rytmu swych wierzchowców. Frédéric, z szablą opartą o ramię i wodzami w lewej ręce, zerkał to w jedną, to w drugą stronę, aby utrzymać swoją pozycję w szyku, co nie pozwoliło mu patrzeć naprzód tak uważnie, jak by sobie tego życzył. Zielony prostokąt, ku któremu zmierzali, był coraz lepiej widoczny pośród

kłębów dymu; przestawał wyglądać jak bezkształtna masa i przybierał swą prawdziwą postać zwartych szeregów ludzi tworzących kolumnę najeżoną bagnetami ze wszystkich stron.

Oba szwadrony zjechały ze zbocza i minęły rozbity batalion piechoty. Żołnierze unieśli czapki w górę na lufach karabinów, pozdrawiając huzarów, po czym zaraz stanęli w szyku i wezwani przez oficerów, ruszyli ich śladem z powrotem na teren, który musieli opuścić pod naporem przeciwnika, i znów maszerowali naprzód przez pole, na którym pozostali ich zabici towarzysze.

Drugi szwadron oddalał się od pierwszego, ponieważ jego celem był inny nieprzyjacielski oddział – kwadrat brunatnych kurtek, znajdujący się w odległości czterystu łokci od tego, ku któremu zmierzali jeźdźcy Berreta. Kilka armatnich pocisków przeleciało z hukiem i wybuchło po lewej stronie, nie powodując żadnych strat. Ze świstem docierały też kule fizylierów, jednak były już słabe, na granicy zasięgu, i z trzaskiem wbijały się w mokrą ziemię.

Berret uniósł szablę, a trąbka wydała rozkaz „stój”. Szwadron przejechał jeszcze kawałek i zatrzymał się w dwóch idealnie prostych szeregach – huzarzy, ściągając mocno wodze, zatrzymali konie w miejscu. W odległości niecałych dwustu łokci, pomiędzy kłębami dymu, wyraźnie widoczna była formacja nieprzyjaciela: pierwszy szereg przykląkł na jedno kolano, drugi – stał wyprostowany, oba ze strzelbami wymierzonymi w kierunku nieruchomego teraz szwadronu.

Berret potrząsnął szablą ponad głową. Powtarzając manewr setki razy wypróbowany podczas codziennych ćwiczeń, oficerowie wycofali się, by stanąć na flankach, a huzarzy wyciągnęli karabiny z pochew przytroczonych do siodeł.

– Pierwsza kompania...! Cel!

W tym momencie zabrzmiała salwa wroga. Frédéric, na lewej flance szyku, skulił głowę, widząc łańcuch ogni przebiegający hiszpańskie szeregi. Świst kul słychać było z każdej strony, kilku trafionych huzarów obsunęło się na ziemię. Również parę koni upadło i wierzgało kopytami w powietrzu.

Nieporuszony, wyprostowany na swym wierzchowcu Berret patrzył na hiszpański oddział.

– Pierwsza kompania! Pal!

Konie przestraszyły się, kiedy padła salwa, a jej dym przesłonił wroga. Dwaj ranni huzarzy, uchylając się przed końskimi kopytami, czołgali się po ziemi, próbując przedostać się na tyły szwadronu. Nie chcieli, by konie stratowały ich, gdy za chwilę ruszą przed siebie.

Berret ukazał się pośród dymu, z szablą nad głową, błyskając swym jedynym okiem.

– Oficerowie na miejsca! Pierwszy szwadron Czwartego Pułku Huzarów! Naprzód!

Frédéric spiął ostrogami Noirota i wsunął dłoń w pętlę sznura przyczepionego do rękojeści szabli; ręce mu drżały, wiedział jednak, że to nie ze strachu. Odetchnął głęboko kilka razy i zacisnął zęby; czuł, że unosi się w przedziwnym śnie.

Oba zwarte szeregi postąpiły naprzód, w głąb chmury dymu.

– Pierwszy szwadron! – Głos Berreta już brzmiał ochryple. – Kłusem naprzód!

Tętent kopyt wyrównał się, stał się intensywniejszy, gdy konie przyspieszyły kroku. Frédéric miał szablę zawieszoną na prawym nadgarstku, w tej samej dłoni trzymał pistolet, podczas gdy lewą ręką pewnie chwycił wodze. Zapach spalonego prochu wypełniał mu płuca, pograżając go w stanie zbliżonym do upojenia. Podniecenie wydzielał wszystkimi porami skóry, w głowie miał zupełną pustkę, a jego pięć

zmysłów koncentrowało się ze zwierzęcym uporem na tym, by wzrok przebił dym i dostrzegł nieprzyjaciela, który czekał tam na niego, z każdą chwilą coraz bliżej.

Szwadron pozostawił w tyle ostatnie strzępy szarego obłoku i przed nim znów pojawił się hiszpański oddział. Na ziemi, wokół zewnętrznych szeregów, leżało wiele zielonych mundurów. Żołnierze z pierwszej linii, klęczący na jedno kolano, z pośpiechem ładowali broń, ubijając stemplami proch w lufach. Drugi szereg, ten, który stał, celował. Frédéric przez chwilę miał wrażenie, że wszystkie lufy skierowane są na niego.

– Pierwszy szwadron! Galopem naprzód!

Druga salwa nieprzyjaciela została oddana z odległości stu łokci. Wystrzały rozbłysły niepokojąco blisko i tym razem Frédéric poczuł, że ołów przelatuje tuż obok, o kilka cali od jego zeszywniałego z napięcia ciała. Z tyłu, ponad stukotem kopyt całego szwadronu, usłyszał rzenie ranionych koni i wściekłe okrzyki jeźdźców. Szyk zaczynał się rozpraszać, niektórzy huzarzy wyskakiwali to z lewej, to z prawej strony. Jakiś granat wybuchł tak blisko, że poczuł gorąco rozpalonego do czerwoności metalu, gwizdzącego w powietrzu. Koń należący do Philippa, bułany z żółtą grzywą, jak oszalały przegalopował przed nim bez jeźdźca. Major Berret nadal jechał na czele szwadronu, z uniesioną szablą skierowaną przeciwko wrogom, których twarze można już było rozróżnić.

Tętent końskich kopyt, szalony pęd Noirota, ciężkie dyszenie wierzchowca, płuca Frédérica palone kwaśną wonią prochu, pot pokrywający grzbiet konia, zaciśnięte szczęki jeźdźca, padający ciągle deszcz, woda spływająca z czaka na kark... Teraz nie było już odwrotu. Świat ograniczył się do szalonego galopu, pragnienia, by zetrzeć z powierzchni ziemi znieawidzone zielone mundury, czapki z czerwonymi piórami tworzące żywy mur najeżony strzelbami i bagnietami.

Sześćdziesiąt, pięćdziesiąt łokci. Szereg klęczących mężczyzn znów podnosił do twarzy strzelby, podczas gdy drugi, ten stojący, odgryzał kartusze i z pośpiechem ładował dymiące lufy.

Trąbka zawyła przeraźliwym sygnałem bojowym, rozkazem przystąpienia do ataku i sto gardeł zakrzyknęło „Niech żyje Cesarz!” w dzikim zawołaniu, jakie wzbiło się ponad cały szwadron, tłumiąc drżenie ziemi pod kopytami koni. Frédéric kłuł Noirota ostrogami tak mocno, że z boków konia zaczęła spływać krew – był to gest zbyteczny, bo wierzchowiec nie reagował już na ściąganie wodzy. Sunął jak strzała, z wyciągniętą szyją i oczami wychodzącymi z orbit, z pyskiem pokrytym pianą, równie zawzięty jak jeździec. Już wiele koni galopowało z pustymi siodłami i luźnymi wodzami, w zwartych, choć coraz mniej równych szeregach szwadronu. Trzydzieści łokci.

Cały świat skupił się dla Frédérica na tym, by pokonać ostatni dystans, zanim wycelowane strzelby wyplują z siebie śmiertelne błyski. Z szablą zwisającą ze sznura u nadgarstka – jej klinga obijała mu się o udo – i z pistoletem w zaciśniętej dłoni, napiął jeszcze bardziej wszystkie mięśnie, gotów przyjąć prosto w twarz salwę, tym razem już nieuniknioną. Jak we śnie zobaczył, że drugi szereg nieprzyjacielskiego szyku nierówno unosi strzelby, że niektórzy Hiszpanie odrzucają stemple, nie dokończywszy ładowania, a inni celują ze stemplami w lufach, równoległymi do błyszczących bagnetów. Dziesięć łokci.

Ujrzał twarz oficera w zielonym mundurze, wykrzykującego rozkaz, którego dźwięk zagłuszony został hukami salwy. Wystrzelił do oficera z pistoletu, schował broń do kabury i chwycił szablę, siadając najpewniej jak mógł w siodle. Wtedy szereg klęczących mężczyzn dał ognia, cały świat zmienił się w błyskawice i dym, jęki, błoto i krew. Nie wiedząc, czy został ranny czy nie, znalazł się na końskim grzbiecie w lesie bagnetów. Rozdawał

ciosy szablą na lewo i prawo, uderzał, ciął z nieokiełznanym impetem, krzyczał jak opętany, głuchy i ślepy na wszystko, party taką nienawiścią, jakby pragnął uśmiercić całą ludzkość. Głowa rozłupana aż po zęby, ludzka masa tarzająca się w błocie pod końskimi kopytami, jakaś smagła, przerażona twarz, krew spływająca po klindze i rękojeści, trzask stali o kości, krwawiący kikut tam, gdzie chwilę wcześniej była trzymająca bagnet dłoń, Noirot staje dęba, huzar tnie szablą na oślep z twarzą pokrytą krwią, kolejne konie pozbawione jeźdźców rżą przerażone, wokół krzyki, szczęk stali, wystrzały, błyski, dym, jęki, konie depczące po własnych flakach, ludzie, których wnętrzości depczą konie, zarzynanie, podcinanie gardeł, gryzienie, wycie.

Szwadron zmiótł rozpędem cały wierzchołek szyku i przejechał dalej, odbijając nieco w lewo wskutek uderzenia. Frédéric nagle dostrzegł, że jest poza linią wroga, trzyma się w siodle, w zdrętwiałej ręce ściska szablę. Trąbka nakazywała przegrupowanie przed następną szarżą, ale huzarzy przejechali jeszcze dobry kawałek, zanim odzyskali panowanie nad swymi szaleńczo galopującymi końmi. Frédéric wypuścił szablę, która opadła na sznurze u nadgarstka i tak mocno ściągnął wodze Noirota, że ten stanął niemal w miejscu, a jego tylne nogi pośliznęły się na mokrej ziemi. Potem, bez tchu, słysząc dzwonięcie w uszach i czując, jak krew pulsuje mu w skroniach, z karkiem zdrętwiałym od potwornego bólu, huzar znów spiął konia ostrogami i skierował ku sztandarowi, wokół którego kotłował się szwadron.

Prawa ręka majora Berreta, zgruchotana przez kulę, nieruchomo zwisała wzdłuż boku. Był niezwykle blady, lecz trzymał się w siodle, z szablą w lewej dłoni i wodzami w zębach. Jego jedyne oko płonęło jak rozżarzony węgiel. Dąbrowski, cały pozornie tak chłodny i spokojny, jakby brał udział

nie w szarży, ale w ćwiczeniach, zbliżył się do majora, pozdrowił go skinieniem głowy i przejął dowództwo.

– Pierwszy szwadron Czwartego Pułku! Do ataku, naprzód!

Kiedy szwadron przypuszczał nową szarżę, Frédéric zdążył w przelocie dostrzec, jak Michel de Bourmont, z odkrytą głową i w rozdartym dołmanie, unosił w górę szablę. Konie znów nabierały szybkości, wyrównał się tętent kopyt i huzarzy zaczęli zwierać szereg, w miarę jak malała odległość dzieląca ich od wroga. Padał teraz gęsty deszcz i nogi zwierząt zapadały się w błoto, którym ochlapywały jeźdźców galopujących z tyłu. Frédéric spiął Noirota, zajmując swą pozycję na czele lewego skrzydła pierwszego szeregu. Zdziwiło go, że żaden oficer nie jedzie obok niego, lecz przypomniał sobie należącego do Philippa konia, galopującego bez jeźdźca po wybuchu granatu, jeszcze przed atakiem.

Czworobok otaczały leżące na ziemi ciała ludzi i koni. Z jego szeregów, już mniej licznych, padła salwa w kierunku szwadronu. Koń chorążego Blondois zadarł głowę, przebiegł kilka kroków potykając się o własne nogi i zrzucił jeźdźca. Z szeregu oderwał się jeden z huzarów bez czaka, z jasnymi warkoczykami i kucykiem powiewającymi na wietrze podczas galopu i przejął sztandar z rąk Blondois, zanim ten upadł na ziemię. Był to Michel de Bourmont. Frédéric poczuł gęsią skórkę i krzyknął: „Niech żyje Cesarz!”, a okrzyk podjęli z entuzjazmem jadący wokół niego huzarzy.

Hiszpańska formacja znajdowała się w odległości niecałych pięćdziesięciu łokci, lecz dym spalonego prochu był już tak gęsty, że z trudem można było odróżnić jej kontury. Coś szybkiego i gorącego musnęło prawy policzek Frédérica, wprawiając w drganie miedziany pasek. Huzar wyciągnął ramię uzbrojone w szablę, a Noirot jednym susem przeskoczył martwego konia i leżącego pod nim jeźdźca. Deszcz pocisków przebił zasłonę dymu. Frédéric skulił się nad grzbietem konia, aby uniknąć

ołowianego gradu i znów się wyprostował, bez zadraśnięcia, z suchością w ustach i ciałem skurczonym od napięcia. Zacisnął zęby, stanął w strzemionach i rzucił się z szablą na las bagnatów, które usiłowały go dosięgnąć.

Walczył o życie. Walczył z całym zapalem swoich dziewiętnastu lat, aż ramię zaczęło mu ciążyć, jakby było z ołowiu. Walczył, atakując i odpierając ataki, rozdając ciosy i pchnięcia, robiąc uniki ciałem przed rękami, które próbowały ściągnąć go z konia, przedzierał się przez labirynt błota, stali, krwi, ołowiu i prochu. Wykrzykiwał swój strach i waleczność, aż zdarł gardło do żywego. I znowu znalazł się na tyłach nieprzyjacielskich szeregów, na otwartym polu, pod deszczem bijącym go po twarzy, otoczony przez szaleńczo galopujące konie bez jeźdźców. Obmacał swoje ciało i poczuł niezwykłą radość, kiedy stwierdził, że nie odniósł żadnych ran. Tylko gdy dotknął prawego policzka, gdzie czuł pieczenie, zobaczył, że rękę ma poplamioną krwią.

Metaliczny głos trąbki znów zwoływał szwadron pod sztandar. Frédéric ściągnął wodze i odzyskał kontrolę nad wierzchowcem. Wokół błąkało się wiele koni z pustymi siodłami, ranni poruszali się w błocie, wyciągając błagalnie ręce, kiedy przejeżdżał obok. Frédéric spojrział na klingę szabli, którą ostrzył zaledwie kilka godzin wcześniej, a teraz wyszczerbioną i poplamioną krwią, z przylepionymi kawałkami mózgu i włosami. Oczyszczył ją z obrzydzeniem o nogawkę spodni i popędził Noirota w ślad za towarzyszami.

Majora Berreta nie było nigdzie widać. De Bourmont, z ranami na czole i na udzie, trzymał sztandar w górze; kiedy spojrział na Frédérica, nie rozpoznając go, oczy błyszczały mu za maską krwi, którą poplamione były też jego wąsy i warkoczyki. Nadal padał deszcz. Obok niego, z szablą

opartą na łąku siodła, spokojny jak na parady Dąbrowski ściągał wędzidło swego konia, czekając, aż szwadron znów się uformuje.

– Pierwszy szwadron Czwartego Pułku Huzarów! – szabla kapitana wskazała czworobok, który mimo dwóch szturmów nadal utrzymywał się w szyku, choć przez dym można było dostrzec, że jego szeregi przerzedziły się straszliwie. – Niech żyje Cesarz! Do ataku!

Pozostali przy życiu huzarzy przyłączyli się do bitewnego okrzyku, zwarli szeregi i po raz trzeci natarli na wroga. Frédéric nie panował już nad swoimi czynami; poczuł nieludzkie zmęczenie i gorzką rozpacz, kiedy dostrzegł, że znienawidzony zielony czworobok jeszcze się trzyma mimo dwóch miażdżących szarż najlepszej lekkiej kawalerii świata. Trzeba to raz na zawsze skończyć, trzeba ich wszystkich rozgnieść, odciąć wszystkie głowy i powrzucać w błoto, jedną po drugiej, zdeptać końskimi podkrowami, aż staną się krwawą mazią. Trzeba zmieść z powierzchni ziemi tę upartą gromadę zielonych ludków i tego dokona właśnie on, Frédéric Glüntz ze Strasburga. Na Boga, do licha, tak właśnie będzie!

Kolejny raz wbił ostrogi w boki Noirota, żeby zewrzeć szereg z huzarami jadącymi obok niego. Nie było tam już Maugny'ego. Ani Laffonta. Pierwszy szwadron stracił połowę oficerów. Kompania Ósmego Pułku Piechoty Lekkiej, która posuwała się za huzarami, teraz znajdowała się bardzo blisko zielonego oddziału, chłoscząc go bez przerwy gęstymi salwami. Błyski wystrzałów były coraz lepiej widoczne, bo popołudnie już dogasało, a gęsta zasłona chmur stawała się coraz ciemniejsza ponad górami zamykającymi dolinę na horyzoncie.

Znów zadzwieczyła trąbka, znów galop koni stał się miarowy, Frédéric znów mocno uchwycił szablę i poprawił się na siodle i w strzemionach. Zmęczone zwierzęta potykały się w błocie, kopyta ślizgały się im, ale wreszcie szwadron osiągnął prędkość ataku. Odległość, jaka dzieliła go od

nieprzyjacielskiego szyku, szybko się zmniejszała i znów pojawiły się strzały, dym, krzyki, zgiełk uderzenia, jakby to był koszmar mający powtarzać się aż do końca świata.

Była tam chorągiew. Biała chorągiew z literami wyszytymi złotem. Chorągiew hiszpańska, broniona przez grupę ludzi tłoczących się wokół niej, jakby od tego miało zależeć ich zbawienie wiekuiste. Hiszpańska chorągiew mogła przynieść chwałę. Należało tylko tam dotrzeć, zabić obrońców, zabrać ją i załopotać z okrzykiem triumfu. To proste. Na Boga, czy do stu diabłów, to proste. Frédéric wydał z siebie dziki okrzyk i gwałtownie pociągnął za wodze, zmuszając konia, by pojechał w tamtą stronę. Już nie było oddziału, zaledwie garstka ludzi broniła się w osamotnieniu, wymachując bagnietami w rozpaczliwym wysiłku, aby pozostać poza zasięgiem huzarów, którzy zarzynali ich z wysokości końskich grzbietów. Hiszpan trzymający strzelbę za lufę stanął na drodze Frédérica i zaczął atakować go kolbą. Szabla uniosła się i opadła trzykrotnie, a wróg, zakrwawiony po pas, upadł pod kopyta Noirota.

Chorągwi bronił stary podoficer o siwych wąsach i bokobrodach w otoczeniu czterech czy pięciu oficerów i żołnierzy, którzy oparli o siebie plecami, desperacko jak zaszczute wilki broniące swych szczeniąt, walczyli z huzarami pragnącymi zdobyć ten sam co Frédéric cel. Kiedy i on tam dotarł, podoficer został ranny w głowę i obydwoma ramionami z trudem podtrzymywał sztandar. Wysoki i szczupły młodzieniec, z galonami porucznika i z szablą w dłoni, starał się parować ciosy spadające na poranionego chorążego, który zaczynał słać się na nogach. Kiedy stary podoficer przewrócił się, porucznik wyrwał z jego dłoni drzewce i wydając przeraźliwy okrzyk, spróbował wydostać się z kręgu otaczających go wrogów. Jeszcze tylko dwóch jego towarzyszy trzymało się na nogach przy chorągwi. „Bez pardonu!” – krzyczeli huzarzy, kłębiąc się coraz liczniej

wokół. Ale Hiszpanie nie prosili o łaskę. Jeden z nich osunął się na ziemię z roztrzaskaną głową, potem upadł następny, trafiony strzałem z pistoletu. Ten, który podtrzymywał sztandar, był pokryty krwią od stóp do głów, huzarzy cięli go bezlitośnie, zadali mu już dobry tuzin ran. Frédéric przecisnął się do niego i zanurzył szablę w jego plecach na kilka dobrych cali, podczas gdy inny huzar wyrwał mu z dłoni drzewce. Kiedy utracił chorągiew, umierający jakby stracił wszelką chęć walki. Opuścił szablę, pokonany, upadł na kolana i jeden z huzarów dobił go ciosem szabli w szyję.

Oddział był rozbity. Francuska piechota nadciągała z bagnietami, wiwatując na cześć Cesarza, a ci Hiszpanie, którzy przeżyli, porzucali broń i uciekając, szukali ocalenia w pobliskim lasu.

Zabrzmiała trąbka, wzywająca do masakry: bez pardonu. Najwyraźniej Dąbrowskiego rozwścieczył zaciekły opór Hiszpanów i chciał im dać nauczkę. Oszołomieni zwycięstwem huzarzy rzucili się w pościg za uciekinierami, którzy chlupocząc w błocie, biegli ratować życie. Frédéric pogalopował na samym początku, wymachując szablą, z oczami nabiegłymi krwią, gotów uczynić wszystko, by ani jeden Hiszpan nie dotarł żywy do granicy lasu.

To była dziecinna zabawa. Dopadali ich jednego po drugim, zabijali, nie zatrzymując się, pozostawiając na polu nieruchome, zakrwawione ciała. Noirot zaniósł Frédérica do Hiszpana z gołą głową i bez broni, który biegł, nie odwracając się za siebie, jakby starał się nie dostrzegać śmierci galopującej za jego plecami, skupiony jedynie na pobliskich drzewach, pośród których widział ocalenie.

Ocalenia jednak nie było. Z uczuciem, jakby już kiedyś przeżył tę samą scenę, Frédéric dojechał do niego, uniósł szablę i opuścił na głowę

uciekiniera, przecinając ją na połowę jak arbuza. Spojrzał za koński zad i zobaczył ciało leżące twarzą do ziemi z rozpostartymi ramionami i nogami, w błocie. Dwaj huzarzy przejechali obok, wydając radosne okrzyki zwycięstwa. Jeden z nich jechał z nabitą na szablę hiszpańską czapką poplamioną krwią.

Frédéric dołączył do nich w pościgu za grupą czterech uciekinierów. Huzarzy rywalizowali, który dotrze do nich wcześniej, dlatego z wściekłością kłuł ostrogami Noirota, zdecydowany wygrać ten wyścig. Hiszpanie biegle ubłoceni, potykali się i ślizgali na glinie, przerażeni zbliżaniem się prześladowców. Jeden z nich, przekonany, że jego wysiłek jest daremny, nagle zatrzymał się i odwrócił do huzarów, spokojny i wyzywający, podpierając się pod boki. Z czołem dumnie podniesionym zobaczył nadjeżdżającego Frédérica i jego dwóch towarzyszy, a oczy lśniły mu jak błyskawice na twarzy ubrudzonej prochem, pod zmierzwionymi, brudnymi włosami do chwili, kiedy prześladowcy dotarli do niego i ucięli mu głowę.

Trochę dalej dopadli resztę, szablami powalili jednego po drugim. Drzewa były już blisko, zbliżyli się do lasu ukosem. Trąbka szwadronu brzmiała sygnałem do powrotu wszystkich rozproszonych huzarów; Frédéric miał już ściągnąć wodze i zawrócić konia, ale spojrzał w lewo i wtedy ich zobaczył.

Wychodzili z lasu w zwartym szeregu. Około stu jeźdźców w czarnych kurtkach z zielonymi gorsami i w lamowanych złotem czakach. Każdy z nich trzymał opartą na prawym strzemieniu długą lancę ozdobioną małym czerwonym proporczykiem. Przez chwilę stali nieruchomo, majestatycznie w deszczu, jakby przyglądali się polu bitwy, w której zostało wyrżniętych przeszło pół tysiąca ich rodaków. Potem zabrzmiała trąbka, której

zawtórowały wojenne okrzyki, a szereg jeźdźców opuścił lance i ruszył galopem, niby spragnione zemsty diabły, atakując z boku rozproszony szwadron huzarów.

Frédéricowi zmroziło krew w żyłach, a z gardła wydobył się okrzyk przerażenia. Obaj pobliscy huzarzy, słysząc głos trąbki wroga, ściągnęli wodze swych koni tak mocno, że te przysiadły w błocie, a potem dźgnęli je ostrogami i oddalili się, jak szybko się dało.

Z każdej strony huzarzy zawracali, odjeżdżając w kompletnej rozsypce. Część szeregu hiszpańskich jeźdźców dopadła sporą grupę huzarów, których zmęczone konie nie były już w stanie zachować odległości od prześladowców pędzących na świeżych koniach i uzbrojonych w lance, wobec których szable okazały się do niczego nieprzydatne. Starcie było krótkie i ostateczne. Lansjerzy zwalali swych przeciwników z siodeł, tworząc w ten sposób bezładne kłębowisko ludzi i koni. Huzarzy, którzy jeszcze mieli naładowane strzelby lub pistolety, z konia bądź z ziemi strzelali do jeźdźców zmiatających pole jak nieokiełznana fala, niby śmiertelna kosa ścinająca po drodze wszelki ślad życia. Zaskoczony i zdezorientowany Frédéric zobaczył, jak szereg lansjerów dopada środka szwadronu, sztandar kołysze się w górze, a potem pada powalony przez las lanc. Nie udało mu się zobaczyć nic więcej, bo grupa lansjerów odłączyła się od reszty i ruszyła do ataku przeciwko ośmiu czy dziesięciu huzarom, którzy byli w pobliżu w rozsypce, oddzieleni od reszty szwadronu. Frédéric poczuł się tak, jakby budził się ze snu – dreszcz przerażenia przebiegł mu przez uda i brzuch. Skulił głowę, pochylił ciało nad grzbietem Noirota i brutalnie spiął go ostrogami, uderzył w zad płazem szabli i zmusił do szaleńczego cwału, by ratować życie.

Jechali z tyłu, tuż za nim. Noirot był u granic wytrzymałości, wędzidło miał pokryte pianą, deszcz i pot spływały po jego lśniącej skórze. Przednie nogi konia huzara galopującego przed nim utknęły w głębokiej kałuży i jeździec przeleciał ponad uszami wierzchowca. Pokryty błotem od stóp do głów huzar z trudem stanął na nogi, trzymając pistolet w jednej ręce i szablę w drugiej. Przez moment przebiegła Frédéricowi myśl, żeby podać mu rękę i posadzić za sobą, ale zaraz ją porzucił – już jego własny ciężar był zbyt duży dla biednego Noirota. Kiedy stojący na ziemi huzar zobaczył, jak przejeżdża, nie zatrzymując się, wystrzelił ostatni pocisk w kierunku lansjerów jadących z tyłu i słabo uniósł szablę, a potem przebiegł kilka kroków, przebierając nogami ponad błotem, nabity na lancę. Frédéric, który odwrócił się bokiem, żeby obejrzeć z przerażeniem całą tę scenę, zrozumiał, że jego wierzchowcowi chwilami zaczyna brakować sił. Noirot wierzgał, potykał się na kamieniach, kopyta ślizgały mu się w błocie. Z galopu przeszedł w zbołały kłus. Boki zwierzęcia gwałtownie falowały od wysiłku, przy oddychaniu wypuszczał nozdrzami obłoki pary. Lansjerzy nieodwołalnie muszą ich dopaść, wyraźnie słychać było tętent kopyt ich koni, okrzyki, którymi zagrzewali się do barbarzyńskich łowów.

Frédéric był jak oszalały z paniki. Czuł zwierzęcy strach, przeraźliwy, potworny. W głowie mu wirowało, a spojrzeniem szukał miejsca, gdzie mógłby się schronić. Wiedział, że napięte ma wszystkie mięśnie pleców, naprężone tak, jakby w każdej chwili spodziewał się poczuć trzask żeber zgniatanych pod naporem zbliżającej się stali. Chciał żyć. Chciał żyć za wszelką cenę, choćby okaleczony, ślepy, niedołężny... Z całej mocy pragnął żyć, nie godził się na śmierć tutaj, w pełnej błota dolinie, pod szarym niebem, które szybko ciemniało, na tej odległej, przeklętej ziemi, do której nigdy nie powinien był dotrzeć. Nie chciał kończyć w samotności, zaszczuty jak pies, nabity niby makabryczny łup na hiszpańską lancę.

Ostatnim wysiłkiem Noirot dotarł do granicy lasu, wdarł się między drzewa, potykając o krzaki i zrzucając na Frédérica strumienie wody z poruszanych w pędzie gałęzi. Koń, wierny do samego końca szlachetnym instynktom, zrobił jeszcze kilka kroków i padł pomiędzy zarośla z rozdzierającym rżeniem agonii, z bokami zboczonymi krwią, krępując nogę jeźdźca pod swym ciałem, wstrząsanym ostatnimi drgawkami.

Frédéric poczuł ból z lewej strony, w ramieniu i biodrze. Jego twarz znalazła się w błocie, pośród opadłych liści, był zamroczony i obojętny na wszystko, co dzieje się wokół, aż do chwili, kiedy usłyszał zbliżający się odgłos końskiego galopu. Przypomniawszy sobie długie hiszpańskie lance i z największym trudem postanowił się podnieść. Musiał uciekać, oddalić się, zanim dopadną go prześladowcy.

Noirot leżał bez ruchu w agonii, z trzewiami rozdartymi wysiłkiem, ze zmętniałymi oczami, i tylko od czasu do czasu słabo rżał i poruszał łbem. Frédéric spróbował uwolnić skrępowaną nogę. Tętent podków był coraz bliżej, niemal tuż obok. Zagryzając usta, by nie krzyknąć z przerażenia, oparł ubłocone dłonie na boku konia i popchnął z całej siły, żeby się wyzwolić.

W lesie, wokół niego, rozbrzmiewały okrzyki i strzały. Szabla przyczepiona do nadgarstka krępowwała mu ruchy, zerwał więc sznur z ręki drżącymi palcami. Nerwowo przeszukał torby przy siodle i chwycił pistolet, z którego jeszcze nie strzelał. Znów zapał się z całej siły o bok konia, czując, że znalazł się na granicy omdlenia. W tej samej chwili, kiedy udało mu się wyciągnąć nogę spod umierającego wierzchowca, zielona sylwetka z lancą gotową do uderzenia pojawiła się między drzewami, galopując wprost na niego.

Obrócił się na ziemi, szukając osłony za pobliskim drzewem. Łzy spływały mu po pokrytych błotem i liśćmi policzkach, kiedy podniósł

pistolet ściskając go obiema rękami i wycelował w pierś jeźdźca. Widząc broń, lansjer ściągnął w górę łeb konia. Dym wystrzału przesłonił Frédéricowi widok, pistolet wyskoczył mu z dłoni. Rzenie i odgłos ciężkiego uderzenia pośród krzaków. Zobaczył, jak wierzgają w powietrzu kopyta konia, który upadając, pociągnął z sobą jeźdźca. Spudłował, trafił konia. Z rozpaczliwym krzykiem, dusząc się ostrym swędem spalonego prochu, skupił wszystkie siły na zaciętej woli przeżycia. Podniósł się, jak mógł, przeskoczył nieruchome ciało Noirota, wszedł pomiędzy nogi drugiego konia i rzucił się na próbującego wstać lansjera z połamanym drzewcem lancy i z szablą wyciągniętą już do połowy z pochwy. Bił w twarz Hiszpana, aż z uszu i nosa zaczęła mu płynąć krew. Jak szalony, wydając z siebie nedorzeczne przekleństwa, tłukł pięściami po oczach przeciwnika, gryzł dłoń, która próbowała wydobyć szablę, słyszał trzask kości i ścięgien pod swoimi zębami. Oszołomiony upadkiem i ciosami lansjer próbował osłaniać ramionami zakrwawioną twarz, jęcząc jak ranne zwierzę. Obaj potoczyli się po błocie, w deszczu spadającym grubymi kroplami z gałęzi drzew. Z energią, jakiej dodała mu rozpacz, Frédéric chwycił obiema rękami na wprost wystającą z pochwy szablę lansjera i cał po calu przysuwał nagie ostrze do gardła wroga. Wkładał w to wszystkie siły, jakie mógł zebrać, zaciskał zęby tak mocno, że dał się słyszeć chrzęst szczęk, szybko wdychał powietrze. Ślepe już oczy lansjera wydawały się wyskakiwać z orbit, pod spuchniętymi, krwawiącymi i pociętymi brwiami. Po omacku Hiszpan chwycił kamień i walnął nim w usta Frédérica, który usłyszał trzask w dziąsłach i poczuł, jak wypadają mu zmiażdżone zęby. Wypluł krew i zęby i ostatnim, dzikim wysiłkiem, z nieludzkim krzykiem, który wezbrał od samego dna jego trzewi, docisnął ostrą krawędź szabli do szyi wroga, napierając raz z lewej, raz z prawej strony, aż wreszcie lepki

czerwony strumyk oblał mu twarz, a ręce Hiszpana, bezwładne, opadły na boki.

I leżał tak nieruchomo z twarzą opartą na zwłokach lansjera, które obejmował bez siły, żeby się poruszyć, a z jego zmasakrowanych ust wydobywał się głuchy skowyt. Przez długą chwilę był pewien, że umiera, trząsał się z zimna, czuł w skroniach i w ustach ból tak ostry, jakby zmiażdżoną miał całą głowę. Nie myślał o niczym, jego rozpalony do czerwoności mózg był płonąca i udręczoną masą. Usłyszał samego siebie, jak prosi Boga, by pozwolił mu zasnąć, stracić przytomność, ale tortura, jaką mu sprawiały zmiażdżone usta, nie pozwoliła na sen.

Ciało Hiszpana było sztywne i zimne. Frédéric zsunął się na bok i leżał na plecach. Otworzył oczy i zobaczył czarne niebo nad koronami nieruchomych w mroku drzew. Była już noc.

Odgłosy walki dobiegały z daleka. Z bolesnym wysiłkiem udało mu się usiąść. Rozejrzał się wokół, nie wiedząc, w którą stronę iść. W pustym żołądku czuł dotkliwe klucie, po omacku poszukał siodła zabitego lansjera. Nie znalazł jedzenia, ale niezręcznymi dłońmi trafił na szablę. Usta piekły go tak, jakby w środku płonął ogień. Wstał, chwiejąc się, z szablą w ręce i ruszył przed siebie pośród drzew, brodząc w błocie. Było mu wszystko jedno, dokąd idzie, obsesyjnie chciał znaleźć się jak najdalej.

VII. CHWAŁA

Szedł na oślep w głąb lasu. Zatrzymywał się od czasu do czasu, ubłocony, drżący i przemoczony opierał się o pień drzewa, unosił dłonie do zmiażdżonych ust i jęczał z bólu. Przestało padać, ale z gałęzi drzew nadal powoli spływały krople wody. Pośród zarośli widział, jak w oddali ciemność przerywały wybuchy toczącej się nadal bitwy. Grzmoty salw słychać było wyraźnie, bitwa ryczała niby odległa burza.

Od czasu do czasu rozbrzmiewały w lesie wystrzały, niedaleko od niego, pogłębiając tylko jego niepokój. Ustalenie, gdzie znajdują się linie francuskie, nie było możliwe, należało zaczekać do rana, żeby je odnaleźć. Wstrząsnął nim dreszcz. Sama myśl, że wpadnie w ręce Hiszpanów, przeraziła go tak bardzo, że zaczął dygotać jak zaszczute zwierzę. Musi się stąd wydostać. Musi wrócić do światła, do życia.

Potknął się o leżące na ziemi gałęzie i upadł twarzą w błoto. Podniósł się z chłupotem, odgarnął ubłocone, rozczochrane włosy i pełen lęku spojrzał na otaczające go cienie: w każdym z nich widział wroga.

Czuł przeraźliwy, rozdzierający chłód. Trzęsły mu się szczęki, potęgując jeszcze ból rozbitych, krwawiących dziąseł. Dotknął językiem zębów, które mu zostały: stracił całą lewą stronę, w potwornej opuchliznie wyczuł osiem czy dziesięć roztrzaskanych w drzazgi korzeni. Ból promieniował na całe szczęki, szyję i czoło. Ciało płonęło w gorączce; zimno i zakażenie zabiją go, jeśli nie znajdzie jakiegoś miejsca, gdzie mógłby się schronić.

Między drzewami dostrzegł światło. Może to będą Francuzi, pomyślał i ruszył w tamtą stronę, modląc się do Boga, żeby nie trafić na hiszpański

patrol. Jasność rosła, w miarę jak się do niej zbliżał – był to pożar. Szedł, zachowując wszelkie środki ostrożności, przezornie przyglądał się okolicy.

Płonął dom stojący na polanie. Palił się intensywnie, mimo że niedawno padał deszcz, dach zawalił się, wzniecając chmurę iskier, a ogień objął też gałęzie pobliskich drzew. Strzelającym w górę płomieniom towarzyszył świst pary uchodzącej z mokrego drewna.

Na polanie stała grupa mężczyzn. Rozpoznawał kształty czapek i strzelb rysujących się na tle jasności pożaru. Z miejsca, gdzie stał, Frédéric nie mógł rozpoznać, czy byli to Francuzi, czy Hiszpanie, pozostał więc skulony w ukryciu między zaroślami, ściskając rękojeść szabli. Usłyszał rżenie konia i niewyraźne głosy w języku, którego nie potrafił określić.

Nie miał odwagi podejść bliżej, obawiał się, że ludzie usłyszą hałas poruszanych zarośli. Nawet jeśli są to Francuzi, mogą zacząć do niego strzelać, bo pod pokrywającą go całego warstwą błota nie rozpoznają munduru. Odczekał dobrą chwilę niezdecydowany. Jeśli są to Hiszpanie i złapią go, może już się uważać za trupa, i kto wie, czy stanie się to tak szybko, jak by sobie życzył.

Był zmęczony. Stary i zmęczony. Czuł się jak starzec, który posunął się o pięćdziesiąt lat w ciągu kilku godzin. Wizja ostatniego dnia przewinęła się przed jego spuchniętymi oczami, jakby wszystko zdarzyło się bardzo dawno temu, w odległości całego, długiego życia. Wojskowy namiot, szabla błyszcząca w płomieniu świecy, Michel de Bourmont pali fajkę... Michel. Na nic się zdała jego młodość, uroda, odwaga. Sztandar padający pośród lasu nieprzyjacielskich lanc, agoniczny jęk trąbki daremnie próbującej zwołać szyki, konie bez jeźdźców błakające się w deszczu po dolinie pełnej błota. Przynajmniej, pomyślał, Michel de Bourmont zginął na koniu, patrząc śmierci prosto w twarz, podobnie jak Philipppo, Maigny, Laffont i inni. Nie chowali się w krzakach jak Frédéric, w błocie, skuleni ze strachu, w każdej

chwili spodziewając się nadejścia z mroku zdradliwej śmierci; śmierci brudnej, ciemnej, niegodnej huzara. Młodzieniec pomyślał z goryczą, że musiał przejść długą drogę, żeby skończyć zabity w błocie, jak pies.

Ale uwaga: jeszcze żyje. Ta myśl przedarła się i wzbudziła w nim uśmiech w postaci okrutnego grymasu. Jeszcze żyje, jego puls bije, całe ciało płonie, ale on czuje tę gorączkę. Inni natomiast są już o tej porze sztywni i zimni – uwalane błotem trupy leżące w dolinie... Może już nawet ukradziono im buty.

Wojna. Jakże różna jest od nauk odebranych w szkole wojskowej, od podręczników manewrów, od defilad przed tłumem widzów olśnionych blaskiem mundurów!... Bóg, jeśli jest jakiś Bóg ponad tym czarnym sklepieniem, z którego sączy się wilgoć i śmierć, przeznaczył ludziom mały zakątek ziemi, żeby z własnej woli stworzyli sobie na nim kawałek piekła.

A chwała? Gówno nie chwała, gówno dla wszystkich, dla całego szwadronu. Gówniany sztandar, dla którego poległ Michel de Bourmont, a teraz pewnie obnosi się z nim któryś z hiszpańskich lansjerów. Niech wszyscy sobie wezmą swoją pieprzoną chwałę, sztandary i wiwaty na cześć Cesarza. To on, Frédéric Glüntz ze Strasburga, szarżował na wroga, zabijał dla chwały i Francji, a teraz leży w błocie, w ciemnym, strasznym lesie, skostniały z zimna, głodny i spragniony, rozpalony gorączką, sam i zagubiony. Z całą pewnością nie Bonaparte tu leży, do diabła, a on sam. On.

Od gorączki kręciło mu się w głowie. Och, Claire Zimmerman w pięknej niebieskiej sukni, ze złotymi lokami połyskującymi w świetle kandelabrow, gdybyś teraz widziała swojego przystojnego huzara!... Och, Walterze Glüntz, szanowany kupcze, który patrzyłeś z dumą na swojego syna oficera, gdybyś go teraz zobaczył!...

Do diabła! Niech licho porwie ich wszystkich razem z ich romantycznymi i głupimi wyobrażeniami o wojnie! Niech diabli wezmą

bohaterów i lekką kawalerię Cesarza. Nic nie wytrzymało konfrontacji z tą przeraźliwą ciemnością tu w krzakach, w poblasku niedalekiego pożaru.

Nagle poczuł gwałtowne parcie w brzuchu. Rozpiął spodnie i kucnął, poczuł, jak nieczystości opadają pomiędzy butami, przeraziła go myśl, że Hiszpanie mogą zaskoczyć go w tej pozycji. Błoto, krew i gówno. To właśnie jest wojna, tylko tyle, Święty Boże, tyle – i to wszystko.

Żołnierze odchodzili. Opuszczali polanę oświetloną płomieniami pożaru, a on nawet nie potrafił stwierdzić, jakiej byli narodowości. Pozostał skulony, bez ruchu, aż do chwili, kiedy oddalił się odgłos ich kroków.

Teraz było słyhać tylko trzaskanie płomieni. Ogień oznacza niebezpieczeństwo, gdyby się zbliżył, zostałby oświetlony. Ale też daje ciepło, życie, a on umiera z zimna. Mocno ścisnął szablę w dłoni i skulony powoli podszedł bliżej, zamierając ze strachu za każdym razem, kiedy pod podeszwą zachlupotało błoto albo trzasnęła łamana gałąź.

Polana była pusta. Prawie pusta. Tańczące światło płomieni oświetliło dwa ciała leżące na ziemi. Zbliżył się do nich, zachowując wszelkie środki ostrożności; oba ubrane były w niebieskie kurtki i białe spodnie należące do francuskich jednostek liniowych. Sztywne i zimne, niewątpliwie tkwiły tam od wielu godzin. Jeden z zabitych, leżący na plecach, całą twarz miał zmasakrowaną od niezliczonych ciosów bagnietem czy szablą. Drugi leżał na boku w pozycji płodowej. Jego zabito jednym strzałem.

Zabrano im broń, lederwerki i splądrowano plecaki. Jeden leżał blisko, obok kupy dymiących szczap, był otwarty, a jego zawartość, brudną i zniszczoną, porzrucano wokół: kilka koszul, buty z dziurawą podeszwą, gliniana fajka potłuczona na trzy kawałki... Frédéric niecierpliwie szukał czegoś do zjedzenia. Znalazł tylko na dnie plecaka kawałek słoniny i łapczywie włożył go do ust, jednak rozbite działka paliły go potwornie. Przesunął słoninę na prawą stronę ust, ale rezultat nie był lepszy. Nie mógł

gryźć. Poczul gwałtowne mdłości i upadł na kolana, wymiotował żółcią. Pozostał chwilę na klęczkach z głową podpartą dłońmi, aż udało mu się uspokoić. Potem wodą z kałuży przepłukał sobie usta, daremnie próbując uśmierzyć ból; podniósł się i podszedł do płomieni, opierając się o glinianą ścianę zrujnowanej chałupy. Ciepło ogarnęło jego ciało, budząc tak miłe uczucie, że łzy spłynęły mu po policzkach. Stał chwilę, z ubrania zaczęła parować woda i udało mu się nieco obeschnąć.

Na polanie groziło mu niebezpieczeństwo, był widoczny w świetle pożaru. Każdy, kto znalazłby się w pobliżu, mógł go wypatrzeć. Znów przypomniał sobie smagłe, okrutne twarze wieśniaków, partyzantów, żołnierzy... Czy oni w tej przeklętej Hiszpanii różnią się czymś między sobą? Dzięki ogromnemu wysiłkowi woli odszedł od płomieni, opierając się o płot. Zachowane resztki rozsądku podpowiadały mu, że pozostanie tam byłoby samobójstwem, ale ciało okazywało posłuszeństwo z oporem. Znów się zatrzymał, niepewnie spojrział na ogień, a potem przyglądał się ciemności lasu wokół.

Był śmiertelnie zmęczony. Perspektywa ponownego czołgania się przez ubłocone zarośla przyprawiła go o zawrót głowy. Popatrzył na swój długi cień, który w płomieniach drżał u jego stóp. Jest zgubiony, czeka go pewna śmierć. Blisko ognia przynajmniej nie umrze z zimna. Cofnął się w deszczu iskier i popiołu i znalazł osłonięte miejsce pod murem z gliny i kamienia, o pięć, sześć łokci od ognia. Skulił się tam z szablą między nogami, głowę ułożył na ziemi i usnął.

Śniło mu się, że galopuje po spustoszonych polach, na tle odległych pożarów, pośród szwadronu szkieletów ubranych w mundury huzarów, odwracających w jego stronę nagie czaszki i patrzących na niego w ciszy. Dąbrowski, Philippo, de Bourmont... Byli tam wszyscy.

Obudził go chłód poranka. Pożar wygasł i wśród zgliszcz pozostały tylko dymiące bierwiona. Niebo jaśniało na wschodzie, a między koronami drzew świeciło kilka gwiazd. Nie padało. Las pozostawał ciemny, ale już widoczne były jego zarysy.

Zgiełk bitwy ucichł; panowała przejmująca cisza. Frédéric podniósł się, roztarł obolałe ciało. Lewą stronę twarzy miał spuchniętą, bolała go przeraźliwie, ból promieniował na ucho, przez które nie docierał do niego żaden dźwięk, tylko wewnętrzne brzęczenie wydawało się wyrastać z samego dna jego mózgu. Powieka lewego oka też była zamknięta od opuchlizny. Niewiele nim widział.

Próbował ustalić swoje położenie. Słońce wstaje na wschodzie. Chciał przypomnieć sobie przybliżoną topografię pola bitwy, gdzie las znajdował się na zachodzie, w pobliżu wioski, którą poprzedniego dnia atakował Ósmy Pułk Piechoty Lekkiej. Z całej siły starał się skupić i obliczył, że linie francuskie, w chwili, kiedy się zgubił, znajdowały się na południowym wschodzie. Sytuacja mogła ulec zmianie w ciągu nocy, tego jednak nie sposób było się dowiedzieć.

Zastanawiał się, kto też wygrał.

Ruszył w kierunku, gdzie wstawał dzień. Dojdzie do granicy lasu, ostrożnie rozglądając się wokół i postara się dotrzeć do wzgórz, na których poprzedniego wieczora opierały się linie francuskie. Nie był zbyt pewien własnych sił: żołądek dokuczał mu dotkliwym kłuciem, paliły go usta i głowa. Jakąś godzinę szedł, potykając się o krzaki i gałęzie, od czasu do czasu musiał się zatrzymywać – siadał wtedy w błocie. Stopniowo szare światło świtu rozpraszało cienie, aż wreszcie zaczął widzieć wyraźnie wszystko wokół. Pochylając głowę, zobaczył własną pierś, ramiona i nogi, pokryte skorupą suchego błota i liści; dołman był poszarpany, brakowało połowy guzików. Ręce miał pomarszczone i szorstkie, z czarnym brudem

pod połamanymi paznokciami. Naraz spojrzął na szablę, którą trzymał w ręce, i ze zdziwieniem stwierdził, że to nie jego broń. Wyteżył pamięć i przypomniał sobie Hiszpana, który leżał między końskimi nogami i próbował wyciągnąć ją z pochwy. Zaczął się śmiać jak szaleniec; zapomniał, że poderżnął gardło lansjerowi jego własną szablą. Polujący upolowany przez polującego, którego chciał upolować. Absurdalny łamaniec. Ironia wojny.

Pod ogromnym dębem była niewielka polana. Już miał ją minąć, kiedy zobaczył zabitego konia z siodłem obitym baranim futrem, charakterystycznym dla huzarów. Zbliżył się do niego z ciekawością: może jeździec – żywy czy martwy – jest gdzieś blisko. Ciało znalazł między zaroślami i kiedy do niego podchodził, serce tłukło mu się w piersi. To nie Francuz. Miał wygląd wieśniaka, ubrany był w skórzane spodnie i szarą kurtkę. Leżał na brzuchu, ze strzelbą obok zaciśniętych dłoni. Frédéric chwycił go za włosy i popatrzył na twarz. Miał długie bokobrody w kształcie siekiery, zarost niegolony od trzech, czterech dni, skórę o żółtawej barwie śmierci. To zresztą logiczne, biorąc pod uwagę wyrwę na pół piersi, przez którą wyciekł z niego strumień krwi, teraz zmieszanej z błotem i tworzącej pod nim kałużę. Zapewne był to zwykły wieśniak albo partyzant. Trup nie był jeszcze zupełnie sztywny, z czego można było wnioskować, że nie żył od niedawna.

– To prawda, że nie jest szczególnie piękny – powiedział po francusku głos za jego plecami.

Frédéric podskoczył w miejscu, wypuścił głowę i już unosił szablę. O pięć łokci od niego, oparty plecami o pień drzewa, siedział huzar w koszuli, z niebieskim dołmanem rozciągniętym na brzuchu i nogach. Mógł mieć jakieś czterdzieści lat, gęste wąsy i dwa długie warkoczyki, które sięgały mu za ramiona. Jego oczy były popielatoszare, cera bardzo blada. Obok

niego z jednej strony leżała czerwona czapka, a z drugiej naga szabla, w prawej ręce trzymał pistolet i mierzył do niego.

Oszołomiony zaskoczeniem Frédéric pochylał się coraz mocniej, w końcu upadł na kolana przed nieznanym.

– Czwarty Pułk Huzarów... – mruknął ledwo słyszalnie. – Pierwszy szwadron.

Niespodziewany upiór wybuchnął śmiechem, zaraz przerwany grymasem bólu, jaki ściągnął jego twarz. Zamknął na chwilę powieki, znów je otworzył, splunął w bok i uśmiechnął się, opuszczając pistolet.

– To zabawne. Czwarty Pułk Huzarów, pierwszy szwadron... Też jestem z pierwszego szwadronu, mój drogi... Tak, byłem z pierwszego szwadronu. Czy to nie zabawne? Na wszystkie cholerne świętości, tak, to zabawne... Nigdy bym cię nie poznał w tym mundurze utyłanym w błocie. Czy ja cię znam? Nie, zresztą myślę, że rodzona matka nie rozpoznałaby cię z tą rozwaloną mordą, spuchniętą jak bukłak wina. Jak ci to zrobili? Zresztą, powiedz mi wreszcie, kim jesteś, do diabła, zamiast gapić się na mnie jak dureń.

Frédéric wbił szablę w ziemię, obok prawego uda.

– Glüntz. Podporucznik Glüntz, pierwsza kompania.

Huzar spojrział na niego zaciekawiony.

– Glüntz? Ten młody podporucznik? – Pokręcił głową, jakby trudno mu było zrozumieć, że mówią o tej samej osobie. – Na rany Chrystusa! Nigdy w życiu bym pana nie poznał! Skąd ten wygląd?!

– Lansjer mnie ścigał. Straciliśmy konie i walczyliśmy na ziemi.

– No widzę... Ten lansjer tak panu urządził twarz, prawda? Szkoda, pamiętam, że był pan ładnym chłopcem... Cóż, podporuczniku, przepraszam, że nie wstaję i nie salutuję, ale z moim zdrowiem nie jest

najlepiej. Nazywam się Jourdan... Armand Jourdan. Dwadzieścia dwa lata służby, druga kompania.

– Jak się pan tu znalazł?

Huzar uśmiechnął się, jakby pytanie było wyjątkowo głupie.

– Myślę, że tak samo jak pan. Galopem, jak diabeł za dobrą duszą, a za mną trzech czy czterech gości z zielonymi gorsami łaskotało mnie lancami po tyłku... Kiedy wjechałem do lasu, udało mi się ujść cało. Kręciłem się tu przez całą noc, na biednym Falú, dobrym stworzeniu, które leży tu obok, zabite strzałem ze strzelby. Zabił mi go ten skurwysyn, któremu przed chwilą oglądał pan twarz. Frédéric odwrócił głowę i spojrzał na zwłoki Hiszpana.

– Wygląda na partyzanta... Pan go zastrzelił?

– Jasne, że ja. To było jakąś godzinę temu; Falú i ja próbowaliśmy wrócić na francuskie linie, o ile one jeszcze gdzieś istnieją, kiedy ten typ wyszedł z zarośli i wygarnął nam z lufy tuż przed nosem. Mój biedny koń wyszedł na tym najgorzej... – spojrzał ze smutkiem na nieżywe zwierzę. – Był dobrym i wiernym przyjacielem.

– A co ze szwadronem? – Huzar wzruszył ramionami.

– Wiem tyle samo co pan. Być może już go wcale nie ma. Ci lansjerzy sprytnie z nami zagrali – najpierw nas przepuścili, a potem zaatakowali z flanki. Jechałem z czterema towarzyszami: Jeanem-Paulem, Didierem, takim jednym, którego nie znałem, i z tym niskim, rudym sierżantem, Chabanem... Dopadali ich jednego po drugim, za moimi plecami. Nie dali żadnej szansy. Kiedy konie były wykończone po trzech szarżach i pościgu, przypominało to raczej polowanie na jelenie przywiązane do słupa.

Frédéric podniósł twarz i spojrzał w górę. Pomiędzy koronami drzew prześwitywał błękit nieba.

– Zastanawiam się, kto wygrał bitwę – powiedział zamyślony.

– A kto to wie, poruczniku? – powiedział huzar. – Z całą pewnością ani pan, ani ja.

– Jest pan ranny?

Rozmówca popatrzył na Frédérica, nic nie mówiąc długą chwilę, a potem sarkastyczny uśmiech pojawił się w kąciku jego ust.

– Ranny to nie jest całkiem odpowiednie słowo – powiedział z miną kogoś, kogo śmieszy żart, który tylko on sam może zrozumieć. – Widzi pan sztucer tego trupa? – zapytał, wskazując pistoletem na broń. – Widzi pan przy lufie ten składany bagnet, długi na dwie pięści? No cóż, zanim posłałem go do piekła, ten pieprzony syn kurwy i biskupa zdążył mi nim pokiereszować flaki.

Mówiąc to, huzar podniósł dołman leżący na jego brzuchu i Frédéricowi wyrwał się okrzyk przerażenia. Bagnet został wbity w prawą nogę, nieco ponad kolanem, i rozdarł wzdłuż całe udo i część podbrzusza. W potwornej ranie, pełnej wielkich skrzepów krwi, przebłyskiwały kości, nerwy i część jelit. Paskiem i rzemieniami od szabeltasa huzar obwiązał udo, daremnie próbując ściągnąć z sobą krawędzie rany.

– Sam pan widzi, podporuczniku – powiedział, nakrywając się z powrotem dołmanem. – Ja już jestem załatwiony. Na szczęście nie boli mnie za bardzo, czuję się tak, jakbym miał ścierpniętą całą dolną część ciała... Ciekawe, że bagnet nie przeciął żadnej ważniejszej żyły, umarłbym wykrwawiony dużo wcześniej.

Frédéric był przerażony zimną rezygnacją weterana.

– Nie może pan tutaj zostać – wymamrotał, sam nie bardzo wiedząc, co da się zrobić dla rannego. – Muszę pana gdzieś zabrać, trzeba poszukać pomocy. To... To jest straszne.

Huzar znów wzruszył ramionami. Najwyraźniej było mu wszystko jedno.

– Nic się nie da zrobić. Tu przynajmniej mogę się oprzeć o drzewo i jest mi wygodnie.

– Może da się pana wyleczyć...

– Proszę nie gadać głupstw, podporuczniku. Upłynęła już dobra godzina, tu jest tak brudno, że na pewno mam zakażenie. Przez te dwadzieścia dwa lata spotkałem wiele podobnych przypadków, za dużo widziałem, żeby robić sobie złudzenia... Stary Armand dobrze wie, kiedy karta nie idzie.

– Bez pomocy lekarskiej umrze pan na pewno.

– Z pomocą czy bez, już po mnie. Nie mam ochoty biegać z kąta w kąt, depcząc sobie po flakach. Wolę zostać tutaj, spokojnie, w cieniu. Niech pan się zajmie swoimi sprawami.

Milczenie trwało przez długą chwilę. Frédéric siedział na ziemi, kolana objął rękami; huzar miał zamknięte oczy, głowę oparł o pień dębu, nie reagując na obecność młodego oficera. Frédéric wstał, wyjął szablę z ziemi i podszedł do rannego.

– Czy mogę coś dla pana zrobić, zanim odejdę?

Huzar powoli otworzył oczy i spojrzał na Frédérica tak, jakby był zaskoczony tym, że jeszcze go tu widzi.

– Może i tak – powiedział powoli, wskazując na pistolet, który ciągle trzymał w dłoni. – Wystrzeliłem z niego do tego typa, a wolałbym mieć kulkę w środku, gdyby nadszedł jakiś inny... Mógłby mi go pan nabić? Na moim siodle jest wszystko, co potrzebne.

Frédéric chwycił pistolet za długą lufę i ruszył w kierunku martwego konia. Znalazł woreczek prochu i torbę z kulami. Nabiał broń, popchnął ładunek stemplem i przygotował ją. Zaniósł pistolet rannemu razem z resztą prochu i amunicji.

Stary huzar spojrział z uznaniem na broń, zważył ją w dłoni i odbezpieczył.

– Czy chciałby pan jeszcze czegoś? – spytał Frédéric.

Huzar spojrział na niego. W jego oczach pojawił się błysk kpiny.

– W Béarn jest jedna wioska, gdzie mieszka pewna kobieta, której mąż żołnierz jest w Hiszpanii – mruknął, a Frédéricowi wydało się, że w jego głosie przelotnie pojawił się nikły cień czułości. W innym momencie, podporuczniku, być może powiedziałbym panu nazwę tej wioski, na wypadek, gdyby przejeżdżał pan kiedyś tamtędy... Ale teraz jest mi wszystko jedno. Zresztą, jeśli mam być szczery, pan też śmierdzi trupem, tak samo jak ja. Bardzo wątpię, żeby dotarł pan kiedyś do Francji czy dokądkolwiek.

Frédéric popatrzył na niego, nieprzyjemnie zaskoczony.

– Co pan powiedział?

Huzar zamknął oczy i znów oparł głowę o pień.

– Niech pan stąd idzie – rozkazał słabym głosem. – I już zostawi mnie w spokoju.

Frédéric odszedł zakłopotany z szablą w dłoni. Minął martwego konia i zabitego partyzanta, potem obejrzał się za siebie skonsternowany. Huzar siedział bez ruchu, z zamkniętymi oczami i pistoletem w ręce, obojętny na las, wojnę i życie.

Przeszedł kawałek pomiędzy zaroślami i stanął, żeby nabrać tchu. Wtedy usłyszał strzał. Upuścił szablę, zakrył twarz rękami i rozpłakał się.

Po chwili ruszył dalej przed siebie. Nie wiedział, gdzie jest wschód, a gdzie zachód. Ten las to labirynt, w którym nie można się rozeznać, pułapka śmierdząca zgnilizną, wilgocią, śmiercią. Koszmar nie miał końca,

zdrętwiałe ciało z trudem się posuwało, ból twarzy doprowadzał go do obłądu. Popatrzył na puste ręce i zobaczył, że zapomniał szabli; zawrócił, żeby ją odszukać, ale po kilku krokach zatrzymał się. Niech diabli wezmą tę szablę, niech diabli porwą wszystko... Szedł bez celu, błądząc, potykając się i wpadając na drzewa. Wzrok miał zamglony, kręciło mu się w głowie, jakby był w środku wiru. Z gorączki zaczął mówić na głos, bredził. Rozmawiał ze swymi towarzyszami, z Michelem de Bourmont, z ojcem, z Claire... Wreszcie zrozumiał, wreszcie udało mu się zrozumieć. Spadł z konia jak Paweł w drodze do Damaszku... Na tę myśl wybuchnął głośnym śmiechem, który zabrzmiał niesamowicie w ciszy lasu. Bóg, Ojczyzna, Honor... Chwała, Francja, Huzarzy, Bitwa... Słowa pojawiały się na jego ustach jedno po drugim, powtarzał je, zmieniając ton. Pewnie oszalał, do stu diabłów, musiał oszaleć! Popadł w obłąd przez nich wszystkich dookoła, przez tych, którzy wygadywali głupstwa o obowiązku, o chwale... Tylko ten jeden umierający huzar wszystko rozumiał, dlatego strzelił sobie w łeb. Spryciarz, stary lis, potrafił wybrać drogę na skróty. Pewnie. Cała reszta nie ma o niczym pojęcia, romantyczna i głupia Claire, żaloszny Michel... Gówno, błoto i krew, to wszystko. Samotność, zimno i strach, strach tak obłąkańczo potworny, że można by krzyczeć z czystego i nagiego przerażenia.

Krzyknął. Mimo bólu spuchniętych i jątrzących ust krzyczał, aż przestał się słyszeć. Krzyczał na niebo, na drzewa. Krzyczał na cały świat, przeklinając Boga i wszystkich diabłów. Przywarł do pnia drzewa i zaczął się śmiać, płacząc. Dołman, pokryty suchym błotem, był sztywny jak pancerz. Zrzucił go z ramion i cisnął w krzaki. Świetny materiał, naprawdę pięknie i ozdobnie haftowany. Zbutwieje w ziemi tego zgniłego lasu, tak samo jak Noirot, jak huzar, który się zastrzelił, jak inni głupcy, ludzie i

zwierzęta, wplątani w taniec śmierci. Być może tak samo jak – już wkrótce – sam Frédéric.

Wpada w obłąd. Wpada, do cholery, w obłąd. Gdzie jest Berret? Gdzie Dąbrowski? A gdzie pułkownik Letac, taka szarża, ehm, panowie, przed którą wszyscy wszarże rozbiegną się po całej Andaluzji. Do diabła, do licha ciężkiego. Dał się oszukać jak dureń. I oni wszyscy, żałośni nieszczęśnicy, też dali się nabrać. Cały świat, wszyscy oszukani, na miłość boską, czy nikt nie zdaje sobie z tego sprawy? A jego niech zostawią w świętym spokoju. Chce tylko stąd odejść. Niech mu dadzą spokój, na Boga! Wpada w obłąd, a ma dopiero dziewiętnaście lat.

Umierający huzar miał rację. Starzy żołnierze, właśnie odkrył, zawsze mają rację. Dlatego milczą. Oni wiedzą, a ta wiedza i mądrość nakazują im milczenie. Oni wiedzą, do diabła. Ale nie mówią o tym nikomu; to stare szczwane lisy. Niech każdy doświadczy tego na własnej skórze, niech się uczy na własnych błędach. Oni nie są odważni, są obojętni. Są po drugiej stronie muru, poza dobrem i złem, jak dziadek Frédérica, stary Glüntz, który umarł znużony oczekiwaniem na śmierć. Nic więcej nie da się zrobić, droga jest przeraźliwie prosta. Honor, Chwała, Ojczyzna, Miłość... Jest takie miejsce, z którego nie ma odwrotu, do którego dociera się wcześniej czy później, w którym wszystko okazuje się niepotrzebne i odzyskuje właściwe proporcje i swój dokładny wymiar. A ona stoi na środku drogi, z kosą śmiercionośną niby szwadron lansjerów. Nie ma nic więcej, nie ma żadnych dróg ucieczki. Nie ma sensu uciekać, nie ma sensu przystawać. Można tylko spokojnie iść na jej spotkanie i raz na zawsze, do licha, skończyć.

Wszystko naraz stało się jasne, uderzająco proste. Frédéric stanął i wydał okrzyk, zadziwiony, że nie dostrzegł tego wszystkiego wcześniej. Chwiejąc się na nogach, dotarł do granicy lasu i tam się zatrzymał, ciągle

zadziwiony swoim odkryciem, osłabiony i rozgorączkowany, okaleczony i ubłocony, ze zmierzwionymi włosami i oczami płonącymi jak ogień. Popatrzył na niebieskie niebo, na pola usiane szarymi drzewkami oliwnymi, na ptaki fruujące ponad tym, co wcześniej było polem bitwy, i wybuchnął potężnym śmiechem nad wszystkim, co go otaczało.

Usiadł na pniu ściętego drzewa, z suchą gałęzią w rękę, którą zamyślony grzebał w ziemi między oblepionymi błotem butami. I kiedy zobaczył, jak granicą lasu nadchodzi gromada wieśniaków uzbrojonych w sierpy, kije i noże, wstał powoli z uniesioną głową, spojrzął na ich oliwkowe twarze i czekał, spokojnie, bez ruchu. Myślał o dziadku Glüntzu i o rannym huzarze siedzącym pod wielkim dębem. I nie czuł niczego poza nużącą obojętnością.

Majadahonda, czerwiec 1983

Spis treści

Karta tytułowa

Nota od Autora

Motto

Dedykacja

I. Noc

II. Świt

III. Poranek

IV. Potyczka

V. Bitwa

VI. Szarża

VII. Chwała

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału

El Húsar

Copyright © 1983, 2004 Arturo Pérez-Reverte

Projekt okładki

Anna Pol

Opieka redakcyjna

Monika Pigan

Korekta

Maria Szumska

Copyright © for the translation by Joanna Karasek

© Copyright for this edition by SIW Znak sp. z o.o., 2014

ISBN 978-83-240-3095-8

znak

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37

Dział sprzedaży: tel. [12 61 99 569](tel:126199569), e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

woblink

woblink.com

